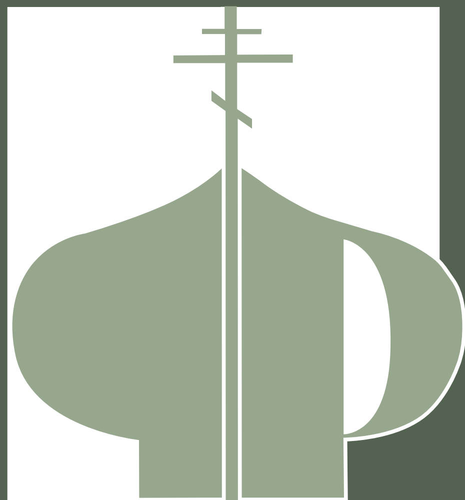
ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

ORTHODOXIA



- Serbia. Wybrano patriarchę
- Wychowanie. W cyfrowej przestrzeni
- Raport. Prześladowanie chrześcijan
- Gruzja. Chcą ukraść ławrę

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 3 (429) marzec 2021 cena 7 zł (w tym 8% VAT)

Fot. Anna Radziukiewicz

Wejdziemy przez Apokalipsę – o freskach pisanych w narteksie cerkwi Zwiastowania Bogarodzicy w Supraślu na stronach 15-17

W numerze



Daj mu Panie służyć w pokoju

18 lutego 2021 roku Sobór Biskupów Serbskiej Cerkwi Prawosławnej wybrał Jego Eminencję Porfiriusza, metropolitę Zagrzebia i Lublany, na 46 tytularnego patriarchę serbskiego i 57 zwierzchnika serbskiej Cerkwi.

Ze względu na pandemię posiedzenie soboru odbyło się w katedrze św. Sawy w Belgradzie, największej cerkwi na Bałkanach. Według *ustawu* św. Sawy Serbska Cerkiew Prawosławna wybiera swojego patriarchę w drodze tzw. apostolskiego losowania. Oznacza to, iż sobór biskupów w drodze głosowania wyłania spośród uprawnionych hierarchów (tym razem było ich 38) trzech kandydatów. Uprzednio zgłoszeni kandydaci podlegają kolejnym głosowaniom. Muszą otrzymać ponad połowę głosów soboru. Trzej kandydaci z najwyższą liczbą głosów przechodzą do etapu losowania. Następnie kartki z zapisanymi imionami trzech biskupów wkłada się do kopert, pieczętuje i umieszcza w księdze Ewangelii. Sobór przyzywa Ducha Świętego w braterskiej modlitwie, po której do cerkwi wchodzi wcześniej wyznaczony mnich, który bez zbędnego zastanawiania się wyciąga jedną z kopert. Najstarszy z obecnych biskupów otwiera kopertę i głośno odczytuje imię nowego arcybiskupa Peći, metropolity Belgradu i Karlovców, patriarchy serbskiego, jak głosi oficjalny tytuł zwierzchnika Serbskiej Cerkwi Prawosławnej. Tego dnia w wybranej kopercie znajdowała

się kartka z napisem „Metropolita Zagrzebia i Lublany Porfiriusz".

Imię nowego patriarchy, przy biciu we wszystkie dzwony, podaje się do publicznej wiadomości.



Nowo wybrany patriarcha serbski **Porfiriusz** urodził się 22 lipca 1961 roku w mieście Bečej na północy Serbii. Na chrzcie otrzymał imię Prvoslav. Na uniwersytecie w Belgradzie studiował archeologię oraz teologię, którą ukończył w 1987 roku. 11 kwietnia 1986 roku przyjął postrzyżyny mnisze. W tym samym roku przez późniejszego patriarchę serbskiego **Pawła** został wyświęcony na diakona. Następnie wyjechał do Grecji, gdzie na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Narodowego im. Kapodistriasa w Atenach ukończył w 1990 roku studia podyplomowe. W tym samym roku, 21 listopada, został w opuszczonym monasterze Kovilj wyświęcony na kapłana oraz mianowany ihumenem odradzającej się wspólnoty.

Funkcję przełożonego Porfiriusz pełnił do 2014 roku. W tym czasie wyremontowano stare oraz wybudowano nowe budynki, rozpoczęto remont głównej cerkwi oraz wykonano polichromię. Jako ihumen monasteru dbał o to, aby życie i liturgiczny rytm mnichów zorganizowane były na wzór wspólnot na Świętej Górze Atos. Monaster szybko stał się znany dzięki pielęgnowaniu bizantyńskiego śpiewu liturgicznego oraz wytwarzaniu wielu produktów spożywczych i rękodzieła.

Z czasem Kovilj stał się miejscem, do którego pielgrzymują ludzie z całej Serbii. Dzięki otwartości braci mają tu miejsce spotkania młodzieży, liczne warsztaty i wydarzenia kulturalne. W momencie odejścia Porfiriusza z monasteru w 2014 roku bractwo liczyło 25 mnichów.

14 maja 1999 roku Porfiriusz został wybrany biskupem pomocniczym diecezji Bačka z tytułem biskupa Egeru. W 2004 roku na uniwersytecie w Atenach obronił pracę doktorską „Możliwość poznania Boga u św. Pawła według tłumaczenia św. Jana Złotoustego".

Nowy patriarcha od wielu lat ściśle współpracuje z przedstawicielami świata nauki i kultury. Jest uczniem niedawno zmarłego profesora **Vladety Jerotića**, nestora serbskiej psychologii, z którym współtworzył unikalny projekt pomocy ludziom uzależnionym od narkotyków czy borykających się z depresją. Z inicjatywy władyki powstała wyjątkowa inicjatywa nazwana „Kraina żywych". Na terenie całego kraju powstały ośrodki, w których leczy się ludzi potrzebujących pomocy. Już prawie cztery tysiące podopiecznych zostało objętych opieką tych wspólnot, gdzie nauka i medycyna łączą się z prawosławnym doświadczeniem duchowym. „Kraina żywych" cieszy się uznaniem specjalistów z całego świata, a opracowany tam proces terapeutyczny przynosi ponadprzeciętne efekty.

Władyka jest profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu w Belgradzie, gdzie prowadzi zajęcia m.in. z teologii pastoralnej, psychologii i Nowego Testamentu. Płynnie posługuje się greką, angielskim, niemieckim i rosyjskim. Jako uznany intelektualista nowy patriarcha często występował z wykładami na różnych uczelniach i uniwersytetach w kraju i za granicą. Jest też częstym gościem programów telewizyjnych i radiowych. Uchodzi za znawcę współczesnych mediów, które aktywnie wykorzystuje do głoszenia Ewangelii. Był pierwszym biskupem serbskiej Cerkwi, któremu powierzono opiekę nad organizacją życia religijnego armii (2010-2011).

26 maja 2014 roku decyzją soboru biskupów otrzymał godność metropolity. 13 czerwca tego samego roku w katedrze w Zagrzebiu został intronizowany na metropolitę Zagrzebia i Lublany. Swój plan na pracę duszpasterską w metropolii przedstawił podczas intronizacji: – Zawsze będę gotów uczestniczyć w budowie mostów między ludźmi i narodami, mając pełną świadomość, że są tacy, którzy będą rzucać kamieniami w budowniczych z obu brzegów. Ale Pan, który w swoim Jednorodzonym Synu przerzucił most nad przepaścią między Bogiem a człowiekiem, zobowiązuje mnie do tego.

Metropolita mówił przy okazji o swojej tożsamości i fundamentalnych wartościach, na których opiera swoją misję: – Jestem Serbem, ale przede wszystkim chrześcijaninem i to jest wartość uniwersalna. Dlatego będę głosić i świadczyć o Chrystusie. Kocham mój lud, ale kocham też wszystkie inne narody, każdego człowieka, każdą ikonę Boga.

Władyka pielęgnuje przyjazne i oparte na współpracy kontakty

Obecny patriarcha Porfiriusz w cerkwi św. Mikołaja Serbskiego w Białymstoku na Bacieczkach



z licznymi przedstawicielami Kościoła rzymskokatolickiego i innych wspólnot wyznaniowych, a także z wieloma liderami nauki i kultury w Zagrzebiu. Choć Chorwacja to kraj naznaczony wciąż żywymi antagonizmami etnicznymi i religijnymi, gdzie silne jest wspomnienie ostatnich wojen, a niechęć do Serbów wszechobecna, metropolita Porfiriusz potrafił znaleźć wspólny język z Chorwatami i zdobył ich szacunek. W 2015 roku, w pierwszą rocznicę objęcia katedry w Zagrzebiu, chorwackie dzienniki pisały m.in.: „Mamy powody być wdzięczni serbskiej Cerkwi za to, że posłała nam takiego biskupa".

Jest laureatem nagrody św. Ignacego Akademii Teologicznej w Sztokholmie. Wyróżnienie to zostało mu przyznane „za wkład w pojednanie ludzi na Bałkanach i pełną oddania pracę na rzecz promowania jedności wśród chrześcijan".

Z okazji otrzymania nagrody metropolita Porfiriusz wygłosił w Sztokholmie wykład o wolności i prawach człowieka. Mówił, że wolność i godność ludzka mają swoje źródło w Cerkwi Chrystusowej: – Wolność wyboru, wolność sumienia, swobodny przepływ ludzi i idei oraz materialne bezpieczeństwo każdego człowieka są tym, co przynosi chrześcijaństwo jako autentyczny personalizm. Wskazał też: – Nie oznacza to, że chrześcijaństwo oznacza przemijające wartości ludzkie, ale że potwierdza wieczne wartości, na których skupia się człowiek i jego zbawienie.

Swoim propagowaniem kultury dialogu i pokoju zdobył w 2019 roku uznanie chorwackiego Stowarzyszenia na rzecz Wolności Religijnej.

Zgodnie z tradycją następnego dnia po wyborze (19 lutego) w belgradzkiej katedrze św. Archanioła Michała odbyło się wprowadzenie na tron nowego patriarchy. Uroczyste wprowadzenie na tron dawnych arcybiskupów w Peći, która znajduje się w Kosowie i Metochii, zwyczajowo odbywa się w późniejszym terminie.

Podczas intronizacji nowy patriarcha zwrócił się do zebranych: – Proszę Boga, abyście wszyscy dali mi wsparcie w modlitwie i działaniu, abym te wielkie i odpowiedzialne zadania, które właśnie rozpoczynam, a które kładziecie na moje słabe barki, niósł z radością i w soborowej zgodzie. Abym jako 46 patriarcha i 57 zwierzchnik Serbskiej Cerkwi Prawosławnej był choćby w minimalnym stopniu skromnym naśladowcą moich wielkich i świętych poprzedników.

Jako najważniejsze wyzwania współczesności patriarcha wskazał potrzebę pokoju, zrozumienia i braterskiej miłości. Budowanie mostów i zakopywanie starych rowów. O największych problemach mówił: – Moim największym zmartwieniem, jak i całej naszej Cerkwi, jest nasze cierpiące Kosowo i Metochia, nasza duchowa Jerozolima. Kosowo dla nas, Serbów, to nie jest po prostu mityczna kraina, albowiem mity istnieją w wyimaginowanym świecie, w którym możemy wygrywać czy też przegrywać. Dla nas Kosowo to testament i ten kosowski testament jest związany z Nowym Testamentem, którego fundamentem jest świętość. Kosowo to nić, to pępowina łącząca nas z naszą duchową i historyczną kolebką. To istota naszej tożsamości. My jesteśmy w Kosowie i Kosowo jest w nas. W naszych świątyniach, w naszej cyrylicy i kosowskim testamencie. Kosowo jest sercem Serbii, a serce to organ odpowiedzialny za życie i za miłość. W sercu każdy może i powinien znaleźć miejsce, dlatego w naszym Kosowie jest miejsce dla wszystkich.

Patriarcha zapowiedział, iż całym swoim jestestwem będzie się trudził, aby jednoczyć ludzi, budować mosty i prowadzić dialog z każdym. Za przykład podał swoje doświadczenia z Chorwacji, którą nazwał swoją drugą ojczyzną. – Dzięki otwartemu dialogowi prowadzonemu w Zagrzebiu zdobyłem nowych przyjaciół, wierzę, że zdobyła ich też Serbska Cerkiew Prawosławna. Będę się trudził dalej, aby być godnym tej przyjaźni, którą otrzymałem w Zagrzebiu, w Lublanie i w innych miejscach, aby być godnym przyjaciół z Zagrzebia i Lublany, którzy okazali mnie i naszemu narodowi przyjaźń i wsparcie w trudnych momentach. Jednocześnie obiecuję wedle tego samego klucza być przyjacielem dla wszystkich ludzi innej narodowości czy wiary, którzy mieszkają tam, gdzie nasz prawosławny naród jest większością.

W 2017 roku metropolita Porfiriusz odwiedził Polskę. Uczestniczył w międzynarodowej konferencji „Fundamentalizm w kultach religijnych, parareligijnych oraz organizacjach ideologicznych – przykłady z Cerkwi lokalnych", zorganizowanej przez naszą Cerkiew w Akademii Supraskiej.

Daj Panie, by Jego Świątobliwość patriarcha serbski Porfiriusz służył w pokoju i pełni zdrowia Twojej Świętej Cerkwi na długie lata! *Αξιός! Godzien! Dostojan!*

Michał Czykwin
fot. **www.spc.rs/sr/ archiwum autora**



Dobroczynność na Rusi,
obraz Aleksandra Nawozowa

Lepiej dawać niż brać

13 marca, w sobotę przed Niedzielą Darowania Win i początkiem Wielkiego Postu, Cerkiew wspomina Świętych Ojców „poprzez post i wysiłek się zbawiających". W tym dniu odczytuje się fragment Kazania na Górze (Mt 6,1-13). W sposób szczególny zwraca się uwagę na ważny, uświęcony wielowiekową tradycją, zwyczaj udzielania jałmużny: *Strzeżcie się, żebyście uczynków pobożnych nie wykonywali przed ludźmi po to, aby was widzieli; inaczej nie będziecie mieli nagrody u Ojca waszego, który jest w niebie. Kiedy więc dajesz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jak obłudnicy czynią w synagogach i na ulicach, aby ich ludzie chwalili. Zaprawdę, powiadam wam: ci otrzymali już swoją nagrodę. Kiedy zaś ty dajesz jałmużnę, niech nie wie lewa twoja ręka, co czyni prawa, aby twoja jałmużna pozostała w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie* (Mt 6,1-4).

Wielki Post jest wielkim sprawdzianem szczerości naszej wiary. Zadeklarować „tak, jestem wierzący, prawosławny" nie jest trudno. Nikt tego nie zakwestionuje, bo nikt nie zajrzy do czyjegoś serca. Natomiast wszyscy widzą naszą postawę, nasze zachowanie, naszą działalność. Pismo Święte z naciskiem podkreśla, że: *Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę* (Ef 2,8), ale też *wiara, jeśli nie byłaby połączona z uczynkami, martwa jest sama w sobie* (Jk 2,17). Biblia kilkaset razy mówi o potrzebie dzielenia się posiadanymi dobrami i wspierania ubogich: *Kto bliźnim gardzi – ten grzeszy, szczęśliwy – kto biednym współczuje* (Prz 14,21); *Kto daje ubogim – nie zazna biedy; kto na nich zamyka oczy, zbierze wiele przekleństw* (Prz 28,27); *Czyż nie jest raczej ten post, który wybieram: (...) dzielić swój chleb z głodnym, wprowadzić w dom biednych tułaczy, nagiego, którego ujrzysz, przyodziać i nie odwrócić się od współziomków* (Iz 58,6,7).

Żydzi nie tylko płacili dziesięcinę. W synagogach co tydzień zbierano datki dla potrzebujących. Niektórzy robili to afiszując się swoją hojnością, bo publicznie ich wychwalano i mieli prawo zajmować pierwsze miejsce w synagogach. Jednak Chrystus przestrzega przed taką fałszywą dobroczynnością, bo ci ludzie „już odebrali swą nagrodę" i Bóg już niczego im nie doda. Nie wolno nam tego robić jedynie po to, „aby nas widzieli". Prawa i lewa ręka są sobie bardzo bliskie, ponieważ są nieodłączne od ciała i na ogół uzupełniają się i współpracują ze sobą. Niekiedy jedna ręka może działać niezależnie od drugiej. „Niech nie wie lewa twoja ręka, co czyni prawa" oznacza, że nie należy rozgłaszać swoich miłosiernych czynów nawet osobom, które są komuś tak bliskie, jak lewa ręka prawej. Czynienie dobra powinno być wręcz odruchowe, instynktowne. Jezus powiedział: *Ubogich zawsze mieć będziecie u siebie* (J 12,8). W większym lub mniejszym stopniu z biedą nie poradził sobie żaden kraj na świecie, w żadnej epoce. Ciekawe, że nawet Chrystus, wędrowny nauczyciel i jego apostołowie, raczej sami potrzebujący wsparcia, mieli jednak wspólny fundusz dla biednych (J 12,5-8; 13,29). Od zarania dziejów w Cerkwi solidarnie wspierano uboższych braci zgodnie ze słowami Apostoła: *Kto skąpo sieje, ten skąpo i zbiera, kto zaś hojnie sieje, ten hojnie też zbierać będzie (...) albowiem radosnego dawcę miłuje Bóg* (2 Kor 9,6-7).

Obecnie pojęcie jałmużna uległo zniekształceniu, deprecjacji i nabrało negatywnego sensu jako coś poniżającego, obraźliwego, kojarzonego z pogardą i litością. „Nie chcę jałmużny", gniewnie odpowiada pracownik, gdy pracodawca proponuje mu skromne wynagrodzenie. Jednak ten obrażony za marne pieniądze, zmuszony jest przyjąć pomoc, bo nie jest tak, że „niczego od nikogo nie potrzebuje". On tylko źle się czuje w tej swojej zależności od innych. Bieda go przytłacza i poniża jego godność. Proszenie o jałmużnę albo zadowalanie się nią ciągle uważane jest za coś wstydliwego, niehonorowego. Żyjący z jałmużny sam siebie nie szanuje i wśród ludzi nie cieszy się szacunkiem. Wspomagając ubogiego trzeba to robić niezwykle taktownie, z miłością, z wyczuciem, nie dając biedakowi ani trochę odczuć swej wyższości. Nie wzbudzają pozytywnych uczuć również dawcy jałmużny, bo kojarzy się ich raczej ze skąpymi pracodawcami albo z kimś, kto wzgardliwie rzuca potrzebującym ochłapy, niż z wielkodusznym dobroczyńcą zasługującym na docenienie i naśladownictwo. Tak. Bieda może być skutkiem lenistwa, zaniechania, wręcz głupoty, ale przeważnie jest spowodowana niemożnością poradzenia sobie, czynnikami niezależnymi od człowieka – bezrobociem, brakiem kwalifikacji, chorobą. Być biednym nie z własnej winy nie jest hańbą ani wstydem.

Pismo Święte podkreśla, że nie należy pomagać ludziom bezbożnym, bo wspomagając niegodziwców pomnażamy zło (Syr 12,1-7; Tob 4,7). Gdy ewidentny pijaczek na dworcu prosi rzekomo na bilet, w istocie dokładamy się do kolejnej butelki. A z drugiej strony, czy wolno nam decydować, kto jest w prawdziwej potrzebie, a kto nie? (por. Łk 6,37).

We wczesnochrześcijańskim dziele „Pasterz” Hermasa jest odpowiedź na ten dylemat, który powstrzymuje wielu przed sięgnięciem do kieszeni: „Czyń dobrze i dawaj wszystkim potrzebującym z prostotą, nie roztrząsając komu masz dawać, a komu nie dawać. (...) Ci, którzy brali, zdadzą sprawę Bogu, dlaczego wzięli i w jakim celu brali. Ci, (...) którzy oszukiwali po to, aby brać, poniosą karę. Ten kto daje, winy żadnej nie ma...” (27,4-6). Z jednej strony swymi podejrzeniami nie tłumaczmy skąpstwa, z drugiej, jeżeli jednak wyraźnie widać, że swoim datkiem pogłębiamy tylko upadek jakiegoś człowieka, jest wyjście. Można przekazać jakąś sumę sprawdzonej, pewnej organizacji charytatywnej typu „Eleos”, która właściwie spożytkuje nasz dar.

Z trzech filarów pobożności – jałmużny, modlitwy i postu – nie wiedzieć czemu pierwszy został jakoś po trosze zniekształcony i zmarginalizowany. Jednak Pan nasz wymienił jałmużnę jako rzecz wręcz obowiązkową dla swoich uczniów. Pomoc bliźnim zakrywa wiele naszych grzechów, jest zawsze mile widziana i miła Bogu. Nie kwota, nie ostatnia koszula, nie w sytuacji, gdy samemu brakuje, lecz intencja jest decydująca. W przededniu Wielkiego Postu Cerkiew przypomina, że *lepiej jest dawać, niż brać* (Dz 20,35), że udzielając cząstkę tego, co posiadamy, nikomu nie robimy łaski, bo jedynie spłacamy dług wobec Boga. Dajemy, bo mamy, a mamy dzięki temu, że Bóg pozwolił nam mieć. Być może jutro sami będziemy w potrzebie. W czasie postu, gdy modlimy się i pościmy, pamiętajmy o tym, że ochoczego dawcę Bóg miłuje. *Amiń.*

o. Konstanty Bondaruk

Prawosławie w niespokojnych czasach



Grecka ikona Triumf Ortodoksji

W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu, 21 marca, Cerkiew świętuje Triumf Ortodoksji, upamiętnia obrońców wiary prawosławnej i potępia wszystkich jej wrogów, heretyków i odszczepieńców. Ewangelia opowiada o tym, jak w przedziwny sposób sceptycyzm, uprzedzenia i stereotypy ustąpiły miejsca żarliwemu wyznaniu wiary wskutek „przyjścia i ujrzenia” na własne oczy.

Prostolinijne pytanie Natanaela skierowane do Filipa: „Czy może być coś dobrego z Nazaretu?” zasługuje na pogłębioną refleksję. Jako mieszkaniec nieodległej Kany Galilejskiej, jak inni mieszkańcy mógł



Archimandryta Jan (Krestiankin)



Św. Jan Kronsztadzki

żywić niechęć lub uprzedzenie do mieszkańców sąsiedniego Nazaretu. Mógł również słyszeć pogardliwe uwagi ze strony Judejczyków o Galilei, prowincji postrzeganej jako na wpół pogańska, czyli grzeszna. „Żaden prorok nie powstaje z Galilei” – argumentowali faryzeusze, gdy jeden z nich, Nikodem, odważył się bronić Jezusa (J 7,52). W powszechnym odczuciu prorok, ktoś o kim pisze się w Pismach, w żadnym razie nie może pochodzić z Nazaretu, małej, nieistotnej mieściny, o której nie ma nawet wzmianki na kartach Starego Testamentu.

Tu przychodzą mi na myśl wspomnienia z czasów nauki w Warszawie. Raz po raz przy powitaniu i przedstawianiu się słyszałem od wielu rówieśników frazę: „Jestem Janek (Piotrek, Marek, Kamil), urodzony i wychowany w Warszawie”. Ten dodatek „urodzony i wychowany w Warszawie” w ustach ewidentnych kmiotów jak i ja, stał się z czasem tak dalece irytujący, że wprawdzie z trudem, ale przemogłem się i zacząłem mówić o sobie: „urodzony i wychowany w Ostrówku”. Gdy były dodatkowe, wzgardliwe pytania: gdzie jest ta „wiocha”, mówiłem: „może wiesz, Białystok leży niedaleko Ostrówka”. Brzmi jak żart, ale to w ogóle nie jest błaha sprawa. Natanael posługuje się stereotypami, tak jak i my uważamy, że skądś albo wśród kogoś nie może być niczego dobrego. Ależ może! Wprawdzie tam się nie urodził, ale z Nazaretu pochodził, tam się wychował Jezus Chrystus.

Imię Natanael oznacza „Bóg dał”. Ewangelista Jan wspomina o nim dwukrotnie: teraz i później po Zmartwychwstaniu, podczas spotkania nad jeziorem Genezaret (J 21,2). Pozostali Ewangeliści używają imienia Bartłomiej, czyli „syn oracza” (Mt 10,3; Mk 3,18; Łk 6,14). Jako apostoł głosił Ewangelię w kilku krajach, posiadał szczególny dar uzdrawiania chorych i opętanych. Wcześniej, zanim stał się apostołem i otrzymał dar uzdrawiania, studiował Pisma, proroctwa, był dociekliwy i szukał prawdy. Był jednym z tych, którzy niecierpliwie oczekiwali Mesjasza, ale nie liczyli, że „coś dobrego” może pochodzić z pobliskiego Nazaretu. Podzielał stereotypowe myślenie i uprzedzenia, ale otrzymał pochwałę za to, że w dobrej wierze przyszedł do Jezusa zamiast automatycznie go odrzucić, jak to czynili inni Żydzi. Cerkiew prawosławna utożsamia się z Filipowym zaproszeniem: „Chodź i zobacz”, zaprasza do poznania jej. Triumf Ortodoksji jest dobrą okazją do refleksji nad tym, co posiadamy, skąd pochodzimy, jacy jesteśmy i jakie są nasze największe problemy i bolączki.

Archimandryta Jan (Krestiankin), jeden z najwybitniejszych starców rosyjskich (1910-2006) pisał, że pochwała pod adresem Natanaela jest jednocześnie uznaniem dla Cerkwi, w której nie ma fałszu, ludzkich wymysłów, tej, która jest prawdziwa w całym swym nauczaniu, sakramentach, nabożeństwie, kierownictwie i całej swej strukturze. Właśnie ta Cerkiew, według apostoła Pawła, *filar i ostoja prawdy* (1 Tm 3,15) jest *chwalebna, nie mająca skazy czy zmarszczki, czy czegoś podobnego (...), święta i nieskalana* (Ef 5,27). „Jakąż krwią, jaką walką z wrogami prawdy, iloma ofiarami życia gorliwych obrońców czystości, świętości wiary i Cerkwi nabyte, zachowane i przekazane nam zostało prawosławie!” – pisał Krestiankin. „Dziś widzimy naszą ziemską Cerkiew udręczoną, obciążoną rozmaitymi nieszczęściami i boleściami (a przecież to niemal permanentny stan Cerkwi Chrystusowej od czasu jej powstania) i rodzi się pytanie: czy jest powód do radości? Wiedzcie jednak, że Triumf Ortodoksji w Cerkwi będzie świętowany zawsze, bo to nie jest triumf widzialnej wielkości prawosławia, ale tego jedynego, co daje światu życie i czego nie mogą odebrać żadne zewnętrzne trudności i żadni wrogowie. Jest to triumf Bożej miłości do świata i życie wieczne świata w tej miłości i tą miłością” – pisał starzec jeszcze w czasach komunizmu.

To są piękne i mądre słowa Bożego człowieka. A mimo to, odkąd pamiętam, przy okazji Triumfu Ortodoksji zawsze najwięcej się mówiło o trudnej historii, o pierwszym tysiącleciu, o *ikonoburstwie*, herezjach i zwycięstwie nad nimi. Jakby świat stanął w miejscu – oto walczyliśmy, zwyciężyliśmy, obroniliśmy wiarę, mamy „święty spokój” i teraz świętujemy. A czy teraz wszystko jest w porządku? Zgodnie z duchem Kazania na Górze nie mówmy ciągle o przeszłości, na którą już nie mamy wpływu, ani o przyszłości, której nie znamy, lecz skoncentrujmy się na chwili obecnej (Mt 6,34). „Dosyć ma dzień swojej

biedy". Każdy dzień. Mamy teraz wiele problemów, których nie rozwiąże sama przynależność do prawosławia, jak niewiele znaczyło czuć się *potomstwem Abrahama* (J 8,33). Trzeba szukać sposobu, jak zatrzymać w Cerkwi lub pozyskać zagubioną młodzież, jak odnaleźć się we współczesnym świecie, uzgodnić kwestię diaspory, udział w ruchu ekumenicznym, rozsądzić spory kompetencyjne, kto i kiedy może nadawać autokefalię i autonomię oraz wiele innych ważnych kwestii.

Lekcja zamkniętych świątyń

Oto nagle Cerkiew zetknęła się z nowym, niewyobrażalnym zjawiskiem, ograniczeniem liczby wiernych w świątyniach. I to nie wskutek prześladowań. Gdy episkopaty zalecały dostosowanie się do ograniczeń sanitarnych, konserwatyści wśród duchownych i wiernych uznali to za tchórzostwo i dowód niewiary. Mimo że wielu tych niezłomnych w wierze umarło, nadal wielu uparcie nie wierzy w fakt pandemii. W zistaniałej sytuacji Cerkiew – i tak było w przeszłości – poszukuje możliwych do przyjęcia, ułatwiających wiernym przetrwanie tych trudnych czasów, rozwiązań.

Od ubiegłego roku mamy telewizyjne i internetowe transmisje nabożeństw. Gdy nie było możliwości uczestniczyć w nabożeństwie w swojej cerkwi, transmisja jest pewnym rozwiązaniem i trzeba ją potraktować jako smutną, ale jedyną rzeczywistość. Mimo że to tylko namiastka nabożeństwa, okazuje się, że dopiero dzięki transmisji duża liczba wiernych, zwłaszcza kobiety, po raz pierwszy w życiu ujrzały, co się dzieje w ołtarzu, za ikonostasem. Przez pięćdziesiąt lat człowiek chodził do cerkwi, zna na pamięć nabożeństwa, ale dopiero teraz niejako stoi obok kapłana w najważniejszym momencie Kanonu Eucharystycznego, dopiero teraz pełniej i głębiej uczestniczy w tym misterium, bo aż czuje ciarki na plecach. Wyjątkowa, przykra i wymuszona zarazą sytuacja pogłębiła wiarę za pomocą środków przekazu. Oto sprawdza się powiedzenie: *Nie bywajet chuda biez dobra*.

Jest jeszcze jeden plus. Pan nasz powiedział: *Nie człowiek dla szabatu, ale szabat dla człowieka*, tzn. że gdy coś robimy, to powinno być to świadome, pożyteczne działanie, a nie mechaniczna czynność, rutyna, tradycja i przyzwyczajenie. Gdy nie mogli wszyscy pójść do cerkwi, jedni czuli się głęboko nieszczęśliwi, inni przeżyli kryzys wiary. Nagle uświadomili sobie, że chodzili do cerkwi mechanicznie, z przyzwyczajenia, „dla żony i dzieci", „bo tak wypada". Jedni przekonali się, że Cerkiew jest im bardzo potrzebna, że jest to dla nich wielka wartość i nie mając możliwości uczestnictwa w nabożeństwach, umocnili się w tym swoim przeświadczeniu. Ci natomiast, którzy nie rozumieli Cerkwi, być może podejmą wysiłek *wocerkowlenija*.

„Grecy są obłudni"?

Dlaczego w charakterze ewangelicznego czytania wybrany został akurat ten fragment z początku Ewangelii według św. Jana? Bo pokazuje on, jaki powinien być wyznawca prawosławia – człowiekiem, w którym nie ma fałszu, podstępu, chytrości, dwulicowości, czyli *łukawstwa*. W cerkiewnosłowiańskim, liturgicznym sensie zawsze ma ono związek z kusicielem, oszczercą, szatanem. Gdy nie ma w sercu człowieka tych przymiotów „złego", oznak przynależności do świata grzechu i upadłych aniołów, to jest prawdziwie wierzący, prawosławny.

Od kilku lat coraz częściej są przywoływane słowa autora „Powieści minionych lat" Nestora Kronikarza *Greki łukawyje sut'*. Za tymi słowami kryje się wielki problem: utrata eucharystycznej jedności pomiędzy Cerkwiami – siostrami z powodu kontrowersyjnej autokefalii ukraińskiej. Niechętnie wypowiadam się na tak delikatny, drażliwy temat, znając swoje skromne miejsce w szeregu. Przyjmuję do wiadomości i uważam za roztropne oficjalne stanowisko naszej Cerkwi, które sprowadza się do stwierdzenia: „Ukrainie należy się autokefalia, ale zgodnie z kanonami i całemu prawosławiu w kraju, a nie grupie *raskolników*". Teraz strony tego sporu kompetencyjnego dyskutują, kto jest „Cerkwią-matką", a kto „córką", wspominają zawiłe dzieje i dowodzą swoich racji.

Spierający się często zapominają, że istnieje patrystyczna mądrość: „Prawda powiedziana bez miłości przestaje być prawdą".

W czasach rewolucji

Od kilku lat z rosnącym niepokojem czytam o coraz częstszych aktach wandalizmu i wrogości wobec prawosławnych świątyń i duchownych w Rosji. Podobne akty miały ostatnio miejsce wobec kościołów katolickich w Polsce. Z okazji kolejnej rocznicy rewolucji (7 listopada) lub zabójstwa carskiej rodziny (17 lipca) co roku podnoszona jest kwestia roli Cerkwi w tragedii początku XX wieku: dlaczego naród w swej znaczącej masie odwrócił się od Cerkwi?

O. prot. Andrej Tkaczow mówi: „W przededniu rewolucji (...) odrzucenie Boga splotło się z dążeniem do postępu społecznego". Przytacza następujący epizod. Oto pewien student najpierw przypalił papierosa od łampady, następnie uderzył o. Jana Kronsztadzkiego. Jedną z przyczyn ówczesnego antyklerykalizmu, istnego „opętania" (ros. *biesnowanija*) według Tkaczowa był „wysoki stopień sprzężenia Cerkwi z władzą, poczucie krzywdy i pragnienie zmian". Trwała wyniszczająca wojna, było „pełne rozprzężenie moralne. Ludzie upodobnili się do zwierząt" – pisał arcybiskup Nikon.

Przed 1917 rokiem Cerkiew rosyjska miała 62 diecezje, około 150 biskupów, 100 tysięcy świątyń i tyleż kapłanów, około 1000 monasterów, ponad 100 milionów wiernych. Te liczby robią wrażenie, ale na soborze 1917-1918 roku hierarchowie mówili: „Sami nie wiemy, czy reprezentujemy 100 milionów, czy może tylko 10 milionów wiernych". Obecnie, w sensie liczebności świątyń, jeszcze wiele brakuje do tej liczby, ale Tkaczow radzi: „Dość już budowania. Zajmijmy się ludźmi, bo wkrótce cerkwie będą puste".

Patriarcha serbski Paweł w Kosowie, Vidovdan, rok 2005



Jakby nauczony historycznym doświadczeniem, 10 sierpnia ubiegłego roku Synod Prawosławnej Cerkwi Białorusi wystosował orędzie, w którym biskupi napisali: „Cerkiew zawsze była i będzie z narodem. Jesteśmy powołani do tego, by uczynić wszystko co w naszej mocy, by każdy cierpiący doznał pocieszenia, a każdy szukający prawdy był wysłuchany. Kategorycznie potępiając przemoc, tortury, poniżenie, bezprawne zatrzymania, ekstremizm we wszelkich jego formach i przejawach, kłamstwa i wiarołomstwo, apelujemy do wszystkich, komu droga jest nasza ojczyzna, dzieci, krewni i bliscy, zatrzymać się i przerwać konfrontację”.

Postawa serbskiego patriarchy Pawła

Cerkiew jest powołana do tego, aby być duchowym przewodnikiem narodu, uczyć go patriotyzmu i powściągać złe instynkty wraz z nacjonalizmem, stać na straży moralności, wskazywać właściwą obywatelom i rządzącym. drogę.

Według mnie takim człowiekiem był zmarły 15 listopada 2009 roku serbski patriarcha Paweł. Kierował Cerkwią w burzliwych czasach, ale zawsze umiał godnie zachować się jako obywatel swego kraju. Można powiedzieć, że wręcz aktywnie wtrącał się do polityki, szukał kompromisu i w rezultacie znosił ataki ze wszystkich stron. Podczas intronizacji 2 grudnia 1990 roku powiedział, że jego program jest już od dawna napisany – to Ewangelia.

Uważał, że z Chrystusem nie wstyd jest przegrać, a moralność jest ważniejsza od wszelkiego nacjonalizmu. Mówił: „Gdyby dla zachowania Wielkiej Serbii wymagane było przestępstwo, nigdy nie dałbym na to swej zgody. Niech raczej zginie Wielka Serbia. Gdyby drogą przestępstwa należało zachować Małą Serbię, nie dałbym na to zgody. Niech zginie i Mała Serbia, byle tylko nie było przelewu krwi. Nie! Za taką cenę nie! Gdyby za taką cenę należało zachować ostatniego Serba i ja byłbym tym ostatnim Serbem, nie byłoby mojej zgody. Niech raczej zginiemy, ale w tym wszystkim pozostaniemy Chrystusowymi ludźmi”. Gdy we wrześniu 1991 roku w Belgradzie odbywały się manifestacje za i przeciw władzy, patriarcha wystąpił przed opozycją: „Przyszedłem tu z tronu św. Sawy, by prosić was, abyśmy dla dobra całego naszego narodu w tak trudnych okolicznościach wszystkie nasze sprawy rozwiązywali tam, gdzie należy to czynić pokojowo i w pokoju rozejść się. Pójdę i na drugą stronę i ich również poproszę, by się rozeszli. Przecież wszyscy to nasz naród. Czyż mamy dziś skąpać się we krwi?”. Ze strony władzy hierarcha był atakowany za to, że bronił opozycji i mówił, że Slobodan Miloszewicz to komunista, a religię wykorzystuje dla zachowania swej władzy i że jest odpowiedzialny za katastrofę narodową. Opozycja sugerowała, że patriarcha jest „człowiekiem Miloszewicza”, ponieważ szukał kompromisu z władzą, bywał na oficjalnych spotkaniach i przyjmował u siebie prezydenta z rodziną. Gdy patriarcha mówił o zbrodniach wojennych Chorwatów i muzułmanów i o tym, że Serbowie mają prawo do wojny obronnej, potępiali go Chorwaci i muzułmanie. Gdy mówił, że również Serbowie zachowywali się bestialsko i że nie należy wciągać się w wojnę z NATO, zdrajcą nazywali go serbscy nacjonaliści. Kiedy mówił, że aborcje to katastrofa narodowa, mieszały go z błotem feministki. W 1997 roku on, 83-letni starzec, wychodził samotnie z laską na manifestacje, by zapobiec przemocy zarówno ze strony policji, jak i tłumu. Patriarcha Paweł podpisał się pod dokumentem delegującym Miloszewicza w imieniu bośniackich Serbów na pokojowe rozmowy w Dayton. Synod serbskiej Cerkwi zdystansował się od tego, uznał podpis za nieważny, bo biskupi byli przeciwko Miloszewiczowi, natomiast patriarcha był za… pokojem. Pokojem w Chrystusowym sensie.

Niedziela Prawosławia niech będzie dla wszystkich prawosławnych bez wyjątku okazją do pogłębionej refleksji nad własną odpowiedzialnością za obecny stan prawosławia i modlitwy o to, aby Bóg był z nami, bo „bez Boga ani do proga”.

o. Konstanty Bondaruk
fot. **Darko Terzic**, **www.rospc.org**

Nasze miejsce



Zorganizowaliśmy dyskusję on-line na temat tradycji, wartości i integracji, lub jej braku, w naszej Cerkwi, wśród wiernych należących do różnych mniejszości narodowych. W słowie wstępnym prowadząca dyskusję Anna Radziukiewicz powiedziała:

— Indywidualizm jest powszechną światową tendencją. Wzmacnia go sytuacja pandemii koronawirusa – zdalna praca, zdalne nauczanie, ograniczanie obecności wiernych w świątyniach, koncerty on-line. Sprzyja to dezintegracji społecznej, groźnej zwłaszcza dla mniejszości narodowych, jaką są Białorusini, Ukraińcy czy Łemkowie w Polsce, stawiając przed nimi nowe wyzwania.

Jeszcze do drugiej połowy XX wieku, nawet do przemian ustrojowych 1989 roku, społeczność prawosławna w Polsce w zdecydowanej większości była spójna. Narodowo, w ludowym pojmowaniu, nie w naukowej klasyfikacji, określała się jako ruska, czyli tak jak mówiła o sobie przez wieki, stawiając znak równości między prawosławiem i ruskością. Potem każda z grup coraz bardziej skupiała się na swojej odmienności. Sprzyjała temu polityka państwa, realizowana przez system dotacji.

Dezintegracja w moim odczuciu to osłabienie, ubożenie, strata.

W Polsce, w której o ruskiej kulturze, mimo jej wielowiekowego trwania w ramach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, milczą wszystkie podręczniki i niemal cała sfera kultury, łatwo młodych ludzi, w tym prawosławnych, przekonać, że Ruski to pojęcie odnoszące się do współczesnej Rosji, a nieobecne już przy Nestorze Letopiscu czy metropolicie Iłarionie w jedenastym czy dwunastym wieku we wszelkich Rusiach.

Podział, czy to w sferze narodowej czy religijnej, ma tendencję do generowania kolejnych pęknięć. I wtedy nie możemy mówić jednym głosem w tak ważnych sprawach jak tradycja i jej rozwój, kultura, ale także słabnie nasza siła w przeciwdziałaniu tak groźnym zjawiskom jak ubożenie i wyludnianie się tak zwanej ściany wschodniej, wyciekanie z niej rusko-prawosławnego etnosu, zlewanie się z morzem polskości.

Na ile jesteśmy odpowiedzialni za procesy dezintegracji? Jak zachowywać tradycję w globalizującym się świecie?

O. prof. Marek Ławreszuk: – Tradycja cerkiewna jest nauczaniem Cerkwi, głoszeniem Chrystusa. Jest pojęciem uniwersalnym, bazującym na Piśmie Świętym. Dzielimy ją na mniejsze zbiory – tradycję liturgiczną, sztukę sakralną. Jest też historią wspólnoty cerkiewnej, zapisaną przez cerkiewnych historyków, na przykład Euzebiusza z Cezarei, Scholastyka czy późniejszych historyków, przybliżających sobory powszechne i lokalne. Dziś raczej będziemy mówić o tradycji lokalnej – obrzędowej, ludowej, ponieważ ta zmienia się, dostosowując do potrzeb człowieka. I w masie mnóstwa tradycji nie ośmieliłbym się wybrać jednej z nich i powiedzieć, że jest bardziej uświęcona czy Bogiem natchniona.

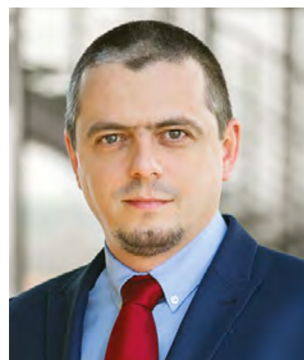
Anna Radziukiewicz: – Jakie czynniki mogą być groźne dla tradycji lokalnej?

Prof. Aleksander Naumow: – Chciałbym powiedzieć o globalizacji, prześladowaniach, ubóstwie i bogactwie i ich wpływie na tradycję. Wiemy, że procesy globalizacyjne wymiatają małe języki. Poddają się im też małe kultury. Na szczęście kultura inspirowana prawosławiem nie jest mała. Z prześladowaniem danej kultury i jej nosicieli bywa różnie. Weźmy losy Serbów Łużyckich – dopóki byli prześladowani przez Niemców, rozwijała się ich tożsamość, język. Kiedy Niemcy przestali im zagrażać i wszystko było im wolno, zaczęli zanikać. Nadmierne poczucie więc bezpieczeństwa bywa równie groźne, jak globalizacja.

Na początku XVII wieku o. Zachariasz Kopysteński podkreślał, że Jezus urodził się w biednej grocie betlejemskiej, nie w pałacach. Wobec tego im biedniejsza, bardziej prześladowana, z mniejszym poczuciem bezpieczeństwa grupa, tym większą czuje jedność i wie, czego ma bronić. Opływanie w dostatki, także cerkiewne, może być też problemem w pielęgnowaniu tradycji. Jerzy Szacki, słynny socjolog i filolog, dzielił tradycję na pozytywną i negatywną. Pierwsza to ta, którą wybieramy i która nas buduje, negatywna zaś nastraja do obrony. U nas najwięcej było negatywnej, wyrastającej z kontekstu istnienia Kościoła unickiego, greckokatolickiego. Niczego tak bardzo nie baliśmy się czy nie lubiliśmy, jak grekokatolików. Stanowili dla nas prawdziwe niebezpieczeństwo. Ale skoro tak było, to nas konsolidowali.

Jeszcze na jeden problem chcę zwrócić uwagę – ekskluzywizm zbawczy, soteriologiczny, ale również kulturowy. Podpowiada on – to nasza kultura, wiara, tradycja jest najlepsza, tylko u nas jest zbawienie. A teraz jest problem – zgłaszają się do tego bycia ekskluzywnym wielkie i małe tradycje, nawet folklor religijny. Słyszę: – Siedzę teraz w domu z powodu koronawirusa. Chciałabym w telewizji obejrzeć i usłyszeć swoją tradycję, a tu puszczają polską prawosławną Li-






turgię albo łemkowską. A to nie nasza. Nasza to jest z Narojek albo z Narwi. To problem, bo wielu ludzi nie chce wyjść z tej kulturowej lokalnej niszy. Z drugiej strony, obserwując przez dwadzieścia lat naszą Cerkiew trochę z boku, widzę tendencję do zacierania lokalności, do unifikacji. Najmniej temu procesowi poddają się Łemkowie. Widzę też pewne skostnienie praktyki liturgicznej, dobrze, że hierarchowie dostrzegają ten problem, np. ostatnio porządkując wykaz imion świętych na *litii*, który uderzał różnorodnością.

Chcę też przypomnieć, że zbliża się spis powszechny. Będziemy musieli odpowiedzieć na pytania określające nasze wyznanie, narodowość, język domowy. Trzeba, by jak najwięcej ludzi w jakikolwiek sposób związanych z kulturą ruską szeroko rozumianą dało przemyślane odpowiedzi. Powinno to być ważne zadanie dla duchownych i intelektualistów, bo wyniki spisu powszechnego mogą być wiarygodną podpowiedzią dla tych, którzy układają programy edukacyjne, decydują o środkach adresowanych do mniejszości narodowych.

Anna Radziukiewicz: – Łemkowie zostali przywołani w wypowiedzi pana profesora. Mamy ich reprezentanta – Damiana Trochanowskiego, syna łemkowskiego poety, Piotra Trochanowskiego, czyli Petra Murianki. W jaki sposób Łemkowie dbają o swoją tożsamość i jakie metody uważają za najskuteczniejsze?

Damian Trochanowski: – W zachowaniu tożsamości najważniejsza jest transmisja międzypokoleniowa, czyli to co wynosimy z rodzinnego domu. Mam żonę Polkę i dwie córki, chrzczone w cerkwi. Mieszkam na Mazowszu, 25 kilometrów od Warszawy. Na co dzień moje dzieci nie mają kontaktu z innymi łemkowskimi dziećmi, ale nieraz zawstydzają rówieśników żyjących wśród Łemków swoją znajomością łemkowskiego. Swobodnie przełączają się z łemkowskiego na polski i na odwrót. Ważne jest, by w dzieciach od początku nie wywoływać poczucia niższości z powodu przynależności do mniejszości. I gdybym w miejscach publicznych od razu przechodził w rozmowie z dzieckiem na polski, ono wiedziałoby, że coś niedobrego się dzieje – dlaczego w domu po łemkowsku, a w szkole po polsku. Wiem, że wielu w domach mówi *po swojemu*, ale poza dom z tym nie wychodzi. To hoduje kompleks niższości.

Teraz o sytuacji Łemków. Od 1939 do 1989 roku, czyli pół wieku, byliśmy praktycznie wyjęci spod prawa. Nie istnieliśmy w sensie prawnym. Nie mieliśmy szans, jak Białorusini czy Ukraińcy, uczyć się swojego języka, przeczytać gazetę po łemkowsku. I widzę, że po tym półwieczu „niebycia" ciężko nam się odradzać. Że ta transmisja międzypokoleniowa to za mało, bo przecież wielu Łemków spolonizowało się albo zukrainizowało. Tak jak są „słuszni" i „niesłuszni" Białorusini, tak też i u nas „na górze" działacze się kłócą. Niemniej organizują różne wydarzenia kulturowe, społeczne, przez co ożywiają naszą społeczność, budują jej tożsamość.

Anna Radziukiewicz: – Dziękuję za szczerą wypowiedź i ocenę. Doroteusz Fionik, założyciel i prezes Stowarzyszenia Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, Białorusin, mógłby nam też powiedzieć o transmisji międzypokoleniowej oraz niezwykłej umiejętności łączenia wiary i tradycji ludowej. To rzadkie zjawisko.

Doroteusz Fionik: – Dla mnie naród oznacza nasz ród, naszą rodzinę. Taka jest etymologia słowa. Dlatego w swoich działaniach staramy się zawsze patrzeć wstecz, ku przodkom. Kontynuujemy to, co oni tworzyli. Kiedy na święto *Jurja* idę z obrzędem na pole, zawsze mam w pamięci swego dziadka Gryszę Sidorskiego, który do ostatnich lat swego życia chodził na *Jurja* w pole z *korowajem*.

Zagłębiam się w historię naszego rodu w tym szerszym pojęciu. Straciliśmy elitę jako szlachtę, magnaterię. Spolonizowała się i zlatynizowała w czasach I Rzeczypospolitej. Ale naszą elitą stało się mieszczaństwo i duchowieństwo. I to dzięki niemu można powiedzieć, że nasza kultura jest kulturą słowa. My tu na Podlasiu jesteśmy ludźmi słowa, książki. Spójrzmy na współczesne kontynuacje działalności zabłudowskiego drukarza Fiodorowa w drugiej połowie XVI wieku. To fenomen inspirujący bardzo aktywną działalność edytorską naszego prawosławnego, białoruskiego środowiska w ostatnich trzydziestu latach. Bez tego kulturowy obraz Podlasia, a tym samym Polski, byłby znacznie, znacznie uboższy.

Spójrzmy na wielki mieszczański bielski ród Siehieniewiczów, który przyczynił się do rozwoju Bielska i położył podwaliny pod istnienie supraskiego monasteru. Siehieniewiczowie to także ojcowie-założyciele naszych Studziwód, dlatego czujemy się kontynuatorami ich dzieła. To dzięki takim, między innymi, postaciom język ruski jako urzędowy trwał w Wielkim Księstwie Litewskim przez cały wiek

XVI i XVII. W Bielsku na Sejmie w 1564 roku używano języka ruskiego jako oficjalnego, a w *Przywileju Bielskim* zapisano, że *pisarz ziemski majet po rusku literami ruskimi pisati, nie inszymi literami i słowy*. Idąc do czasów nowszych – proboszcz parafii w Starym Korninie o. Celestyn Bren napisał w 1858 roku kapitalną pracę etnograficzną, aktualną do dziś, na temat włościan powiatu bielskiego, poszerzoną przez jego syna o. Jarosława Brena. Takich duchownych, którzy potrafili patrzeć na zwyczaje ludu jako ważną część lokalnej tożsamości, także cerkiewnej, było u nas więcej. We współczesności wiodącym przykładem w tym względzie jest postać o. Grzegorza Sosny.

Osobą, która mnie ostatnio fascynuje, jest niedoceniony pisarz Józef Tokarzewicz Hodi, mało obecnie znany. Jego, wydana w 1881 roku, powieść „Pan Ślepy Paweł" to tropy do zrozumienia nas samych. Hodi, prawosławny mieszczanin z Bielska Podlaskiego, był mistrzem słowa polskiego, piewcą Rusi ponad jej podziałami oraz idei polsko-ruskiej cywilizacji.

Też pochodzę z rodu mieszczańskiego, z mieszczańskiej wsi Parcewo. Wsie mieszczańskie zlokalizowane wokół Bielska to ciekawe zjawisko społeczno-kulturowe. Przybliżając je, wydaliśmy teraz dwie książki o jednej z nich – Widowie. Trzeba sobie uświadomić, że bez silnych wsi mieszczańskich Bielsk mógłby dawno stracić swój wyrazisty, wschodniosłowiański, ruski charakter. Ale to temat do rozważań w innym miejscu…

Anna Radziukiewicz: – Przywykliśmy już do określania kultury Białorusinów w Polsce jako chłopskiej, bo nie mamy pamiętników, dzienników podróży, powieści. Tymczasem Darek Fionik pokazuje poprzez swoje badania, że mamy swoją kulturę słowa, publikując dociekania choćby w periodyku „Bielski Hostiniec". Gratuluję misji oraz pracy w – powiedziałabym – instytucie rodzinnym, z żoną Elżbietą, dyrektorką Bielskiego Domu Kultury, synem Maksimem, studentem kulturoznawstwa o specjalizacji wschodniosłowiańskiej, dorastającymi Ilją i Tasią. Darku, jesteś mieszczaninem i rolnikiem…

D**oroteusz Fionik:** – Znany polski antropolog kultury Aleksander Jackowski powiedział, że dawni włościanie byli wielozawodowcami. Mnóstwo rzeczy umieli zrobić. Dlatego mogli przeżyć w trudnych warunkach. Podtrzymuję tradycję wielozawodowstwa. Uprawiam ziemię – ona nadaje rytm mojemu życiu i „uprawiam" słowo.

Anna Radziukiewicz: – Po prostu siewca. Ziemia, język i wiara są fundamentem naszej tożsamości – mówią socjolodzy. Proponuję teraz z poziomu mieszczańskiego przejść na wielkomiejski. Zaproszenie do udziału w dyskusji przyjęła Anna Czerewacka, urodzona w Białymstoku, mieszkająca w Warszawie, współinicjatorka założenia polskojęzycznej parafii św. Grzegorza Peradze w Warszawie przy Lelechowskiej. Pani Aniu, wielu, zwłaszcza młodych, ludzi określa siebie jako prawosławnych Polaków. Nie mówię tu o Polakach z dziada pradziada, tylko o tych, których dziadkowie, a nawet i rodzice, mówili o sobie jako Ruskich, w tym ogólnym sensie. Jak Pani ocenia ten proces?

Anna Czerewacka: – Bardzo się cieszę, że zostałam zaproszona do dyskusji. Trzeba odczarować konieczność podążania za tradycją. Każdą. Tradycja kiedyś organizowała ludziom życie. Wynikało z tego wiele zachowań. Na przykład, kiedy dziecko płakało ze strachu, ludzie je okadzali ziołami. Dziś nauka podpowiada inne metody leczenia dzieci z różnych chorób.

Kwestia druga – została zerwana ciągłość tradycji. Mówię o Podlasiu. Mam żal do pokolenia naszych rodziców, że stali się ogniwem, które łańcuch przerwało. Nasi rodzice jeszcze umieli mówić po białorusku, czy w jakiejś gwarze i między sobą w domu mówili w tym języku, ale już nie w autobusie, bo się wstydzili. Wyjechali do miasta i do nas mówili po polsku. Nasi dziadkowie zostali niejako zmuszeni do tego, by do nas zwracać się po polsku, mimo że często nie znali tego języka. Teraz my słyszymy pretensje, że nie znamy swego języka. Ale my go nie odrzuciliśmy, tylko nikt go nas nie nauczył. W moim pokoleniu niewiele osób mówi po białorusku lub w jakiejkolwiek gwarze. To duża szkoda. Ale musimy z tym faktem jakoś się skonfrontować. Poza tym żyjemy w świecie globalizacji i Internetu. Młodzi ludzie nieraz szukają w nim, na zewnątrz, jakiejś tradycji. Stąd biorą się te skoki do przerębli w święto Objawienia Pańskiego, zupełnie nam obca tradycja. Czy ktoś słyszał, by nasi dziadkowie czy rodzice, rozebrawszy się, skakali do rzeki, do poświęconej wody?

Bolesna jest dla mnie próba wrzucania różnych kultur do jednego worka. Mówi się nam – to niedobrze, że jesteś Białorusinem, Ukraińcem, Podlaszukiem. Spróbuj się zunifikować. I wtedy tworzymy coś sztucznego, co do nikogo nie przemawia, szczególnie do młodych. Taką próbą unifikacji jest głoszenie kazań w języku rosyjskim. Brzmią sztucznie. Mają nas jednoczyć, ale nikomu nie odpowiadają.

I ostatnia kwestia, którą chcę poruszyć. Kościół jako wspólnota jest miejscem żywym, a nie muzeum, pielęgnującym stare tradycje i przekazującym, jak to kiedyś było. Powinien odpowiadać na obecne potrzeby ludzi, między innymi wspólnotowości, przyjaźni, budowania relacji, może przy pomocy czynienia czegoś dobrego innym. Może więc, jeśli mamy wyrwę pokoleniową w pielęgnowaniu dawnych tradycji, powinniśmy zacząć budować nową tradycję?

Tym co mnie boli jest zamykanie się na innych. Jeśli zaczniemy budować taką strukturę prawosławno-narodową, to zamkniemy się na tę polskość, która już tu jest. Mamy klapki na oczach i mówimy, że jeśli ktoś jest Polakiem i prawosławnym, to najlepiej by stał się Białorusinem lub Ukraińcem, żeby był taki nasz. Myślę, że mamy problem z zamknięciem się na tę nowość, która do nas przychodzi.

Anna Radziukiewicz: – Dziękuję pani Anno za podzielenie się swoim doświadczeniem i niepokojem, spojrzenie na sprawę z punktu widzenia stolicy. Poprosimy teraz Andrzeja Charyło, doktora nauk teologicznych, dziennikarza Przeglądu Prawosław-







nego, który studiował w Warszawie, Kijowie, Regensburgu, Fryburgu, wszędzie znajdując prawosławne parafie. Proszę powiedzieć, czy prawosławie w Niemczech, Szwajcarii, USA jest jednocześnie nosicielem narodowych korzeni?

Andrzej Charyło: – Na Zachodzie prawosławie jest zwykle postrzegane jako część kultury i tradycji Rosji, Białorusi, Ukrainy, Serbii, Bułgarii, Grecji. Jest często traktowane jako coś obcego, nawet egzotycznego. Na Wschodzie tradycja przynależności do wspólnot narodowych jest bardzo silna, ona łączy, jednoczy. Natomiast parafie zachodnie, w życiu których uczestniczyłem, tworzyli głównie konwertyci, na przykład w szwajcarskim Fryburgu było ich ponad 70 procent. Dla nich tradycja narodowa jest na ogół czymś obcym, choć nie do końca. Są konwertyci, którzy wybierają parafie ruskiej Cerkwi, w nich czując się najlepiej, inni greckiej, uważając że to Hellada jest źródłem wiedzy, duchowości i kultury europejskiej, wywodzącej się z tradycji chrześcijańskiej. Większość jest jednak ponad podziałami, uczestnicząc w życiu liturgicznym różnych parafii. Trzeba docenić gorliwość i wysiłek konwertytów w odnajdywaniu miejsca w Cerkwi.

Bywa i tak, że na Zachodzie w jednej parafii odnajdujemy różne tradycje – grecką, rosyjską, serbską, bułgarską, rumuńską, gruzińską, bo jeśli w mieście jest jedna parafia, to należą do niej ludzie różnych narodowości ze swoimi tradycjami.

Anna Radziukiewicz: – Ważną osobą w naszej dyskusji jest poseł Eugeniusz Czykwin, który tak skutecznie, poprzez wieloletnie, trudne zabiegi, doprowadził do uchwalenia dwóch zasadniczych dla nas aktów prawnych – ustawy o stosunku państwa do Cerkwi prawosławnej i ustawy o mniejszościach narodowych i językach regionalnych. Dziesięcioleciami zabiegał o budowanie jedności w naszej społeczności.

Eugeniusz Czykwin: – Z wielką uwagą słuchałem wszystkich wypowiedzi. Od siebie, jako pokolenia urodzonego kilka lat po drugiej wojnie, chce powiedzieć, że wywodziliśmy się z biednych białoruskich wsi, nasi rówieśnicy Ukraińcy i Łemkowie mieli jeszcze gorzej – ich rodziców wysiedlono w ramach Akcji Wisła. Wielu z nas, będąc studentami, pozostawało na rozdrożu, jeśli chodzi o naszą wiarę, stosunek do Boga, bo ani czasy socjalizmu, ani pozostawanie w polsko-katolickim morzu nie sprzyjało wyborom na rzecz naszej tożsamości religijnej i narodowościowej. PRL dał nam jednak – co teraz jest niemodne i politycznie niepoprawne – szansę awansu społecznego.

Jako mniejszość podlegaliśmy po wojnie procesowi rozpadu więzi społecznych – tych ze wsi nie dało się przenieść do miast, chyba że w okrojonym wymiarze. I byliśmy grupą negatywnie naznaczoną – w zasadzie od czasów Kazimierza Wielkiego, który w swej ekspansji wszedł w połowie czternastego wieku na ziemie ruskie. To wtedy katolicko-polskie elity podejmowały wybór, jak odnosić się do naszej wiary. A ponieważ wtedy obowiązywał ekskluzywizm wyznaniowy, mówiący że poza Kościołem rzymskokatolickim nie ma zbawienia, stanęliśmy jako prawosławni Rusini w sytuacji dla nas bardzo niekorzystnej.

W naszym zagubieniu w latach studenckich podał nam rękę władyka Jeremiasz, wtedy doktor teologii Jan Anchimiuk. Pomagał znajdować stabilne i godne miejsce w Cerkwi. Potem tę rolę przejęło Bractwo Młodzieży Prawosławnej. Stało się odpowiedzią na zagubienie i radością odkrywania swojej wiary. Dziś bardzo ważne jest, na co zwróciła uwagę pani Ania Czerewacka, budowanie więzi między prawosławnymi, czemu mogą służyć spotkania po Liturgii choćby dzieci i młodzieży.

Anna Radziukiewicz: – Dziękuję naszemu posłowi za refleksję nie tylko międzypokoleniową, ale i ponad wiekami. Proponuję zakończyć nasze wypowiedzi krótkimi refleksjami na temat naszych cerkiewnych i narodowościowych radości lub bólów i niepokojów. Proszę o wypowiedzi.

Damian Trochanowski: – Do pani Anny Czerewackiej. Zazdroszczę, ale zdrowo, waszych sukcesów w pracy parafialnej. Proces poszukiwania swojej tożsamości jako polskiej w ramach prawosławia jest trudny. Wymaga tłumaczenia na polski ksiąg liturgicznych. Wielki ukłon dla was za to co robicie przy Lelechowskiej, ponieważ wielkość prawosławia tkwi między innymi w jego różnorodności. Chciałbym kiedyś widzieć nasze parafie, mające przetłumaczone na łemkowski księgi liturgiczne, *trebniki*, Ewangelię, *Apostoła*.

Doroteusz Fionik: – Pandemia, czas ograniczeń, pokazał że najważniejsza jest praca organiczna, budowanie wewnętrznego potencjału, a nie trwonienie sił i pieniędzy na imprezy masowe, ulotne z natury rzeczy. Pandemia pokazała, jak nie zdały egzaminu skostniałe formy pracy naszych organizacji i w jaki sposób obroniły się osoby i organizacje twórcze, o wielowektorowej działalności.

Boli mnie zamknięcie od roku granicy z Białorusią. Mozolnie budowane od trzydziestu lat nasze kontakty twórcze i kulturalne z Białorusią, przeżywają uwiąd. Cały białoruski

ruch w Polsce ma problem, ponieważ wielu dyrygentów zespołów, chórmistrzów, muzyków, instruktorów tańca, sztuki i rękodzieła przyjeżdżało do nas zza wschodniej granicy i uczyło naszych ludzi. Teraz przyjechać nie mogą. Smuci mnie też, w jaki sposób samorządowe władze województwa podlaskiego starają się marginalizować wpływ prawosławnych na życie społeczno-kulturalne, pozbawiając przedstawicieli tej społeczności stanowisk, mimo ich fachowości i wybitnych rezultatów pracy. Dotyczy to choćby kierownik Muzeum w Bielsku Podlaskim Aliny Dębowskiej, którą zwolniono z funkcji w jubileuszowym trzydziestym roku kierowania przez nią tą placówką.

Cieszy mnie, że nasza społeczność bardzo wiele stworzyła i tworzy, zarówno w sferze kultury jak i biznesu, a te sfery są ze sobą powiązane. Potrzebujemy więcej społeczników, ludzi bezinteresownych, widzących szeroko, takich jak ród Siehieniewiczów, mieszczan bielskich.

O. prof. Marek Ławreszuk: – Uważam, że warto spotkać się i porozmawiać o fenomenie współczesnych mediów społecznościowych, które mają szeroki wpływ na młodzież. I widzieć w nich nie tylko negatywy, ale i pozytywy. To co mnie cieszy, to postawy naszych wiernych w ostatnich miesiącach, poczynając od świąt Narodzenia Chrystusa. Pandemia niejako zmusiła nas do zastanawiania się nad głębokim sensem życia, różnymi kwestiami w czasie kryzysu. Wielu ludzi pogłębiło swój związek z Bogiem i Cerkwią, co widać też po zwiększonej obecności wiernych podczas Liturgii, zwłaszcza akatystów.

Prof. Aleksander Naumow: – Wydaje mi się, że umyka nam jeden ważny aspekt. Zalała nas fala prawosławnych imigrantów, głównie Ukraińców, których najwięcej jest w dużych miastach, takich jak Warszawa, Kraków, Wrocław, Szczecin, Poznań, Gdańsk. Nie zawsze jesteśmy przygotowani na ich przyjęcie. Wydaje się, że w niektórych miejskich parafiach emigranci pochłonęli tych *starożyłów.* Zmienia się nawet śpiew cerkiewny, wymowa, obrzędy. W krakowskiej cerkwi nigdy przedtem nie słyszałem moskiewskiego *akania*, miękkiego *r* i *cz*. To się zmienia. Starsi parafianie nad tym boleją. Pamiętam scenę z San Francisco, kiedy w soborze stała oddzielnie emigracja, ta wcześniejsza, która dotarła do Ameryki przez Harbin i Chiny, i późniejsza, docierająca przez Europę. Ci harbińscy mówili: – *My s nimi? Eto jewropiejskaja swołocz!* Tak więc ta miłość do bliźniego wśród prawosławnych nie zawsze idzie w parze z nauczaniem Cerkwi.

Dziękuję za sam pomysł spotkania. Myślę, że można podobne organizować regularnie, żeby wymieniać się poglądami, planowac wspólne działania.

Eugeniusz Czykwin: – Co mnie cieszy? Miałem przyjemność współorganizować 25 lat temu w Grecji międzynarodowe forum prawosławnych parlamentarzystów. Wielu parlamentarzystów z innych krajów wiedziało wtedy, że w Polsce mieszkają tylko katolicy. Potem zdanie zmieniali. Dowiadywali się, jak niezwykle aktywna jest nasz Cerkiew – życie monastyczne, parafialne, ruch młodzieżowy, wydawniczy, bractwa, katecheza.

Co mnie boli? Że inteligencja naszych bratnich narodów – Ukraińców i Białorusinów – nie zadbała o zwrot dla ukraińskiej i białoruskiej Cerkwi kijowskiej i połockiej Hagii Sophii. Nieraz moim kolegom parlamentarzystom mówiłem – jakby w Polsce katedra wawelska znalazła się w posiadaniu państwa, Polacy katolicy dnia by nie czekali, by odzyskać ten symbol duchowości i państwowości. Protestowaliby natychmiast. A u nas martwi mnie jednak dezintegracja. Moje pokolenie jeszcze nie rozróżniało Białorusina, Ukraińca, Łemka. Wszyscy byli prawosławni, Ruscy, nasi. Nasi byli też Serbowie, Bułgarzy. I dopiero gdy organizowałem w latach 90. pomoc humanitarną Serbom, pewien białoruski dziennikarz, już narodowo określony, wylał na mnie kubeł zimnej wody pytaniem: – Komu ty chcesz pomagać? Tym bandytom! Boli mnie i brak współdziałania wśród Białorusinów. Kiedy komisja sejmowa przegłosowała dezyderat do premiera w sprawie sytuacji mniejszości białoruskiej, z postulatami inwestowania na „ścianie wschodniej", by hamować jej degradację, sprawą nie zainteresowała się ani jedna organizacja białoruska, ani jeden białoruski dziennikarz. Ale i tak dominuje radość, że jesteśmy wspólnotą prawosławną.

Anna Czerewacka: – Martwi mnie, że w ciągu ostatnich lat nie bardzo wzrosła rola świeckich w naszych parafiach, mimo początkowego rozkwitu Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Mam wrażenie, że rady parafialne są czymś *de facto* nieistniejącym. Ludzie to widzą, coraz bardziej im to przeszkadza, więc po cichu odchodzą z parafialnego życia. Martwi mnie też coraz większe zamykanie się Cerkwi na nowoczesność. Wraz ze śmiercią arcybiskupa Jeremiasza mamy coraz większą tendencję do negowania postępów nauki. Było to widać przy pandemii koronawirusa. To spycha nas do skansenu. Tworzymy wspólnotę, która zamyka się na inteligencję. Ludzie nie wiedzą, co mają powiedzieć, kiedy serwuje się im coś zupełnie sprzecznego z wiedzą naukową. A cieszy mnie zaangażowanie wiernych w mojej parafii przy Lelechowskiej, do której zapraszam.

Andrzej Charyło: – Cieszy mnie, że w naszej Cerkwi, choć małej, jest dużo ludzi, którzy chcą pracować dla dobra Cerkwi, aktywnie uczestnicząc w jej życiu. Za granicą nieraz spotykałem się z opinią, że nasza Cerkiew jest żywa i aktywna.

Anna Radziukiewicz: – Dziękując wszystkim za ciekawe i pełne troski o wspólne dobro wypowiedzi chcę dodać, że ogromną zasługę w dziele budowy dobrego imienia Cerkwi ma nasz metropolita Sawa, dbający o jej spójność, rozwój, obecność na międzynarodowym forum, poprzez zapraszanie zwierzchników wszystkich lokalnych Cerkwi, wysyłanie na studia przyszłych duchownych na Wschód, Zachód, Bałkany. Mamy szczęście żyć w czasach wybitnego zwierzchnika naszej Cerkwi.

fot. **Anna Radziukiewicz**



Wejdziemy przez Apokalipsę



– Dzieła Bożego nikt nie może zatrzymać, chyba że sam Bóg – odpowiada na moje zdziwienie, że przy tak srogiej zimie w cerkwi Zwiastowania Bogarodzicy w Supraślu trwa rekonstrukcja fresków, biskup supraski **Andrzej**. – Tak jak nikt nie może zatrzymać pracy nad doskonaleniem wewnętrznego człowieka, nad jego trzeźwością umysłu – dodaje.

Rekonstrukcja fresków ma wymiar historyczny i międzynarodowy.

Grupa ikonopisców z Mińska pod kierunkiem **Wiktora Downara** rozpisuje teraz przestrzeń narteksu, czyli przedsionka, znacznie mniejszą niż nawa główna, już w całości pokrytą malowidłami, ale kubaturowo sam narteks mógłby być samodzielną świątynią.

– Z tej części, podobnie jak z ołtarzowej, nie zachowały się żadne fotografie – wyjaśnia władyka. – Nie wiemy, czy w ogóle była ona rozpisana. Nic o niej nie mówi Pokryszkin, który pozostawił na początku XX wieku tak wspaniałą dokumentację fotograficzną wnętrza cerkwi. Komisja, w której pracuje między innymi arcybiskup bielski **Grzegorz** i o. **Leoncjusz Tofiluk**, zadecydowała, że narteks wypełnią sceny z Apokalipsy św. Jana. Niewykluczone, że nasze czasy będą czasami ostatecznymi. Wchodząc do cerkwi zatem będziemy lepiej rozumieć *Księgę Otkrowienija*. To rzadkie przedstawienie w cerkwiach. Najczęściej spotkamy na zachodnich ścianach przedsionków sceny z Sądu Ostatecznego, popularne zwłaszcza na Atosie i Bałkanach, albo Zaśnięcia Bogarodzicy. Najbardziej znane przedstawienie Apokalipsy znajduje się w monasterze św. Dionizego na Atosie. I na tym głównie wzorują się nasi ikonopiscy.

Przed pięcioma wiekami schodziły się w Supraślu drogi prowadzące z Bałkanów, Nowogrodu Wielkiego, Wilna, ale także z Zachodu, czerpiąc z niego styl architektoniczny cerkwi. I tak jest dziś.

Hieromnich **Pantelejmon**, otwierając cerkiew, dodaje: – Księga Apokalipsy jest dość mało znana. Nie czyta się jej fragmentów w cerkwi. Ale pojawienie się u nas tych scen na pewno zachęci wielu, by ją zgłębić, najlepiej z komentarzami Świętych Ojców. W dodatku nasza parafia pozostaje także pod opieką św. Jana Teologa, stosowne więc jest przedstawienie Księgi św. Jana.

Tylko jak ją przełożyć na język farb? Jaki za tym kryje się trud? Ile trzeba analiz, dociekań, także podróży i porównań?

– Trzeba wgłębić się nie tylko w każdą frazę, w każde słowo Księgi św. Jana, przeczytać komentarze Ojców Świętych, ale też zrozumieć kompozycję utworu – mówi Wiktor Downar. – A ta jest sinusoidalna. Św. Jan to wznosi nas na Niebiosa, odkrywając je i widząc Pana, 24 starców, otaczających ołtarz Pana, a anioł mówi do niego, żeby zapisał wszystko co widzi.

Wiktor Downar na tle fresku Niedziela Palmowa



Potem jest wrzucony do piekła. Widzi otwierane przez *agnca*, czyli ofiarnego jagnięcia, który jest obrazem Chrystusa, pieczęcie – znak *agnca* jest w Apokalipsie ciągle obecny. Otwierają się pieczęcie i św. Jan widzi, jak na świat zwalają się wojny, głód, różne klęski, pokusy – one zawsze będą na ziemi i człowiek ma przez nie przejść. I znów wznosi się św. Jan na Niebiosa, widząc że w białe szaty są przyobleczeni ci, którzy na ziemi znieśli wszelkie biedy i pokusy, godnie broniąc swojej wiary. Niebiosa się zamykają. Św. Jan widzi na ziemi ogień, krew, okropności. Anioł zabiera go ponownie na Niebiosa, zapala pochodnię i bierze węgiel ze stołu ofiarnego i rzuca go na ziemię. Tam okropności. Św. Jan znów na Niebiosach. Anioł daje Janowi Księgę i mówi: „Zjedz ją". Wiedza, którą uwewnętrzniamy, staje się gorzka. Wtedy rozumiemy, dlaczego świat bywa tak okrutny, dlaczego są wojny na ziemi. Po raz kolejny św. Jan wznosi się na Niebiosa i widzi Niewiastę obleczoną w słońce, która zrodziła Syna, Dzieciątko. Niewiasta jest symbolem Cerkwi. Pojawia się *drakon* (smok). Chce ją zabić. Ona ucieka na pustynię. Jest walka z *drakonem*. Po czym scena na Niebiosach, gdzie jest powiedziane: *Agniec* zbawi was. Otwiera się panorama bitwy. Chrystus na białym koniu z mieczem, symbolem Słowa Bożego, zwycięża wszystkich. Aniołowie rzucają *drakonów* w ogniste jezioro i otwiera się Niebiańska Jerozolima, gdzie płynie rzeka życia, rosną drzewa, wydające obfite płody i wszytko jest dobre. Jest Chrystus, brzmi muzyka, światło ogarnia całe wspaniałe miasto, Niebiańską Jerozolimę. Tak się kończy Księga. To oda radości – kończy ikonopisiec. I pokazuje: – Tu, w górnym rzędzie narteksu, znajdą się sceny z Niebiańskiej Jerozolimy, w dolnym ziemskie.

Na wschodniej ścianie przedsionka są już malowidła. – Zadaniem fresków w tej części jest tchnięcie w ludzi nadziei, wyzbycie się smutku, rozpaczy. Jest powiedzenie – Chrystus zbawia tych, którzy wytrwają, nie ulegną pokusom. Niebiańska Jerozolima ma dwanaście bram. Można przez którąś wejść, czyli dopuszczalne są różne drogi, ale tylko z wiarą.

Wiktor Downar wie, jaki sens Apokalipsy chce przekazać wiernym, ma za sobą mnóstwo lektur na ten temat.

– Jeśli nie włożymy sensu w te freski, ludzie niczego nie zrozumieją. Nie przyjmą tego piękna. Apokalipsa jest dla nas współczesnych. Podpowiada – spróbujcie przejść swoje życie bez pokus. Nie dacie rady. One przyjdą. Pan to dopuszcza, mówiąc że nie może nas wychować bez pokus. To zwierzę, ten *drakon*, przyjdzie, będzie kusić. I albo będziecie twardzi i zwyciężycie, albo ulegniecie pokusom i zginiecie. Apokalipsa mówi prawdę. A kto dziś lubi słuchać prawdy? Komu powiecie ją w oczy? Niech więc mówią sceny z Apokalipsy.

Grupa mińskich ikonopisców odnalazła na Bałkanach przedstawienia Apokalipsy, które stały się dla nich najbardziej inspirujące – monaster św. Dionizego na Atosie, monastery serbskie Wysokie Deczany i Graczanica oraz malutka cerkiew św. Mikołaja w Moraczi.

Wcześniej grupa kierowana przez **Wiktora Downara** rozpisywała cerkwie w różnych krajach, między nimi w Podgoricy czy w Kijowie, gdzie kilkanaście ekip ikonopisców pokrywało jednocześnie polichromią jedną cerkiew, każda wnosząc swój styl.

W Supraślu chcieli jak najdalej uciec od rozbieżności stylów i najbardziej wpisać się w styl XVI-wiecznego mistrza Serba **Nektarija** i jego grupy, którzy pozostawili po sobie w Supraślu doskonałe malowidła. Ocalałe fragmenty XVI-wiecznych fresków, znajdujące się w Muzeum Ikon, podpowiadały, że ta droga jest słuszna. 500 lat temu minął czas Paleologów, największego rozkwitu sztuki w Cesarstwie Bizantyńskim, które upadło w połowie XV wieku, ale mistrzowie wciąż tworzyli, tyle że opuszczali cesarstwo i szli do Serbii, potem Kijowa, Połocka, Nowogrodu. I w tym nurcie wędrówki mistrzów powstawały XVI-wieczne freski supraskie.

– Trzeba brać pod uwagę otoczenie, styl architektoniczny cerkwi, czas powstawania fresków – mówi Downar. – Zaczęliśmy od studiowania historii cerkwi i epoki, w której powstawała. Prześledziliśmy wszystkie znaczące romańsko-gotyckie budowle tamtego okresu – świątynie i zamki, dochodząc do wniosku, że supraska cerkiew należała do najwspanialszych realizacji tamtego czasu na dużym wszak obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego.

– Na każdym etapie tych studiów i przygotowań do pisania pomagali nam bardzo suprascy mnisi na czele z władyką Andrzejem. Opowiadali o świętych, sugerowali jak ich przedstawić, w jakich szatach, kolorach, co trzymających w ręku. Nieocenioną pomoc jako historycy sztuki okazują nam **Krystyna** i **Krzysztof Staweccy**. To zbiorowy trud.

– Cerkiew to nie muzeum – podkreślają Downarowie. – W niej nie tyle chodzi o wierne odtworzenie przeszłości, ile wprowadzenie do niej ducha modlitwy. Freski i ikony mają

tak oddziaływać swoim pięknem – współbrzmieniem kolorów, wręcz ich melodią, rozkładem figur, linii, ornamentów, żeby wierny zechciał tworzyć modlitwę.

– Kiedy piszecie na rusztowaniach na wysokości 50 metrów Pantokratora w kopule cerkwi, na powierzchni 230 metrów kwadratowych, jak w mińskiej *Wsiech Skorbiaszczych Radość* i możecie ogarnąć z tej perspektywy tylko oko Chrystusa, Bóg prowadzi waszą rękę?

– Mamy nadzieję – słyszę. – Bez pomocy Boga, modlitwy, niczego się nie da zrobić. Ikonopisanie to jest sakralne działanie. I może ktoś nazwie to naiwnością, ale gdy pisałem malowidło święta Objawienia Pańskiego w Siemiatyczach, dolewałem do farby wodę, która przywiozłem z Ziemi Świętej z Jordanu, innym razem dodaję naturalny barwnik przywieziony z góry Synaj albo innego świętego miejsca, czy też mirro z łampady płonącej przed cudotwórczą ikoną.

Przedstawienia muszą być żywe, jak przyroda. Nie może to być kopia albo rysunek ornamentu pod linijkę. Musi być wyczuwalna ręka ikonopisca. W malowidłach powinno być pewne niedopowiedzenie, żeby każdy odbierał przedstawienie po swojemu, uczestniczył w dialogu, coś domyślił, dopisał, dosłyszał po swojemu. Bo kiedy wszystko powiesz do końca, wierny zapyta: A ja co? Nie brałem w tym żadnego udziału. Nie mogę zostawić swego słowa. Wszystko powiedziano. Chrystus też nie dopowiadał. W Ewangelii i Apokalipsie mamy niedopowiedzenia. Myślcie sami – zachęca Pismo Święte.

Wszystkie freski w cerkwi Zwiastowania w Supraślu mają być gotowe w okresie paschalnym w tym roku.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**
archiwum Wiktora Downara

Supraskie freski można wspomóc, wpłacając na konto: **Bank Spółdzielczy w Białymstoku, Oddział w Supraślu, nr 83 8060 0004 0680 0286 2000 0010**

Trwajcie w mojej miłości

Przypomnieniem przesłania tegorocznego tygodnia modlitw o jedność chrześcijan oraz wprowadzeniem do nabożeństwa, którego program opracowała Wspólnota Monastyczna z Grandchamp w Szwajcarii, rozpoczęło się modlitewne spotkanie w lubelskiej archikatedrze. Wieczornemu nabożeństwu w poniedziałek 18 stycznia przewodniczył metropolita lubelski ks. arcybiskup Stanisław Budzik. Podstawą opracowania wspólnego nabożeństwa przedstawicieli wyznań chrześcijańskich Lublina, jak wyjaśnił w komentarzu przewodniczący Archidiecezjalnej Rady Ekumenicznej ks. prof. Sławomir Pawłowski SAC, były teksty zaczerpnięte z Biblii Ekumenicznej. Kazanie wygłosił arcybiskup lubelski i chełmski Abel, natomiast nagrodę Polskiej Rady Ekumenicznej „za budowanie przykładnych relacji na rzecz ekumenicznego współistnienia" prezydentowi miasta dr. Krzysztofowi Żukowi wręczył jej prezes biskup Jerzy Samiec, zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce. W uroczystości uczestniczył biskup senior Mieczysław Cisło i chór prawosławnej parafii Przemienienia Pańskiego pod dyrekcją Andrzeja Boubleja wraz z proboszczem ks. mitratem Andrzejem Łosiem.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO I KRZYŻ

Siostry z Grandchamp przywołują słowa brata **Rogera** z Taize': „Nie ma przyjaźni bez oczyszczającego cierpienia. Nie ma miłości bliźniego bez krzyża. Sam krzyż pozwala nam poznać bezkresną głębię miłości".

Inaugurując styczniowy tydzień modlitw w Lublinie arcybiskup **Abel** przypominał posłannictwo współczesnych chrześcijan: – My, podzieleni chrześcijanie, jesteśmy świadkami dystansu nawet w relacjach ekumenicznych. Kościoły chrześcijańskie pozamykały się nawet wewnątrz, wiążąc to ze skutkami pandemii. Ale i na zewnątrz stały się mniej zainteresowane relacjami z braćmi i siostrami z innych wspólnot chrześcijańskich. Czyżby wołanie naszego Pana, Jezusa Chrystusa, z *Wieczernika* o jedność swoich uczniów przestało być ciągle obowiązującym imperatywem do przekraczania granic naszych Kościołów? By spotkać się w dialogu prawdy i miłości z naszymi siostrami i naszymi braćmi...".

Tematyka spotkań modlitwy i współpracy ekumenicznej roku 2021 wzywa do trwania w miłości Bożej jako pojednania z sobą samym, trwania w Chrystusie jako źródle wszelkiej miłości aż do wydania owocu, aby wzrastał owoc solidarności i świadectwa, a miłość chrześcijan była widzialnym znakiem dla świata.

Dlatego władyka Abel stwierdził w inauguracyjnej homilii, wygłoszonej w lubelskiej archikatedrze: – Inaugurując Tydzień Modlitwy o Jedność Chrześcijan mamy głębsze przekonanie, że jesteśmy Bożymi wybrańcami: *Nie wy Mnie wybraliście, ale Ja was wybrałem...* (J 15,16a).

Warto przypomnieć, że czwartą już polską wersję materiałów Tygodnia Modlitw przygotował zespół w składzie biskup dr **Edward Puślecki**, honorowy zwierzchnik Kościoła ewangelicko-metodystycznego w RP, dr hab. **Kalina Wojciechowska** z Kościoła ewangelicko-augsburskiego, ks. dr **Doroteusz Sawicki** z Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, ks. inf. **Andrzej Gontarek** z Kościoła polskokatolickiego i ks. prof. **Sławomir Pawłowski** z Kościoła rzymskokatolickiego pod kierunkiem biskupów: **Jerzego Samca** z Kościoła ewangelicko-augsburskiego i **Jacka Jezierskiego** z Kościoła rzymskokatolickiego.

Od lewej arcybiskup lubelski i chełmski Abel, biskup Jerzy Samiec z Kościoła ewangelicko-augsburskiego, prezydent Lublina Krzysztof Żuk



TRWANIE W CHRYSTUSIE

– Po tym poznają, że jesteście moimi uczniami, jeśli będziecie się wzajemnie miłować – przypomniał we wstępie ks. arcybiskup Stanisław Budzik. – Bierzemy sobie te słowa do serca, my, chrześcijanie, chlubiący się imieniem Chrystusa. Chcemy przyjąć wezwanie: *Trwajcie w mojej miłości, a przyniesiecie obfity owoc* (por. J 15,5-9). Niech owocem tygodnia modlitw będzie nasze przybliżenie się do ideału miłości Chrystusa, a tym samym do siebie nawzajem.

Arcybiskup Abel powiedział m.in.: – Trwać w Chrystusie to podstawa naszego wzrostu, bez Chrystusa nie wydamy owocu. Chrześcijaństwo musi być radykalne. Nie ma chrześcijaństwa bez udziału w życiu sakramentalnym, bez uczestnictwa w Liturgii. Mówił, że Chrystus tworzy Kościół poprzez głoszenie Słowa i udział w liturgii Ofiary, której istotą jest przeistoczenie świętych darów w Przenajświętsze Ciało i Krew Chrystusa. Wierni, poprzez przyjęcie Komunii stają się ciałem Chrystusa. Przywołał nauczanie św. apostoła Pawła, dodając: – Z prawosławnego punktu widzenia obserwowanie Liturgii przez środki masowego przekazu nie jest do końca faktycznym uczestnictwem w Boskiej Liturgii Eucharystycznej.

ŚWIATŁO

Arcybiskup lubelski i chełmski zaznaczył, że w świecie bezwzględnej i bezprzykładnej rywalizacji, chrześcijańska „konkurencja” zmierzać powinna do tego, by bardziej kochać, czyli dawać swoje życie Bogu, wspólnocie i braciom. Wskazał na doświadczenie mocy Chrystusowego Krzyża jako lekarstwo na brak zdolności komunikacji, ostatnio usprawiedliwianej pandemią oraz imperatyw dialogu prawdy i miłości.

Słowem charakteryzującym naszą przyjaźń z Jezusem jest dziesięciokrotnie powtórzone „trwać”. Trwanie w Chrystusie jest warunkiem przynoszenia owoców miłości i oznacza przyzwolenie „na przenikanie nas przez Ducha Chrystusowej miłości, z czego wynika głęboka zażyłość i wzajemność relacji. Latorośl czerpie soki z krzewu winnego; uczeń Chrystusa czerpie duchowe soki od swojego Zbawiciela” – mówił, wzywając do modlitewnej wdzięczności za postęp na drodze jedności pomiędzy chrześcijanami, dokonany w ostatnich dekadach dzięki mocy Świętego Ducha, co jest pozostawionym przez Jezusa „cudem dzielenia się Niebem, koniecznym w budowaniu naszej chrześcijańskiej tożsamości”.

EKUMENICZNY LAUR DLA PREZYDENTA

Prezydent Lublina dr **Krzysztof Żuk** był jednym z inicjatorów Międzynarodowego Kongresu Ekumenicznego w Lublinie w roku 2017. W kolejnych latach był realizowany przy wsparciu miasta program ekumeniczny – comiesięczne spotkania modlitewne, wydarzenia artystyczne, naukowe i kulturalne. Upamiętnienie reformacji, koncerty organowe i występu chórów, wystawy fotograficzne (m.in. Lublin Ekumeniczny 2018), obchody 100-lecia Niepodległości, debaty dwóch ambon i międzynarodowa interdyscyplinarna konferencja naukowa w 2019 roku). Dzięki życzliwości i wsparciu finansowemu miasta zostały wydane trójjęzyczne materiały naukowe i Postylle. Obecnie prezydent Lublina jest zaangażowany w organizację II Międzynarodowego Kongresu Ekumenicznego pod hasłem „Jerozolima-Lublin. Miasto Dialogu”, zaplanowanego na 23-25 listopada 2021 roku właśnie w Jerozolimie. Władyka Abel podkreślił aktywność Krzysztofa Żuka we wszystkich inicjatywach ekumenicznych. To charakteryzuje „gospodarza, mecenasa kultury, nauki i dialogu, otwartego na wielokulturowy wymiar współczesności, wyróżniającego się na samorządowej mapie Polski i w budowaniu relacji międzywyznaniowych” – powiedział w laudacji.

– Jesteśmy powołani, aby być sługami Bożej miłości, uzdrawiającej i niosącej pojednanie. Im bardziej zbliżamy się do siebie, tym bardziej zbliżamy się do Boga. On jest Światłem – powiedział w komentarzu liturgicznym ks. Sławomir Pawłowski.

Świeca paschalna w centrum archikatedry, od której zapalano świece symbolizujące różne denominacje, to znak tego samego Boga, ku któremu zmierzamy drogami różnych tradycji. Nabożeństwo dopełniło przekazanie znaku pokoju, Modlitwa Pańska z doksologią i ektenia chóru prawosławnego.

Grzegorz Jacek Pelica
fot. **autor**

Autobiografia świętego

„Mój ojciec był katolikiem, bardzo pobożnym, zawsze chodził do kościoła i długo modlił się w domu" – rozpoczyna swą biografię prawosławny święty. O prawosławnej matce: „(…) gorliwie modliła się w domu, ale do cerkwi zapewne nigdy nie chodziła. Przyczyną tego było jej oburzenie chciwością i kłótniami duchownych, które widziała na własne oczy".

Hajnowski Bratczyk wydał książkę „Św. Łukasz (Walenty Wojno-Jasieniecki). Autobiografia" pod redakcją hieromnicha **Gabriela** (**Krańczuka**) i **Marka Jakimiuka**.

Rzecz niezwykła, fascynująca podwójnie – ze względu na bohatera książki, lekarza i arcybiskupa, wybitnego profesora chirurga, niezłomnego, bezgranicznie uczciwego oraz na zadziwiającą staranność wydania. A jest w tym głównie zasługa **Krzysztofa Tura**, który autobiografię przełożył z rosyjskiego na polski i opatrzył komentarzem. Ale jakim! Komentarz i uzupełnienia zajmują dwie trzecie tej 240-stronicowej książki. Myślę, że w Polsce tylko Krzysztof Tur mógł tego dokonać, poruszający się jak po własnym domu, po bogatych rosyjskich archiwach, „wyłożonych" w dużej mierze w Internecie, latami gromadząc wiedzę o św. biskupie i chirurgu, ale i o epoce, w której przyszło mu żyć (1877-1961). Dlatego Tur wprowadza nas nie tylko do rosyjskiej Cerkwi, targanej terrorem i cierpiącej od rozłamu, ale i więzień, łagrów, szpitali, szkół, do stanic, wsi, za koło podbiegunowe, do dużych miast, pokazuje rewolucję, wojnę domową, ojczyźnianą. Podąża za świętym bohaterem i dopowiada, wyjaśnia.

Autobiografia świętego, podyktowana jego sekretarce **Eugenii Pawłownej Lejkfeld**, jest kroniką wydarzeń, ale i osobistych przeżyć, myśli, ocen i komentarzy św. Łukasza. Nieustannie zdumiewa – jak można fizycznie przeżyć w takich warunkach! Jak nie załamać się psychicznie! Jak trwać w spokoju? Jak znów i znów ratować ciała i dusze ludzi, których zawsze miał wokół siebie mnóstwo?

Święty był człowiekiem wielu talentów. Przyszedł na świat w Kerczu w rodzinie aptekarza **Feliksa Stanisławowicza**, w której było pięcioro dzieci, a ród jako książęcy i prawosławny sięgał korzeniami Wielkiego Księstwa Litewskiego, katolicyzując się potem i ubożejąc. Pasja rysowania przywiodła go do Kijowskiej Szkoły Sztuk Pięknych i wiodłaby do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdyby nie zwątpienie: „Nie mam prawa zajmować się tym, co mi się podoba, ale mam obowiązek zajmować się tym, co jest pożyteczne dla cierpiących ludzi". Pasji nie dało się tak szybko uśmierzyć – codziennie jeździł do Ławry Kijowsko-Pieczerskiej i szkicował tam pielgrzymów, mnichów, modlących się.

Wybrał wydział medycyny, choć czuł „wielką niechęć do nauk przyrodniczych, wyraźne zainteresowanie naukami humanistycznymi, w szczególności teologią, filozofią i historią. (...) Już na drugim roku moi koledzy jednogłośnie orzekli, że będę profesorem anatomii i ich proroctwo się spełniło".

Z niedoszłego artysty malarza stał się artystą anatomii i chirurgii. Podczas świetnie zdanego państwowego egzaminu usłyszał słowa profesora chirurgii: – Doktorze, teraz wie pan o wiele więcej niż ja, zna pan doskonale wszystkie działy medycyny, a ja już wiele zapomniałem z tego, co odnosi się bezpośrednio do mojej specjalności.

„Będę lekarzem ziemskim". Nieoczekiwana decyzja uczonego z powołania, wybierającego bycie chłopskim, wiejskim lekarzem. Tu warto przejść na stronę 88, żeby w uzupełnieniach Krzysztofa Tura przeczytać, co to znaczy ziemski lekarz – kiedy jeden lekarz obsługiwał 30 tysięcy ludzi, czyli na przykład cały Bielsk Podlaski z okolicznymi wsiami, pracując ponad siły – w dzień, w nocy, święta, narażając się na tyfus plamisty i cholerę, które wtedy szalały, ledwie utrzymując rodzinę – żonę **Annę** i czworo dzieci, żyjąc bez żadnych oszczędności. Ale ten ziemski lekarz, był nim dziesięć lat, opublikował przed rewolucją 30 pionierskich prac naukowych o wielkim znaczeniu dla medycyny. Pracował nad doktoratem. Pisał: „A praca czeka mnie ogromna: do dysertacji muszę nauczyć się francuskiego i przeczytać około pięciuset prac w języku francuskim i niemieckim". To wtedy myślał już o swojej przyszłej największej pracy naukowej, która przyniosła mu sławę – „Zarys chirurgii przypadków ropnych", mając dziwne objawienie, że na wydanej pracy będzie widniał obok jego nazwiska tytuł biskupa. A wtedy nawet mu się nie śniło, by zostać duchownym, a co dopiero biskupem.

Nie od razu został lekarzem ziemskim. Posłano go do Czyty do szpitala wojskowego. Tam operował na wielką skalę i leczył rannych w wojnie z Japonią. I poznał siostrę miłosierdzia Annę, urzekającą urodą i wyjątkową skromnością i dobrocią. Z Czyty wyjechali do guberni symbirskiej. W miejscowym szpitalu zoperował doktor młodego żebraka, ślepego od dzieciństwa. Żebrak odzyskał wzrok, po czym zebrał mnóstwo ślepych z całej okolicy, którzy młodego lekarza otoczyli długim korowodem, prowadząc jeden drugiego za laski i prosząc o uzdrowienie. Operował od dziewiątej rano do wieczora.

Rodziły się dzieci – **Misza**, **Helena**, **Alosza**, a potem najmłodszy **Walenty**. A św. Łukasz, wtedy Walenty Wojno--Jasieniecki, pracował nad regionalną anestezją, czyli miejscowym znieczuleniem, z której w 1916 roku obronił doktorat, nieustannie operując. Za te prace, jako wytyczające nowe drogi w medycynie, otrzymał od Uniwersytetu Warszawskiego wysoką nagrodę.

Tak intensywnie pracował w Lu-

biaży, Romanówce, Pieresławlu Zaleskim, że nie miał nawet możliwości chodzenia na nabożeństwa i poszczenia przez wiele lat. I wtedy zgłębiał już kolejną dziedzinę medycyny – chirurgię przypadków ropnych.

Taszkient. Stanowisko chirurga i głównego lekarza w wielkim szpitalu, wspaniałe pięciopokojowe mieszkanie. Stabilizacja? Nie. Trwa wojna domowa. Do szpitala trzeba było chodzić pod armatnim ostrzałem. Tu nadeszła ostatnia, straszna noc, kiedy umarła w wieku 38 lat na gruźlicę, w bólach uśmierzanych morfiną, żona Anna. Najmłodsze dziecko miało sześć lat. Dwie noce samotnie czytał u nóg zmarłej Psałterz. Drugiej nocy wstrząsnęły nim słowa Psalmu 112, skierowane do niego od samego Boga, tak to odczytał: *Ten, co niepłodnej każe mieszkać w domu jako pełnej radości matce synów*.

Jego siostra operacyjna, **Sofia Siergiejewna Bielecka**, niedawno pochowała męża i była bezdzietna. Tylko służbowo z nią dotychczas rozmawiał. Poszedł do niej i zapytał, czy wierzy w Boga i chce spełnić Boży nakaz, by zastąpić dzieciom zmarłą matkę. Zgodziła się z radością. Pokochała dzieci.

– Doktorze, powinien być pan kapłanem – powiedział Walentemu Wojno-Jasienieckiemu taszkiencki władyka **Innocenty** (**Pustyński**), po tym, jak wysłuchał przemówienia lekarza na zebraniu miejscowego bractwa. Sensacja w Taszkiencie – wysoko ceniony już profesor medycyny jest wyświęcany na diakona i niebawem na kapłana. Jego serce głośno wołało, że nie może milczeć na widok bluźnierczych „karnawałów" i szyderstw z Chrystusa.

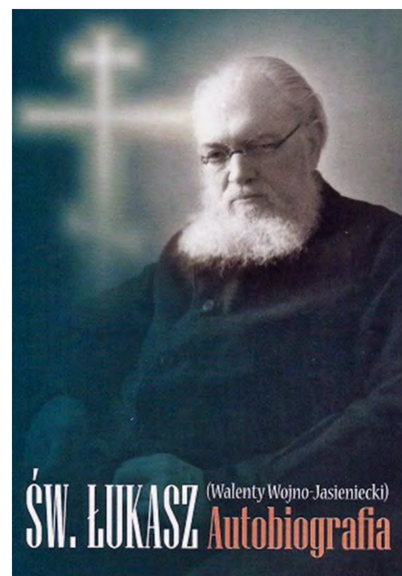
Wykłady dla studentów wygłaszał w riasie z krzyżem na piersi, pozostając głównym chirurgiem w taszkienckim szpitalu, w soborze służąc w niedziele. Władyka Innocenty powierzył mu rolę kaznodziei, którą zupełnie jasno zrozumiał w trzydziestym szóstym roku swojego biskupstwa, pisząc: „Moim powołaniem od Boga było właśnie głoszenie Słowa Bożego i wyznawanie imienia Chrystusa".

Pospiesznie studiował teologię. W homiliach krytykował materializm. Przyciągał wielu słuchaczy. Operował, nawet po nocach. Prowadził naukowe obserwacje. Na Powołżu głód, epidemie, choroby zakaźne. Do taszkienckiego prosektorium przywożono codziennie całe furgony załadowane ciałami uciekinierów. Święty Łukasz badał je, czyszcząc najpierw z wszy i nieczystości. Badania legły u podstaw jego „Zarysu chirurgii przypadków ropnych", wydanej w ogromnym nakładzie (trzykrotnie) 60 tysięcy egzemplarzy, za którą po latach otrzymał najbardziej wtedy prestiżową Nagrodę Stalinowską pierwszego stopnia.

W Taszkiencie przeżył rozłam w Cerkwi – bunt moskiewskich i piotrogrodzkich duchownych przeciw patriarsze **Tichonowi**, który tam dotarł. Powstała Żywa Cerkiew, popierana przez komunistów i niestety patriarchę Konstantynopola.

Tajne postrzyżyny chirurga i kapłana na mnicha z nadaniem imienia Łukasz – apostoła ewangelisty, lekarza i malarza Łukasza. I chirotonia biskupia, dokonana 90 wiorst od tadżyckiej Samarkandy, bo tam przebywali dwaj zesłani biskupi **Daniel** i **Wasilij**, po dwóch bezsennych nocach skrajnie niebezpiecznej podróży. W czasie chirotonii ogarnęło go tak głębokie wzruszenie, że drżał na całym ciele, czego władycy nigdy dotychczas nie widzieli. Było to 18 (31) maja 1923 roku. Z Taszkientu wyjechał władyka Innocenty i „wszyscy duchowni soboru katedralnego pouciekali jak szczury z tonącego okrętu", oprócz o. **Michała Andrejewa**.

Niebawem o 11 wieczorem aresztowano biskupa chirurga. Wsiadł do „czarnego kruka", rozpoczynając jedenaście lat swoich więzień i zesłań. Czworo dzieci zostawił pod opieką Sofii, którą z dziećmi wypędzono z mieszkania głównego lekarza, kwaterując w niewielkiej komórce z piętrowymi pryczami. Taszkiencką katedrę zajął „żywocerkiewny" metropolita **Mikołaj**, którego w „Autobiografii" święty nazwał „dzikim odyńcem, rozpartym na katedrze". Zakazał wiernym wszelkich z nim kontaktów. Pociąg ze świętym nie mógł ruszyć przez



20 minut, ponieważ tłum wiernych położył się na torach, chcąc zatrzymać swego biskupa w Taszkiencie. Tiumień, Omsk, Nowosybirsk, duchowni, bandyci i prostytutki wieziono w tym samym kierunku. W Krasnojarsku wsadzono ich do dużej, zabrudzonej ludzkimi odchodami, piwnicy. Miesiąc w Jenisiejsku w zupełnie dobrych warunkach. Tu wyświęcił na kapłana diakona, który na widok biskupa osłupiał. Tłumaczył: „Dziesięć lat temu miałem sen, który pamiętam do dziś. Śniło mi się, że w świątyni Bożej nieznany mi biskup wyświęca mnie na hieromnicha. Teraz, kiedy weszliście, zobaczyłem tego biskupa!".

W Jenisiejsku operuje. Przywraca wzrok dwóm małym braciom, niewidzącym od urodzenia. Sensacja. Przeprowadza operacje chirurgiczne i ginekologiczne. Siedzi w więziennej celi, odpierając natarcia pluskiew.

Zesłanie do Turuchańska. Płynął barką szerokim Jenisejem przez bezkresną tajgę. A w Turuchańsku tłum ludzi upadł na kolana i prosi biskupa o błogosławieństwo. Jego sława rozchodziła się po bezkresach kraju. Tu operował, służył i głosił kazania, wyjaśniając jak wielkim grzechem jest cerkiewny rozłam. Za kazania drogo zapłacił, zesłaniem za północny krąg polarny. Były silne mrozy. Jenisej zamarznięty. Podróż saniami bardzo ciężka. „Jednak właśnie w tym trudnym czasie bardzo jasno, niemal namacalnie, odczuwałem, że jest przy mnie sam Pan Bóg, Jezus Chrystus, wspierający mnie i umacniający". Jechali mnóstwo wiorst, zatrzymując

się na nocleg w stanicach. Na jednym z odcinków tak osłabł i skostniał, że wnoszono go do chaty na rękach i długo rozgrzewano. Zatrzymał się w stanicy Płachino, 230 kilometrów za kręgiem polarnym. Umieszczono go w chacie, gdzie na podłodze w kącie leżała kupa śniegu, druga, nigdy nie topniejąca, u progu. Woda w wiadrze pokrywała się grubą warstwą lodu.

I oto bunt w Turuchańsku. Chłopi uzbrojeni w widły, kosy i topory postanowili urządzić pogrom miejscowych władz, domagając się, by ci z powrotem sprowadzili im doktora i biskupa. Wystraszone władze wysłały gońca do Płachina. Był początek Wielkiego Postu, gdy władykę nawet psim zaprzęgiem wieziono po Jeniseju z powrotem. W Turuchańsku pozostawał osiem miesięcy. Gdy kończyło się jego zesłanie, żegnał go wielki tłum mieszkańców Turuchańska i kapłan z krzyżem, który opowiedział, że w dniu wyjazdu świętego, gdy w cerkwi starosta pogasił wszystkie świece, jedna w *panikadile* nagle się zapaliła, chwilę migotała i zgasła.

Z Turuchańska do Krasnojarska wieziony był Jenisejem półtora miesiąca. Mróz był tak srogi, że w rękę wyjętą z rękawicy parzył jak ogniem. Przez Czerkasy wrócił w styczniu 1926 roku do Taszkientu. Spotkał się wreszcie ze swoimi dziećmi i wychowującą je Sofią.

Hierarcha opisuje też swój „początek grzesznej drogi i kary Bożej za to". W 1927 roku uległ namowom szanowanego metropolity i został przeniesiony jako biskup na emeryturę. Potem napisze: „Opuszczony przez Boga i pozbawiony rozumu, pogłębiłem swój ciężki grzech nieposłuszeństwa wobec Chrystusowego nakazu: *Paś owce moje* – straszną odpowiedzią „*Nie*".

„27 kwietnia 1930 roku byłem ostatni raz na Liturgii w świątyni św. Sergiusza i w czasie czytania Ewangelii nagle nabrałem całkowitej pewności, że tego dnia wieczorem zostanę aresztowany. Tak też się stało (...)".

Następuje zesłanie do Archangielska, wymuszanie wyrzeczenia się stanu duchownego, na co święty odpowiada ponadtygodniową głodówką, potem wznowioną i trwającą dwa tygodnie. Ledwie chodził, trzymając się ścian. Czytał gazety, ale nic nie rozumiał, „na mózgu leżała jakby ciężka zasłona". W Archangielsku nie miał nawet miejsca w więzieniu. Był niemal bezdomny. Źle przyjęty nie tylko przez lekarzy szpitala, ale i biskupa archangielskiego. Operował.

W 1933 roku został zwolniony z zesłania. Udał się do Moskwy. Poradzono mu pojechać na Krym. „Tam czułem się zagubiony i opuszczony przez Boga, żywiłem się w brudnej jadłodajni, nocowałem w domu chłopa, w końcu podjąłem nową bezsensowną decyzję – wrócić do Archangielska".

Tam dwa miesiące przyjmował chorych w ambulatorium. Wrócił do Taszkientu. „Tam też czułem, że łaska Boża mnie opuściła. Moje operacje były nieudane. Występowałem w nieodpowiedniej dla biskupa roli (…) i wkrótce zostałem ciężko pokarany przez Boga. Zachorowałem na tropikalną gorączkę *pappataci*, która skomplikowała się odklejaniem siatkówki lewego oka".

Jeszcze dwa lata popracuje jako chirurg. Dokonuje odkryć naukowych, najważniejszej podstawy do napisania książki „Zarys chirurgii przypadków ropnych", jednocześnie żarliwie prosząc Boga w pokutnych modlitwach o wybaczenie tego okresu pracy w dziedzinie chirurgii, aż usłyszał głos nie z tego świata: *Za to się nie kajaj*.

Trzecie aresztowanie nastąpiło w 1937 roku, w strasznym dla Cerkwi okresie, kiedy znów zaczęły się masowe aresztowania duchownych i wszystkich podejrzanych o wrogość wobec władzy radzieckiej. Wtedy wynaleziono nowy sposób tortur, tak zwany *konwejer*, czyli przesłuchiwania trwające dzień i noc bez przerwy. Święty doświadczył go dwukrotnie. „(…) kazano mi stać w kącie, a ja szybko padałem na podłogę z wyczerpania. Zaczęły się u mnie silne halucynacje słuchowe i dotykowe, następujące jedna po drugiej. To wydawało mi się, że po pokoju biegają żółte kurczęta, a ja je łapałem. To widziałem siebie stojącego na skraju ogromnej rozpadliny, w której położone było całe miasto (…). Wyraźnie czułem, że pod koszulą na moich plecach wiją się węże".

Przesłuchanie *konwejerem* trwało trzynaście dób. Nieraz cucono przesłuchiwanego, wsadzając jego głowę pod kran z zimną wodą. Po tych przesłuchaniach, po utracie przytomności, przewieziono świętego do więzienia, w którym spędził w bardzo ciężkich warunkach osiem miesięcy. I znów wywózka na Syberię, 130 wiorst od Krasnojarska. Tam intensywnie operował. I zaskoczenie – pozwolono mu jechać do Tomska, a tam bogata biblioteka. W ciągu dwóch miesięcy przeczytał całą najnowszą literaturę z dziedziny chirurgii przypadków ropnych w języku niemieckim, francuskim i angielskim. I ostatecznie zakończył swoją wielką książkę.

Święty Łukasz kończy swoje wspomnienia na wojnie ojczyźnianej. W Krasnojarsku jest mianowany głównym chirurgiem dużego szpitala ewakuacyjnego. Leczył rannych żołnierzy i oficerów. Cerkiew przyrównała jego leczenie do posługi biskupiej i nadała godność arcybiskupa. Potem został posłany do Tambowa. Służył w cerkwi i leczył rannych.

W maju 1946 roku został przeniesiony na godność arcybiskupa symferopolskiego i krymskiego.

Na tym urywają się wspomnienia, podyktowane w 1958 roku.

Arcybiskup Łukasz zmarł 11 czerwca 1961 roku i spoczął w Symferopolu, gdzie był arcybiskupem przez piętnaście lat.

Tyle z autobiografii, resztę dopowiada Krzysztof Tur, fascynująco. Z tych uzupełnień czerpałam, skupiając się na autobiografii. Książkę szczerze polecam, choćby po to, by poczuć swoją małość, zrozumieć jak dobrze nam się żyje i jakie mogą być cierpienia za Chrystusa, których bez Bożej pomocy znieść się nie da.

Anna Radziukiewicz

Św. Łukasz (Walenty Wojno-Jasieniecki). Autobiografia, przekład i uzupełnienia Krzysztof Tur, Hajnówka 2020, ss. 240.



W ostatnią niedzielę stycznia w parafii Świętego Ducha w Białymstoku, jak co roku, uczczono pamięć mieszkańców podlaskich miejscowości, zamordowanych m.in. w 1946 roku za wyznawaną wiarę. Po Liturgii wzniesiono modlitwę przy pomniku, na którym znajduje się tablica z napisem: „Prawosławnym ofiarom drugiej wojny światowej, męczennikom za wiarę i narodowość w latach 1939-1956. Świętym Ziemi Podlaskiej”. Podstawę monumentu stanowi polny kamień, na którym wymienione są miejscowości, gdzie dokonano napaści na prawosławnych – Końcowizna, Popówka, Potoka, Rajsk, Sypnie, Szpaki, Wólka Wygonowska, Zaleszany, Zanie. Przy pomniku złożono kwiaty i zapalono znicze.

75 rocznica tragicznych wydarzeń

– Co roku wspominamy okres bardzo tragiczny i smutny dla wyznawców prawosławia – zwrócił się do zebranych proboszcz parafii, dziekan okręgu białostockiego, o. mitrat **Jerzy Boreczko**. – Wielu prawosławnych uczestniczyło w drugiej wojnie światowej. Liczni synowie, ojcowie, rodzice nie wrócili z tej wojny, gdyż polegli. Mogłoby się wydawać, że ich dzieci będą żyć po wojnie bezpiecznie. Niestety, tak się nie stało. Dowodem tego był 1946 rok, kiedy to organizowano akcje prześladowcze skierowane przeciwko mieszkańcom miejscowości, zamieszkałych głównie przez ludność prawosławną. Motywem tych napadów była wiara prawosławna, narodowość, tradycja i obrządek naszych przodków. Sprawcami napaści byli ludzie ubrani w polskie mundury, pod którymi biły serca pełne nienawiści do tego, co nie było łacińskie. Dokonywali podpaleń zabudowań i mordów dzieci, kobiet oraz starców. Dla wiernych była to męczeńska śmierć. Ginęli w ogniu w swoich domostwach. W tym okrucieństwie szczególnie zasłynęli dowódcy o pseudonimach „Bury” i „Łupaszka”, którzy dzisiaj, niestety, uznawani są za bohaterów. Takich bohaterów prawosławni nigdy nie zaakceptują, ponieważ przez nich została zadana bardzo głęboka rana, a wspomnienie o morderstwach pozostaje bardzo bolesne. Bądźmy zatem strażnikami tej historycznej tragedii i prawdy, a tę historyczną prawdę nie tylko pielęgnujmy w swoich sercach, ale także starajmy się przekazywać naszym dzieciom i wnukom.

W 1946 roku na przełomie stycznia i lutego Oddział Zbrojnego Podziemia Pogotowia Akcji Specjalnej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego pod dowództwem kapitana **Romualda Rajsa** pseudonim „Bury” spacyfikował pięć wsi w okolicach Bielska Podlaskiego, zamieszkałych przez prawosławnych – Zaleszany, Zanie, Szpaki, Końcowiznę i Wólkę Wygonowską.

29 stycznia zamordowano szesnastu mieszkańców wsi Zaleszany, w tym kobiety i dzieci, a w Wólce Wygonowskiej zabito dwie osoby. 31 stycznia zamordowano trzydziestu furmanów w lesie niedaleko Puchał Starych koło Brańska. Rozstrzelano tylko prawosławnych, a tym, którzy zadeklarowali przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego pozwolono odejść. 2 lutego spacyfikowano wieś Szpaki, gdzie zginęło pięć osób i dwie kolejne po paru dniach wskutek odniesionych ran, a także wieś Zanie, w której zabito 24 osoby i spalono zabudowania należące do prawosławnych, natomiast domów kilku rzymskokatolickich rodzin nie zniszczono ogniem. Tego samego dnia spalono wieś Końcowiznę.

18 listopada 2005 roku Sąd Okręgowy w Białymstoku orzekł, że „zabójstwo członków określonej grupy narodowościowej i wyznaniowej, w tym kobiet i dzieci, choćby pod pozorem uzyskania wyższych celów politycznych czy niepodległościowych – nie daje się usprawiedliwić żadną racją i jest zbrodnią ludobójstwa” (sygn. akt III Kp 297/05).

Wszystkie ofiary, czyli 79 męczenników za wiarę, zostało kanonizowanych przez Cerkiew prawosławną w Polsce, która wychwala ich słowami troparionu: „Błogosławiony jesteś, Chryste Boże nasz, który wysławiłeś męczenników ziemi chełmskiej i podlaskiej, oni zaś okrutne prześladowania i męki przecierpieli ze względu na Ciebie i przez nie umocnili święte prawosławie w naszej ojczyźnie, przez ich modlitwy Panie daj naszym sercom jednomyślność i miłość braterską, światu pokój, Cerkwi umocnienie oraz wszystkim odpuszczenie grzechów”.

Andrzej Charyło, fot. **autor**

Chcą ukraść ławrę św. Dawida Garedży

Jesienią ubiegłego roku Azerowie przy pomocy Turcji odebrali Ormianom większość Karabachu. Teraz chcą odebrać Gruzinom ławrę św. Dawida Garedży. Miejsce to znane jest doskonale każdemu pielgrzymowi, a nawet turyście odwiedzającemu Gruzję, stanowiąc żelazny punkt wizyty w tym kraju. Dla uściślenia dodam, iż nie chodzi tylko o sam monaster św. Dawida z jego moszczami, ale o całą ławrę, składającą się niegdyś z dwudziestu klasztorów. Obecnie w większości z nich życie duchowe jeszcze nie zdążyło na dobre się odrodzić, co nie zmienia faktu, że cały teren stanowi dla każdego Gruzina nie tylko religijną, ale wręcz narodową świętość. Nie ma więc mowy, by wchodziły tu w grę jakiekolwiek targi.

Św. Dawid Garedży, czyli Pustelnik, to wielki asceta żyjący w VI wieku, jeden z trzynastu Ojców Syryjskich – założycieli gruzińskiego monastycyzmu. Od półtora tysiąca lat jego święte relikwie znajdują się w poświęconym mu monasterze, do którego co roku pielgrzymują tłumy wiernych nie tylko z całego kraju, ale i z całego prawosławnego świata. Tuż obok mistrza pochowany jest jego pierwszy uczeń, św. Lukian. Nad klasztorem z kolei spoczywają moszczy Sześciu Tysięcy Świętych Mnichów-Męczenników, zamordowanych w siedemnastym stuleciu przez perskiego szacha Abbasa. Po drugiej stronie góry znajdziemy ponadto skalny monaster Udabno z tysiącletnimi freskami, stanowiącymi dziedzictwo religii i kultury na skalę światową. Wielowymiarowa wartość całego kompleksu jest więc nieoceniona.



Już od trzech lat gruzińscy pogranicznicy nie wpuszczali nas ani do Sześciu Tysięcy Męczenników, ani do Udabno, mówiąc że zrobiło się tam niebezpiecznie. Wyjaśnień nie udzielali. Dziś wiadomo, iż związane to było z przejęciem części kompleksu przez wojsko azerskie, które znajduje się tam do dziś. Wiadomo również, że Azerowie mają też chrapkę na leżący kawałek dalej monaster Chichhituri oraz pozostałą część ławry. W Gruzji wrze i temat nie schodzi z pierwszych stron gazet. Kwestia bowiem jest jak najbardziej ogólnonarodowa, nie podlegająca według Gruzinów jakimkolwiek negocjacjom, a dodatkowo owiana atmosferą skandalu. Przyjrzyjmy się więc temu bliżej.

Oficjalną podstawą roszczeń azerskich są kwestie historyczne oraz sprawy związane z korektami granicznymi, których żądają. A wiedzieć nam trzeba, że wspomniana ławra leży dokładnie na samej granicy (patrz załączone fotografie), choć po stronie gruzińskiej. I to ostatnie właśnie kwestionuje strona azerska, powołując się na historię, a konkretnie na tzw. Albanię Kaukaską. Otóż Albanowie (zbieżność nazw ze współczesną Albanią bałkańską zupełnie przypadkowa) to starożytny naród, swymi korzeniami sięgający początków naszej ery. Wraz z Ormianami i Gruzinami bardzo szybko przyjęli chrześcijaństwo. Na swoje nieszczęście jednak byli za mali i za bardzo wysunięci na wschód, by się ostać. Walczyli więc nieustanie, podlegając w różnych okresach swoich dziejów – Persom, Bizantyjczykom, Chazarom, Arabom, a nawet Armenii. Ostatecznie rozgromili ich Tatarzy i słuch o nich zaginął.

Zapytacie Państwo, no dobrze, tylko co to wszystko ma wspólnego z Azerbejdżanem? Teoretycznie nic. Ale w praktyce machina propagandowa w tym niewielkim kraju od dawna podporządkowała sobie nie tylko historyków i archeologów, ale wręcz wszystkich naukowców, którzy od lat „udowadniają" azerskie prawa do Karabachu, obecnie zaś głoszą, iż są

Granica. Monaster Chichhituri w głębi z lewej i skalny Udabno z prawej, niżej skalny monaster Udabno





potomkami Albanów, którzy jakoby przez nich to zostali wchłonięci w sposób zupełnie pokojowy (!), gdyż zafascynowani islamem zasymilowali się dobrowolnie, porzucili swoją religię i roztopili w nowym społeczeństwie…

Jedyne co się tu zgadza to geografia, gdyż Albania Kaukaska rzeczywiście leżała tam gdzie dziś Azerbejdżan. Ale reszta… No cóż, gdy Tatarzy dobijali resztki Albanów, to o plemionach tureckich (bo Azerowie z nich właśnie się wywodzą i są z tego bardzo dumni) na tych terenach nawet jeszcze wróble nie ćwierkały. Historiografii i propagandzie azerskiej nie przeszkadza to jednak zupełnie, powołuje się więc na takie właśnie „dziedzictwo" i zgłasza pretensje do gruzińskiego pogranicza.

W samej zaś Gruzji atmosferę podgrzewa, jak już wspomniałem, skandal, którego bohaterami jest dwójka kartografów, którzy wynieśli z państwowego archiwum, a potem ukryli, mapy z lat 1937-1938, stanowiące podstawę do wytyczenia granicy między zainteresowanymi stronami – zarówno wówczas, jak i potem, w roku 1996, po rozpadzie ZSRR. I do tej pory nikt tego nie kwestionował. Gdy więc zupełnie niedawno Azerowie zgłosili swoje pretensje do Garedży, strona gruzińska z przerażeniem odkryła, że map nie ma, za to swoje mają Azerowie, tyle tylko, że jakieś takie troszkę inne...

Koniec końców kartografowie trafili za kratki, poczem zostali zwolnieni za kaucją. To wywołało nowy skandal oraz medialną wręcz burzę, gdy w czasie telewizyjnego wywiadu oświadczyli, że Garedży zawsze było azerskie, co oklaskami przyjęło kilku obecnych w studiu przedstawicieli opozycji parlamentarnej. Tego było już za wiele i ludzie wyszli na ulice.

Rozwiązanie tego tak bardzo zasupłanego węzła stało się więc rządowym priorytetem. Oficjalnie głos zabrał także Synod Cerkwi Gruzińskiej, który 11 lutego oświadczył, iż jakakolwiek manipulacja w kwestii przynależności terytorialnej ławry jest przestępstwem w stosunku do narodu oraz historyczną manipulacją. Wezwał więc rząd do jak najszybszego rozwiązania sporu, zdając sobie doskonale sprawę z faktu, iż Gruzini nigdy nie pogodzą się choćby z myślą o utracie Garedży i jeśli będzie trzeba, będą jej bronić.

Azerowie tymczasem zupełnie nie zaprzątają sobie głów tym co zrobi sąsiad i od dawna budują 32 kilometrową drogę ekspresową do Garedży, które otrzymało u nich oficjalną nazwę „Rezerwat kulturowo-historyczny Keshikchidag". Media zaś lansują popularne określenie „Skalnej chwały Azerbejdżanu".

O co więc tak naprawdę chodzi, należy zapytać, i po co Azerom kolejny konflikt z sąsiadem, który grozi zerwaniem bardzo dobrych jak dotąd stosunków oraz utratą najkrótszej drogi, łączącej ich z Turcją? Otóż odpowiedź na to pytanie jest niestety prosta. Związane jest to z turecką polityką panturkizmu, autorstwa ekipy prezydenta Erdogana, zwanej także procesem budowy tzw. „Wielkiego Turanu". Zakłada on zjednoczenie pod „tureckim berłem" wszystkich narodów i państw turkijskich, czyli Turcji, Azerbejdżanu, Turkmenistanu, Uzbekistanu, Kazachstanu, Kirgistanu, plus Krym oraz kawał zamieszkałej przez muzułmanów rosyjskiej Syberii, a z drugiej strony mapy także Syrię i Libię.

I to niestety nie są mrzonki, gdyż proces już się toczy. Przykładowo w Azerbejdżanie i w Turcji obowiązuje zasada „jeden naród – dwa państwa". Pomagali więc Azerom bardzo aktywnie silniejsi bracia w zdobyciu Karabachu – pomagają teraz w przejęciu Garedży.

I lekceważyć tego absolutnie nie wolno, gdyż wszechobecna pandemia to woda na ich młyn. Społeczeństwa i państwa przecież, jak widzimy to każdego dnia, szczelnie się pozamykały i absolutne nikt dziś nie będzie „umierał za ...gruziński monaster".

Pozostaje więc już chyba tylko modlitwa, by święta ziemia Garedży nie podzieliła losu Hagii Sophii i karabachskich świętości.

Paweł Krysa, fot. **autor**

Zagrożone dziedzictwo Arcachu

Republika Górskiego Karabachu, nazywana przez Ormian Republiką Arcachu, w okresie komunizmu formalnie należała do Azerbejdżanu. W wyniku wojny w latach 1992-1994, terytorium Arcachu w większości zostało zajęte przez Ormian, którzy nie wszczepili go jednak w skład Armenii. Funkcjonowało więc jako typowe państwo-widmo, oficjalnie nie uznawane przez żaden kraj świata, nawet przez Armenię, choć w istocie organicznie z nią zjednoczone. 27 września 2020 roku wybuchły tam walki o kontrolę nad tym terytorium, w wyniku których jego większość została przejęta przez Azerbejdżan. Na skutek działań wojennych zginęły setki ludzi, a tysiące zostało przesiedlonych. Na początku tego roku opublikowano raport dotyczący aktów wandalizmu i zagrożeń unikalnego dziedzictwa Arcachu, gdzie istnieje około czterech tysięcy historycznych obiektów kultury ormiańskiej, w tym 370 świątyń, wzniesionych w okresie od IV do XXI wieku.

Zgodnie z porozumieniem o zawieszeniu broni, podpisanym 9 listopada 2020 roku między Republiką Armenii, Republiką Azerbejdżanu i Federacją Rosyjską, ponad 1450 zabytków architektury, w tym 161 świątyń należących do przedchalcedońskiego Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, przeszło pod kontrolę Azerbejdżanu. Istnieją uzasadnione obawy co do ich należytej ochrony, gdyż państwo to na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat systematycznie niszczyło chrześcijańskie dziedzictwo kultury ormiańskiej. Ewidentnym tego przykładem była likwidacja w latach 1997-2006 zabytkowego, dużego cmentarza w miejscowości Dżulfa (Culfa), położonej w regionie Nachiczewan, przy granicy z Iranem. Zburzono tysiące nagrobków (chaczkarów), ozdobionych bogatą ornamentyką, z których najstarsze pochodziły z IX-X wieku. Azerbejdżanie całą nekropolię zrównali z ziemią przy pomocy ciężkiego sprzętu budowlanego, a jej teren zamienili na poligon wojskowy.

Najnowszy raport składa się z trzech rozdziałów, w których omówione zostały kwestie dotyczące celowych ataków na historyczne zabytki ormiańskie, procesu dezinformacji wobec dziedzictwa ormiańskiego, a także roli prawa międzynarodowego w zakresie ochrony dóbr kulturowych. Dokument zawiera aneks z wykazem ruchomych obiektów historycznej spuścizny Ormian, które w wyniku ubiegłorocznego konfliktu zbrojnego znalazły się pod kontrolą Azerbejdżanu. W ośmiu muzeach przechowywanych jest łącznie ponad 19 tysięcy oryginalnych artefaktów. W raporcie umieszczono także szczegółową listę nieruchomych zabytków ormiańskiego dziedzictwa kulturowego, będących obecnie pod nadzorem Azerbejdżanu, z podziałem na rejony Askeran, Hadrut, Kaszatagh, Martakert, Martuni, Szuszy i Szahumian. Wskazano dokładną lokalizację wszystkich obiektów, podając ich precyzyjne współrzędne geograficzne.

27 września 2020 roku Azerbejdżan rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę ofensywę przeciwko Arcachowi. Doszło do napaści zbrojnej na ludność i infrastrukturę cywilną, obiekty kulturalne, które zazwyczaj były oddalone od jakichkolwiek celów wojskowych. 8 października zaatakowano jedną z największych świątyń ormiańskich na świecie, czyli katedrę Chrystusa Zbawiciela w mieście Szusza. W wyniku ostrzału rakietowego zawaliła się część dachu, a przebywające w świątyni kobiety i dzieci zdążyły schronić się w piwnicy. Precyzja napaści i fakt, że w katedrę uderzono dwa razy w ciągu czterech godzin świadczą, że atak był celowy i zamierzony. W ten sposób siły zbrojne Azerbejdżanu rażąco naruszyły 4 artykuł konwencji haskiej i tym samym dopuściły się zbrodni wojennej. Uszkodzono chrześcijański obiekt z 1888 roku, który jest elementem ormiańskiej tożsamości narodowej i religijnej. Po przejęciu kontroli nad miastem przez Azerbejdżan, po podpisaniu porozumienia o zawieszeniu broni, doszło do kolejnych obstrzałów świątyni i jej profanacji, gdyż ściany oszpecono graffiti. Na podstawie zdjęć lotniczych stwierdzono, że poważnemu uszkodzeniu uległa także świątynia św. Jana Chrzciciela z 1818 roku.

6 listopada Azerbejdżan zaatakował stanowisko archeologiczne w pobliżu Tigranakert, starożytnej stolicy królestwa Armenii, które istniało od 189 roku p.n.e. do 387 roku n.e. Miasto zostało założone na początku I wieku p.n.e. przez króla **Tigranesa II Wielkiego** z dynastii Artaksydów, pierwszej narodowej dynastii ormiańskiej. Ruiny zostały odkryte dopiero w 2005 roku, po czym rozpoczęto prace wykopaliskowe, w wyniku których odsłonięto m.in. dwa główne mury miasta, pozostałości bazyliki z V-VII wieku. Królestwo Armenii stało się najstarszym chrześcijańskim państwem świata, gdyż król **Tiridates III** ustanowił chrześcijaństwo religią państwową w 301 roku, czyli dwanaście lat przed zniesieniem przez cesarza **św. Konstantyna Wielkiego** prześladowań chrześcijan w Cesarstwie Rzymskim. Starożytna stolica Tigranakert jest najlepiej zachowanym miastem cywilizacji helleni-





stycznej i ormiańskiej na Kaukazie. Obecnie istnieje realne zagrożenie, że Azerbejdżan po przejęciu nad nim kontroli może doprowadzić do jego zniszczenia wraz z mnóstwem cennych artefaktów.

Drugi rozdział raportu zawiera stwierdzenie, że od dziesięcioleci Azerbejdżan prowadzi kampanię dezinformacyjną, mającą na celu przywłaszczenie sobie ormiańskiego dziedzictwa kulturowego i historycznego poprzez kwestionowanie jego ormiańskiego pochodzenia. Jest to niezwykle zadziwiające zjawisko, gdyż powszechnie wiadomo, że Ormianie zamieszkiwali owe ziemie na długo przed przybyciem Azerów. Z bólem obserwuje się niszczenie miejsc sakralnych w celu wymazania dowodów ormiańskiej chrześcijańskiej przeszłości, a tym samym pozbycia się wszelkich roszczeń terytorialnych do tego rejonu. Azerbejdżan oczywiście zaprzecza tym zarzutom, a jednocześnie kontynuuje swój polityczny program usuwania świadectw obecności kultury ormiańskiej w regionie i próbuje stosować fałszywą narrację historyczną.

Szczególna trudność w ochronie dziedzictwa kulturowego Armenii polega na tym, że na terenach kontrolowanych przez Azerbejdżan nie mieszkają Ormianie, którzy mogliby zapobiec lub zaprotestować przeciwko niszczeniu ich spuścizny narodowej, a także związana jest z faktem ograniczonych możliwości działania przeciwko rządom państw, które niszczą wielowiekowe dziedzictwo historyczne na swoim terytorium w czasie pokoju. Ponadto Azerbejdżan wielokrotnie odmawiał nominacji ormiańskiego dziedzictwa kulturowego do listy światowego dziedzictwa UNESCO, a także nie wyrażał zgody na pobyt przedstawicieli UNESCO w swym kraju w celu zbadania stanu spuścizny historycznej Ormian.

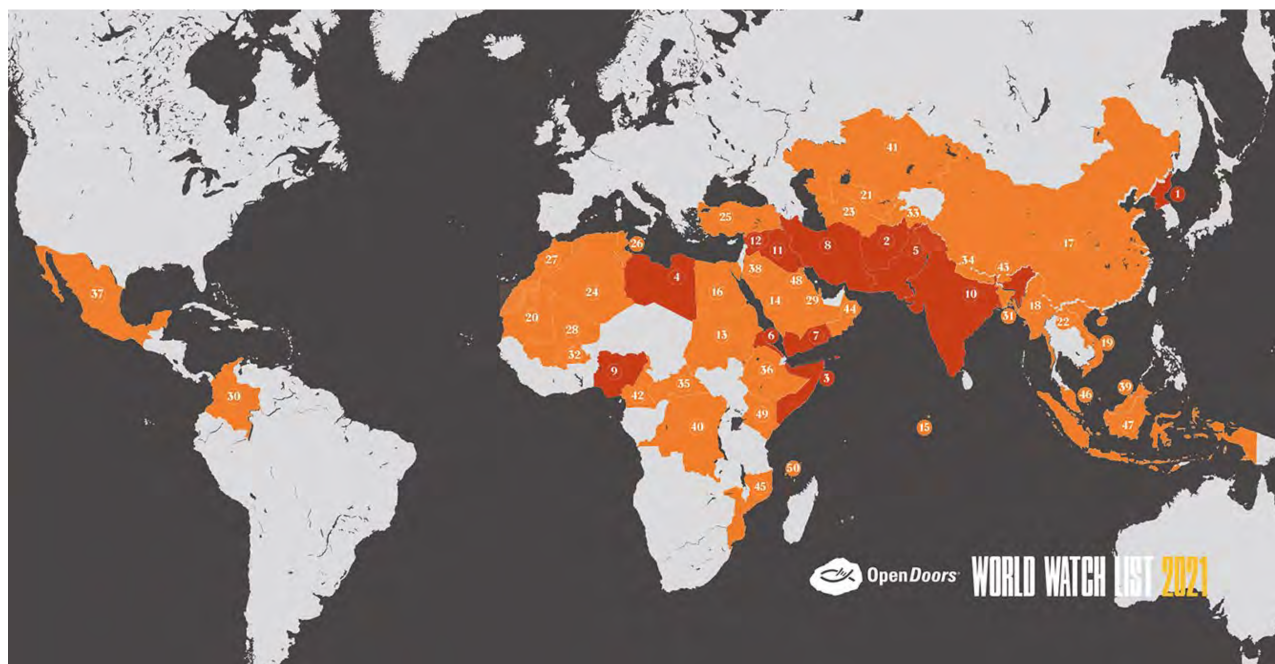
W trzecim rozdziale dokumentu przytoczono 4 artykuł konwencji, podpisanej w Hadze w 1954 roku, a ratyfikowanej przez Azerbejdżan i Armenię w 1993 roku, o ochronie dóbr kulturalnych w razie konfliktu zbrojnego, który głosi, że „Strony zobowiązują się szanować dobra kulturalne położone zarówno na ich własnym terytorium, jak i na terytoriach innych umawiających się stron, przez powstrzymanie się od używania tych dóbr i ich bezpośredniego otoczenia oraz środków przeznaczonych do ich ochrony do celów, które mogłyby wystawić te dobra w razie konfliktu zbrojnego na zniszczenie lub uszkodzenie, oraz przez powstrzymanie się wobec nich od wszelkich aktów nieprzyjacielskich. Strony zobowiązują się ponadto zakazać wszelkich aktów kradzieży, rabunku lub bezprawnego przywłaszczenia dóbr kulturalnych, jakąkolwiek przybrałyby one formę, jak również wszelkich aktów wandalizmu wymierzonych przeciw nim, zapobiegać takim aktom, a w razie potrzeby powodować ich zaprzestanie".

W konkluzji raportu zawarto konstatację, że w związku z licznymi napadami i aktami wandalizmu wobec dziedzictwa kulturowego w Republice Arcachu ze strony Azerbejdżanu, istnieją poważne obawy, iż ormiańskie obiekty historyczne są zagrożone i mogą zostać bezpowrotnie zniszczone. Niezbędne jest zatem podjęcie przez organizacje międzynarodowe konkretnych i stanowczych działań, mających na celu zapobiegnięcie takiej sytuacji.

Andrzej Charyło

fot. **Report on the Armenian cultural heritage in Artsakh**

Prześladują chrześcijan



W ciągu ostatniego roku wzrosła intensywność prześladowań chrześcijan na świecie – głosi najnowszy raport międzynarodowej organizacji Open Doors. Obecnie około 309 milionów chrześcijan doświadcza bardzo wysokiego lub ekstremalnie wysokiego poziomu prześladowań w pięćdziesięciu krajach uwzględnionych w światowym indeksie. W ubiegłym roku zamordowano 4761 chrześcijan, co stanowi wzrost o około sześćdziesiąt procent w porównaniu z danymi z 2019 roku, gdy zanotowano 2983 ofiary. Przeważającą większość z nich stanowili mieszkańcy Afryki. Z aktualnego indeksu wynika, że każdego dnia trzynastu wyznawców Chrystusa ginie za wiarę, dwunastu jest niesprawiedliwie aresztowanych lub więzionych, a pięciu zostaje porwanych. Codziennie dwanaście chrześcijańskich świątyń staje się obiektem ataków i napaści. Obecnie co ósmy chrześcijanin na świecie jest dyskryminowany ze względu na swoją wiarę. Mimo to liczba chrześcijan, stanowiących dziś ponad trzydzieści procent ogółu mieszkańców Ziemi, stale rośnie.

Wyznawcy Chrystusa są najbardziej prześladowani w Korei Północnej, Afganistanie, Somalii, Libii, Pakistanie, Erytrei, Jemenie, Iranie, Nigerii, Indiach, Iraku i Syrii. Kolejne pozycje zajmują: Sudan, Arabia Saudyjska, Malediwy, Egipt, Chiny, Mjanma, Wietnam, Mauretania, Uzbekistan, Laos, Turkmenistan, Algieria, Turcja, Tunezja, Maroko, Mali, Katar, Kolumbia.

Wśród państw, w których najbardziej zwiększyły się prześladowania chrześcijan, wymienia się Turcję, która przesunęła się o dziewięć miejsc w górę w porównaniu z ubiegłorocznym indeksem. W tym muzułmańskim kraju nacjonalizm religijny rośnie w siłę, co sprawia, że chrześcijanie znajdują się w bardzo trudnym położeniu. Przedstawiciele greckich, ormiańskich i syryjskich mniejszości etnicznych nie są uznawani za pełnoprawnych członków tureckiego społeczeństwa i doświadczają różnego rodzaju przeszkód prawnych i biurokratycznych. Mają problem ze znalezieniem pracy w sektorze publicznym, a żołnierze często spotykają się z nierównym traktowaniem i szykanami. Przekształcenie słynnej Hagii Sophii i świątyni na Chorze w Stambule w meczety (pisaliśmy o tym w PP 8 i 10/2020) wywołało wśród chrześcijan ogromny niepokój i obawy co do kierunku, w jakim zmierza ich kraj.

Metodologia stosowana w badaniach organizacji Open Doors zakłada, że prześladowania oznaczają nie tylko sytuacje, gdy chrześcijanie są ranieni, torturowani czy zabijani z powodu wyznawanej wiary, ale również gdy wyznawcy Chrystusa z powodu swojej wiary tracą miejsca pracy lub środki na utrzymanie, kiedy dzieci nie mogą dostać się do szkół lub mają ograniczone szanse zdobycia wykształcenia, a także kiedy chrześcijanie z powodu

presji otoczenia lub w obawie o swoje życie muszą opuszczać swoje rodzinne strony.

Prześladowania chrześcijan na świecie osiągają coraz większą skalę. Przemoc, piętnowanie i szykanowanie wyznawców Chrystusa dotyczą coraz większej liczby wierzących na całym świecie. Raport Open Doors nie uwzględnia państw europejskich, w których ataki na chrześcijańskie miejsca kultu są coraz powszechniejsze. Przejawy wrogości związane są zazwyczaj z rozprzestrzeniającym się radykalnym islamem, jak również antychrześcijańskim sekularyzmem.

Udokumentowane przypadki świadczą o tym, iż prawo do wyboru i praktykowania własnej religii jest jednym z najczęściej naruszanych praw na świecie. Prawo do wolności religijnej, określone w artykule 18 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka (ang. *Universal Declaration of Human Rights*), uchwalonej w 1948 roku w Paryżu, jest adresowane do wszystkich państw członkowskich ONZ, a tym samym stanowi powszechnie uznane międzynarodowe prawo zwyczajowe, a jego przestrzeganie jest monitorowane przez Komitet Praw Człowieka (ang. *Human Rights Committee*). Na bazie tej deklaracji uchwalono w 1966 roku w Nowym Jorku Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych (ang. *International Covenant on Civil and Political Rights*) oraz Międzynarodowy Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych (ang. *International Covenant on Economic, Social and Cultural Rights*), które wspólnie tworzą Międzynarodową Kartę Praw Człowieka (ang. *International Bill of Rights*).

Raport o przestępstwach z nienawiści przeciwko chrześcijanom publikuje także Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (ang. *Organization for Security and Co-operation in Europe*), na podstawie danych zgromadzonych przez państwa członkowskie, a także funkcjonujące na ich obszarze organizacje pozarządowe. Według najnowszych analiz wzrasta liczba przestępstw z nienawiści na tle religijnym, które przybierają coraz brutalniejszą formę. W raporcie stwierdzono, że wśród nich najwięcej dotyczyło dewastacji obiektów sakralnych, gróźb karalnych, a także napaści, przemocy i pobić.

We współczesnym świecie niezwykle trudno określić rzeczywistą skalę prześladowań, gdyż nie wszystkie akty agresji wobec chrześcijan są zgłaszane do odpowiednich organów ścigania, czyli m.in. prokuratury i policji, a sprawcy czynów zabronionych pozostają bezkarni. Mimo to wciąż rośnie liczba zawiadomień o przestępstwach, związanych z przemocą i agresją wobec chrześcijan. W polskim kodeksie karnym z 1997 roku o konsekwencjach przestępstw przeciwko wolności sumienia i wyznania wspominają artykuły 194-196, za zniesławienie artykuł 212, a za występek polegający na uderzeniu pokrzywdzonego lub naruszeniu jego nietykalności cielesnej artykuł 217.

Według komentatorów wzrost intensywności prześladowań chrześcijan, szczególnie w Europie, skorelowany jest z procesem sekularyzacji samych chrześcijan, którzy coraz częściej nie wspierają swych współwyznawców, nie bronia ich, nie pomagają i biernie obserwują akty barbarzyństwa. Nieraz ludzie dystansują się z różnych powodów od kleru, unikają działalności w chrześcijańskich wspólnotach, z którymi przestają się utożsamiać, a nawet zrywają z nimi kontakt i je na zawsze opuszczają. Ta tendencja obojętności, indyferentyzmu religijnego, związana z wieloma czynnikami, wpływa bezpośrednio na zwiększenie się aktów przemocy i prześladowań chrześcijan.

Według szacunków Ośrodka Badań Chrześcijaństwa na Świecie (ang. *Center for Study of Global Christianity*) z siedzibą w USA na przestrzeni całej historii chrześcijaństwa życie za wiarę oddało ponad siedemdziesiąt milionów ludzi. Ponad połowa z nich została zamordowana w czasach reżimów faszystowskiego i komunistycznego. Obecnie chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną na świecie.

Andrzej Charyło
fot. **www.opendoors.pl**

W obliczu oszczerstw i napaści

W historii Cerkwi istniały okresy względnego spokoju, rozwoju i stabilizacji, ale także burzliwych sporów, okrutnych represji, niepewności i dezorganizacji. Żyjemy w czasach, w których wiele społeczeństw boryka się z różnego rodzaju kryzysami i utratą wewnętrznej równowagi. Współczesny postęp technologiczny umożliwia ingerencję w kod genetyczny żywych organizmów, także człowieka, co jest ściśle związane z nieprzewidywalnymi konsekwencjami. Dzisiaj na świecie pojawiły się poważne wyzwania w wielu dziedzinach życia, zarówno o charakterze materialnym, jak i duchowym.

Wydaje się, że z jednej strony wśród chrześcijan można zaobserwować powrót do istoty wiary, zwiększenie świadomości znaczenia prawdziwej Tradycji, związanej z realnym życiem w Chrystusie. Z drugiej natomiast istnieje ruch odśrodkowy sprzyjający pewnemu rozproszeniu, relatywizmowi w pojmowaniu określonych zagadnień, a skutki sekularyzacji sprzyjają ujednolicaniu wszystkiego pod osłoną globalizacji. Nawołuje się do ciągłych ustępstw w

celu dostosowania się do tego świata. Jeżeli nie będziemy przestrzegać podstawowych, kardynalnych zasad, zaczniemy bezpowrotnie naruszać wierność wobec naszej wiary.

Fundamentalne pytanie jest zatem następujące: czy postanowienia soborów powszechnych, a także kanony sformułowane na przestrzeni wieków są integralną częścią naszej wiary? Zmiany wynikające z indywidualnej mentalności niektórych ludzi mają daleko idące konsekwencje dla wiernych. Subtelna i narastająca presja przybiera formę prześladowania, ponieważ ma na celu zwieść ludzi z prawidłowej drogi. Jednak zostaliśmy o tym ostrzeżeni: *Sługa nie jest większy od swego pana. Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować* (J 15,20).

Przypomnijmy bitwę na Kosowym Polu w 1389 roku przeciw muzułmanom. Święty serbski książę Lazar otrzymał niebiańskie przesłanie dotyczące wyboru – albo od razu rozpocznie walkę i pokona wroga, zdobywając ziemską chwałę, albo najpierw zbuduje świątynię na przyszłym polu bitwy, ale poniesie porażkę wraz ze swymi sojusznikami, zdobywając jednak niebiańską koronę. Cóż był to za trudny wybór dla księcia. Lazar wybrał wieczne Królestwo i wraz ze swym oddziałem uczestniczył w przeddzień bitwy w Boskiej Liturgii.



Prześladowanie chrześcijan w Nikomedii, miniatura z bizantyńskiego Menologionu cesarza Bazylego II z około 985 roku

Pełna katastrofa i klęska z militarnego i historycznego punktu widzenia była w istocie wielkim zwycięstwem na poziomie duchowym, które od wieków inspirowało naród serbski. Śmierć księcia i wielu wojowników orosiła ziemię krwią męczenników.

Na przestrzeni stuleci stosowano różne sposoby ciemiężenia i dręczenia chrześcijan w celu wyrzeczenia się przez nich wiary. Najczęściej były to fizyczne tortury, agresja, okrutna przemoc. Dziś coraz częściej można zaobserwować prześladowania bez śladów najmniejszego zadrapania. Duch czasu gnębi chrześcijan w sposób sprytny i przewrotny. Presja, pokusy, złe słowa, kłamstwa, oszczerstwa, a także manipulacje atakują bezpośrednio wierzących.

Po prześladowaniach, jakie miały miejsce w pierwszych trzech wiekach chrześcijaństwa, w ostatnim stuleciu doszło do największych prześladowań w historii. Specjaliści i badacze ostrzegają dziś przed nową falą prześladowań, a także stwierdzają, że ponad trzysta milionów chrześcijan zaznaje represji z powodu wyznawanej wiary.

W pięknych górach, Alpach Fryburskich, otaczających moją miejscowość, w której mieszkam w Szwajcarii, na najwyższych szczytach często stawiane są drewniane krzyże. Niedawno jeden z nich został spiłowany przez przewodnika turystycznego. Wywołało to smutek wśród mieszkańców przywiązanych do wartości chrześcijańskich. Złoczyńca, po namierzeniu go przez policję, oświadczył, że jest dumny z tego co zrobił. Niektóre media próbowały uczynić z niego bohatera, co wywołało pewną dyskusję na temat obecności symboli religijnych w przestrzeni publicznej. Utrata sacrum wiąże się niejednokrotnie z wypaczonym wyobrażeniem o Bogu i zagadnieniach związanych z wiarą, co prowadzi do duchowej śmierci.

Prawdziwi chrześcijanie swoim przykładnym życiem świadczą o istnieniu innego świata, innej rzeczywistości. Stanowi to pewną prowokację dla współczesnego, zsekularyzowanego człowieka, a nawet wywołuje złość i gniew, gdyż jest niewygodne i drażliwe. Szczerze wierzący ludzie często zaznają niesprawiedliwości, krzywd, cierpienia i przemocy.

Jezus Chrystus powiedział: *Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat* (J 16,33). *Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie wpierw znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi. Pamiętajcie o słowie, które do was powiedziałem: „Sługa nie jest większy od swego pana". Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować. Jeżeli moje słowo zachowali, to i wasze będą zachowywać. Ale to wszystko wam będą czynić z powodu mego imienia, bo nie znają Tego, który Mnie posłał* (J 15,18-21). *Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia. Lecz kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony* (Mt 10,22).

Lecz przed tym wszystkim podniosą na was ręce i będą was prześladować. Wydadzą was do synagog i do więzień oraz z powodu mojego imienia wlec was będą przed królów i namiestników. Będzie to dla was sposobność do składania świadectwa. Postanówcie sobie w sercu nie obmyślać naprzód swej obrony. Ja bowiem dam wam wymowę i mądrość, której żaden z wa-

szych prześladowców nie będzie mógł się oprzeć ani sprzeciwić. A wydawać was będą nawet rodzice i bracia, krewni i przyjaciele i niektórych z was o śmierć przyprawią. I z powodu mojego imienia będziecie w nienawiści u wszystkich. Ale włos z głowy wam nie spadnie. Przez swoją wytrwałość ocalicie wasze życie (Łk 21,12-19).

Biada wam, gdy wszyscy ludzie chwalić was będą. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili fałszywym prorokom (Łk 6,26). *To wam powiedziałem, abyście się nie załamali w wierze. Wyłączą was z synagogi. Ale nadto nadchodzi godzina, w której każdy, kto was zabije, będzie sądził, że oddaje cześć Bogu. Będą tak czynić, bo nie poznali ani Ojca, ani Mnie. Ale powiedziałem wam o tych rzeczach, abyście, gdy nadejdzie ich godzina, pamiętali, że Ja wam o nich powiedziałem. Tego jednak nie powiedziałem wam od początku, ponieważ byłem z wami* (J 16,1-4). *Błogosławieni jesteście, gdy [ludzie] wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami* (Mt 5,11-12).

Jezus Chrystus, przed opuszczeniem swoich uczniów w dniu swojego Wniebowstąpienia, rzekł: *Będziecie moimi świadkami* (Dz 1,8). Apostołowie bardzo szybko zrozumieli, że „świadectwo" prowadzi do ucisku, a nawet do poświęcenia własnego życia. Zbawiciel powiedział im jednocześnie: *Gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc* (Dz 1,8). Jest to ta moc, która wielokrotnie przejawiała się na przestrzeni ostatnich dwudziestu stuleci.

Prześladowanie jest sprawdzianem naszej wiary, prawdziwym wyzwaniem, które oczyszcza serce, uczy miłosierdzia i przynosi pokorę. *Chlubimy się także z ucisków, wiedząc, że ucisk wyrabia wytrwałość, a wytrwałość – wypróbowaną cnotę, wypróbowana cnota zaś – nadzieję* (Rz 5,3-4). To prowadzi do większego pokładania nadziei w Bogu, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.

W tym kontekście wspaniałe są słowa św. ap. Pawła, który wychwala tych, *którzy przez wiarę pokonali królestwa, dokonali czynów sprawiedliwych, otrzymali obietnicę, zamknęli paszcze lwom, przygasili żar ognia, uniknęli ostrza miecza i wyleczyli się z niemocy, stali się bohaterami w wojnie i do ucieczki zmusili nieprzyjacielskie szyki. Dzięki dokonanym przez nich wskrzeszeniom niewiasty otrzymały swoich zmarłych. Jedni ponieśli katusze, nie przyjąwszy uwolnienia, aby otrzymać lepsze zmartwychwstanie. Inni zaś doznali zelżywości i biczowania, a nadto kajdan i więzienia. Kamienowano ich, przerzynano piłą, przebijano mieczem; tułali się w skórach owczych, kozich, w nędzy, w utrapieniu, w ucisku – świat nie był ich wart – i błąkali się po pustyniach i górach, po jaskiniach i rozpadlinach ziemi* (Hbr 11,33-38).

Prześladowanie, o którym tu mowa, miało miejsce przed tyranią Nerona i wskazuje na ciemiężenie w formie oszczerstw, kłamstw, kpiny, odrzucenia, napaści słownych, pogardy, niewdzięczności i przemocy fizycznej. *Wydaje mi się bowiem, że Bóg nas, apostołów, wyznaczył jako ostatnich, jakby na śmierć skazanych. Staliśmy się bowiem widowiskiem światu, aniołom i ludziom; my głupi dla Chrystusa, wy mądrzy w Chrystusie, my niemocni, wy mocni; wy doznajecie szacunku, a my wzgardy. Aż do tej chwili łakniemy i cierpimy pragnienie, brak nam odzieży, jesteśmy policzkowani i skazani na tułaczkę, i utrudzeni pracą rąk własnych. Błogosławimy, gdy nam złorzeczą, znosimy, gdy nas prześladują; dobrym słowem odpowiadamy, gdy nas spotwarzają* (1Kor 4,9-13). *Zewsząd znosimy cierpienia, lecz nie poddajemy się zwątpieniu; żyjemy w niedostatku, lecz nie rozpaczamy; znosimy prześladowania, lecz nie czujemy się osamotnieni, obalają nas na ziemię, lecz nie giniemy. Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele* (2 Kor 4,8-10).

Podczas gdy św. ap. Paweł nawołuje, aby *w niczym nie dawać się zastraszyć przeciwnikom* (Flp 1,28), św. ap. Piotr podkreśla, że prześladowanie jest nieodłącznym elementem naszej wędrówki do Królestwa Bożego. Nie dlatego, że trzeba przynieść pewną ofiarę – przyniósł ją już Chrystus za nas na krzyżu – ale prześladowanie idzie w parze z uświęceniem, czyniąc uczniów Jezusa ulubionym celem tych, którzy sprzeciwiają się zbawieniu. Prawdziwym prześladowcą jest szatan. Naszymi wrogami są demony, które działają poprzez wydarzenia i niektórych ludzi. Biada jednak tym, którzy czynią zło innym i sieją swym zachowaniem zgorszenie. *Umiłowani! (...) nie dziwcie się, jakby was spotkało coś niezwykłego, ale cieszcie się, im bardziej jesteście uczestnikami cierpień Chrystusowych, abyście się cieszyli i radowali przy objawieniu się Jego chwały. Błogosławieni (jesteście), jeżeli złorzeczą wam z powodu imienia Chrystusa, albowiem Duch chwały, Boży Duch na was spoczywa* (1 P 4,12-14).

Jezus Chrystus już nie cierpi swym materialnym ciałem, ale cierpi jego mistyczne ciało, Cerkiew, którą tworzą wierni. Fałszywe świadectwa przeciwko chrześcijanom podczas pożaru Rzymu przypominają nam o fałszywych oskarżeniach pod adresem Chrystusa, nienawiści ludu i Jego okrutnej śmierci.

W Apokalipsie św. ap. Jana upomina się o tych, którzy zostali zabici *dla Słowa Bożego i dla świadectwa, jakie mieli* (Ap 6,9). Najważniejszą kwestią nie jest wiedza, jak powstrzymać prześladowania, ale w jaki sposób stać się na tyle silnym, aby stawić im czoła, ponieważ *wszystkich, którzy chcą żyć pobożnie w Chrystusie Jezusie, spotkają prześladowania* (2 Tm 3,12). Sprawiedliwy i uczciwy człowiek musi zatem stanąć w obliczu przeciwieństw, fałszu, oszczerstw i napaści. Nadzieję, otuchę i radość niosą słowa Bogoczłowieka skierowane do swych przykładnych uczniów: *Bądźcie wierni aż do śmierci, a dam wam wieniec życia* (Ap 2,10).

o. Michel Quenot
tłum. **Andrzej Charyło**
fot. **www.orthochristian.com**





Pomysł na pracę z młodzieżą

Z ALEKSANDREM WASYLUKIEM, byłym przewodniczącym Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Polsce, założycielem serwisów cerkiew.pl oraz orthphoto.net, prezesem stowarzyszenia OrthNet, który w lutym został powołany na koordynatora do spraw pracy z młodzieżą Cerkwi prawosławnej w Polsce rozmawia Jakub Oniszczuk.

– Skąd wziął się pomysł na utworzenie takiego stanowiska?

– Wielokrotnie się pojawiał w rozmowach byłych i obecnych działaczy Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Polsce. W czerwcu 2020 roku odbyło się spotkanie byłych przewodniczących BMP z metropolitą Sawą – wtedy poprosiliśmy metropolitę o powołanie takiej osoby i uzyskaliśmy na to błogosławieństwo. Metropolita Sawa jeszcze przed spotkaniem bardzo często zwracał uwagę na rolę młodzieży i bractwa w Cerkwi i potrzebę zintensyfikowania prac, które usprawnią młodzieżową działalność.

Zdawałem sobie sprawę, że bardzo ważne będzie znalezienie osoby, która ma doświadczenie w pracy z młodzieżą, chęć i wizję działania.

Sam zawdzięczam bardzo dużo działalności w bractwie – w tym roku zostałem Honorowym Członkiem Bractwa. Moje dwie córki niebawem będą mogły rozpocząć działalność w tej strukturze. Zostałem zaakceptowany przez sobór biskupów i mam nadzieję, że sprostam oczekiwaniom.

– Czym twoja działalność odróżniać się będzie od inicjatyw innych organizacji? Jakie masz plany?

– W Cerkwi z młodzieżą pracuje wiele organizacji. W parafiach działają bractwa i chóry prawosławne. Mamy katechezę w szkołach. Pojawiają się również próby dotarcia do młodzieży poprzez Internet – spotkania online, formy blogów.

Chciałbym poznać specyfikę działalności – potrzeby i wyzwania, przed którymi stoją osoby, którym zależy na aktywności młodzieży w Cerkwi. Zaczynam od rozmów i spotkań online i na żywo z organizacjami ogólnopolskimi i diecezjalnymi. Chciałbym również spotkać się z młodzieżą z bractw parafialnych i tą uczęszczającą na religię, z proboszczami parafii i duchownymi pracującymi z młodzieżą. Najpierw chciałbym zrozumieć istotę ich aktywności, poznać problemy, by potem wspólnie znaleźć najlepsze metody ich rozwiązania oraz pomysły na nowe formy pracy.

Często to rodzicom bardziej zależy na aktywności dzieci i liczę na owocny dialog i współpracę z nimi.

Wydaje mi się, że w Polsce mamy odpowiednie struktury i dużo zaangażowanych osób. Brakuje nam jeszcze odpowiedniej współpracy, która mogłaby dać efekt synergii. Często skupiamy się na najbliższych działaniach i brakuje nam planowania z dłuższą perspektywą.

Głównym zadaniem koordynatora do spraw młodzieży powinny być działania długoterminowe i nastawione na znalezienie i rozwój młodzieżowych liderów. Im trzeba będzie zorganizować szereg szkoleń, nauczy pracy z rówieśnikami. To jest to, co ja dostałem od bractwa na początku i czego być może ostatnio zabrakło w młodzieżowej aktywności.

Chciałbym też nawiązać współpracę z innymi lokalnymi Cerkwiam, byśmy mogli uczyć się od siebie nawzajem dobrych praktyk i już nie powielać popełnionych błędów. Zresztą jednym z zadań, których się podejmuję, jest pomoc w reaktywowaniu działalności Syndesmosu.

Kolejnym dużym wyzwaniem, które mnie czeka, jest pomoc bractwu w zagospodarowaniu ośrodków młodzieżowych, w pierwszej kolejności największego, w Białowieży.

– Wyzwań i pracy jest dużo. Jak zamierzasz sobie z tym poradzić?

– Liczę, że nie będę tego robił sam i że na wyrastaniu młodzieży w Cerkwi zależy wielu osobom i organizacjom. Więc już teraz gorąco zapraszam do kontaktu ze mną, zgłaszania pomysłów i chęci współpracy. Czekam również na krytyczne uwagi na temat obecnego stanu, bo jeśli ktoś narzeka, to mu zależy na zmianie i liczę, że jest gotów pomóc zmieniać świat na lepszy.

Wszyscy chętni do współpracy proszeni są o kontakt pod adresem: aleksander.wasyluk@cerkiew.pl.

Każda forma wsparcia to dodatkowy bodziec i impuls do działania na rzecz młodzieży!

– Dziękuję za rozmowę.

fot. **Anna Radziukiewicz**
archiwum Aleksandra Wasyluka

Marcin Abijski, budynek szkoły św. św. Cyryla i Metodego

Z dyrektorem niepublicznej szkoły św. św. Cyryla i Metodego w Białymstoku dr. MARCINEM ABIJSKIM rozmawia Anna Radziukiewicz

Nasza szkoła

Anna Radziukiewicz: – Pandemia zmusiła was do zdalnego nauczania. To był trudny rok?

Marcin Abijski: – Nasi nauczyciele czują się odpowiedzialni za poziom nauczania. Przy pracy zdalnej o wiele trudniej egzekwować ten poziom. Brakuje im realnej weryfikacji postępów. Nauczyciele tęsknią za bezpośrednim kontaktem z uczniami. Szkoła to także integracja i budowanie relacji w czasie dorastania.

– Izolacja wpłynęła na uczniów?

– Na pewno zaszły zmiany w wymiarze społecznym, na poziomie emocjonalnym. Dlatego już na początku pandemii, czyli w zeszłym roku, zaproponowaliśmy uczniom i rodzicom pomoc psychologiczno-pedagogiczną on-line. Gdy dzieci pojawiają się w szkole na konkursach czy konsultacjach, u jednych widzimy wyraźną potrzebę kontaktu, u innych wyczuć można dystans, wycofanie, tak jakby przestali siebie nawzajem potrzebować. Oswoili się z zamknięciem, ułożyli życie po swojemu. Tak jak i dorośli – pierwszy lockdown wywoływał w nich szok i bunt, późniejsze ograniczenia zaczęły przeradzać się w przyzwyczajenie, być nową normą.

– To niebezpieczne. Taka izolacja może prowadzić, nazwijmy to kolokwialnie, do dziwaczenia.

– Człowiek zazwyczaj sam nie zauważa początku zmian swojej osobowości, zachowania. Aby zweryfikować taki proces, potrzebny jest drugi człowiek, relacja. Podoba mi się śródziemnomorski model kontaktów między ludźmi, gdzie więzi społeczne są dużo silniejsze. Łatwiej wtedy dostrzec problem i zareagować. Jesteśmy istotami społecznymi – jak już 2300 lat temu skonkludował Arystoteles. Żyjemy wśród innych ludzi i musimy z nimi współpracować.



– Ale są i pustelnicy w Cerkwi.

– Pustelnik wcale nie jest samotny. Praktykując nieustanną modlitwę pozostaje w mistycznej więzi i relacji z Bogiem. Błogosławieństwo na udanie się na pustynię otrzymują tylko mnisi dojrzali duchowo, mocni w wierze. Jednak i oni podlegają pokusom i wielu tę bitwę przegrywa.

– Wróćmy jednak do szkoły. Czego nie mają inne szkoły w porównaniu z waszą?

– Realizujemy wszystkie zadania szkoły publicznej, wyróżniają nas jednak pewne aspekty.

– Wiem, że duchowy, religijny.

– Tak, to nasz zasadniczy wyróżnik. Patronami szkoły są święci bracia Cyryl i Metody. W budynku szkoły mieści się kaplica poświęcona tym świętym. Lekcje zaczynamy od modlitwy. Mamy opiekuna duchowego, który przewodniczy codziennym modlitwom i który w wybrane święta odprawia w kaplicy nabożeństwa. Jednocześnie na co dzień oferuje uczniom poradę duchową, opiekę, podpowiada, uzupełniając w ten sposób zadania pedagoga i psychologa. Uczniowie klas IV-VI uczą się obowiązkowo języka cerkiewnosłowiańskiego – języka, który nie tylko jest spuścizną świętych Braci Sołuńskich, ale także głównym językiem modlitwy, liturgicznym naszej Cerkwi. Uczymy dzieci, że to Ewangelia powinna być dla nich zasadniczym punktem odniesienia w życiu, w budowaniu relacji i norm społecznych. Jesteśmy osobami wierzącymi, a szkoła dąży do tego, aby tę wiarę rozwijać.

– A inny aspekt?

– To, jak już wspomniałem, dydaktyka – główne zadanie szkoły. Zapewniamy wysoki poziom nauczania, o czym świadczą choćby wyniki naszych uczniów w konkursach przedmiotowych – zawsze jesteśmy w czołówce. Mamy wysokie notowania zarówno w mieście, jak i w województwie. Oczywiście zawsze mogłoby być lepiej i nie ukrywam, że czas pandemii zachwiał normalnym procesem dydaktycznym. To jednak zjawisko wspólne wszystkim szkołom. Staramy się jednak utrzymywać dydaktykę na wysokim poziomie. Nasza szkoła funkcjonuje na podbudowie szkoły publicznej, co oznacza, że realizujemy ten sam program, te same zadania i cele. Przygotowujemy uczniów do tego, żeby mogli odnaleźć się w realiach kolejnych poziomów edukacji. Oferujemy jednak dużo więcej niż szkoły publiczne – ponadprogramowe lekcje języków obcych, angielskiego i rosyjskiego, matematyki czy języka polskiego i wiele więcej.

– Co dajecie dzieciom, które chcą wzrastać w tradycji narodowościowej, białoruskiej i ukraińskiej?

– Dodatkowe lekcje języka białoruskiego lub ukraińskiego są dla każdego ucznia obowiązkowe. Nasi nauczyciele bardzo przykładają się do nauczania tych języków, o czym świadczą wyniki. W naszej szkole odbywa się m.in. rejonowy etap konkursu z języka białoruskiego. W tym roku większość uczestników wywodzi się z naszej szkoły. Współpracujemy z gimnazjum w Brześciu. Przed pandemią nasi uczniowie często jeździli do Brześcia i innych miejscowości na Białorusi, zacieśniając kontakty z naszymi zagranicznymi przyjaciółmi. W szkole mamy chór, w którego repertuarze znaleźć można ludowe



pieśni białoruskie, ukraińskie, kolędy czy piosenkę estradową. Chór zdobył wiele nagród i wyróżnień w kraju i za granicą. W szkole organizujemy konkursy piosenki rosyjskiej i angielskiej. Nasi uczniowie zawsze zdobywają wiele nagród w dziedzinach artystycznych. Od ubiegłego roku angażujemy uczniów w zajęcia teatralne. Uczniowie przedstawiają obrzędy i scenki rodzajowe w językach mniejszości i gwarze. Teatr rozwija.

– To uczy swobody wypowiadania się przed publicznością.

– Oczywiście. To ważne, zwłaszcza dzisiaj, kiedy dzieci i młodzież mnóstwo czasu spędzają przed komputerem, a naturalne interakcje międzyludzkie są ograniczone. Teatr uczy otwartości, autoprezentacji, odwagi wypowiedzi, współpracy, dykcji, wyrażania uczuć, po prostu odważnego funkcjonowania w społeczeństwie.

– W jaki sposób dbacie o rozwój fizyczny?

– Mamy trzy godziny wychowania fizycznego tygodniowo, w tym jedną tańca. Corocznie organizujemy naszym uczniom galę tańca. Wszyscy uczniowie chodzą na zajęcia pływania. Basen mamy bardzo blisko, przy ulicy Włókienniczej. Ale to już wynika ze świetnego położenia szkoły, w samym centrum Białegostoku. Ciekawostką jest, że do naszej szkoły, kiedy mieściła się tu jeszcze szkoła publiczna, uczęszczał arcybiskup generał Miron (Chodakowski).

– Czy dzieci chętnie chodzą do waszej szkoły?

– Jestem przekonany, że czują się u nas dobrze. Staramy się stworzyć takie właśnie warunki. Ma być przyjaźnie. Kameralnie jest na pewno. To społeczność 150 uczniów, którzy się znają. Ale szkoła jest po to, by uczyć i wymagać. To trud i obowiązek, który ma procentować w przyszłości. I tego przede wszystkim od naszych uczniów oczekujemy. Pilni uczniowie chętnie chodzą nie tylko na zajęcia lekkie i przyjemne, ale także na te wymagające uwagi i dużego nakładu pracy. Wierzę, że wszyscy uczniowie tęsknią za szkołą, niezależnie od tego, który jej aspekt najbardziej się im podoba.

– A może i za kuchnią?

– Mamy własną kuchnię, nowoczesną i dobrze wyposażoną. Obiady są gotowane w szkole. Przemiłe panie gotują smacznie, a dobry kucharz to przecież wizytówka każdej restauracji, naszej szkolnej kuchni również. Przestrzegamy postów. W środy i piątki nie serwujemy potraw mięsnych. Wielki Post czy Post Bożonarodzeniowy to także okresy bezmięsne.

– Skąd są wasi uczniowie?

– Chociaż szkoła mieści się w centrum Białegostoku, to uczniowie dojeżdżają z całej białostockiej aglomeracji, a nawet dalszych miejscowości, na przykład z Supraśla. Wielu rodziców wyprowadziło się z centrum miasta na przedmieścia albo do okolicznych wsi, ale ze szkoły nie zrezygnowali. Wielu ma u nas po kilkoro pociech. To oczywiście trud, bo dzieci trzeba dowieźć, ale jest to również potwierdzenie tego, że warto; że ten trud zaowocuje.

– W jakich godzinach zapewniacie uczniom opiekę?

– Od 6.50 do 16.50 otwarta jest szkolna świetlica. Młodsze dzieci są pod opieką szkoły, kiedy rodzice pracują.

– Ilu pracuje u was nauczycieli?

– Ponad czterdziestu pedagogów i specjalistów. Do tego dochodzi personel administracyjny. Zarządzanie takim organizmem to wyzwanie. Część nauczycieli pracuje u nas na cały etat, inni uczą kilka lub kilkanaście godzin, na etatach będąc w innych szkołach.

– Kto prowadzi szkołę?

– Organem prowadzącym szkołę jest Stowarzyszenie Bractwo Prawosławne św. św. Cyryla i Metodego. W szkole mieści się biuro zarządu głównego Stowarzyszenia, któremu przewodniczy człowiek przedsiębiorczy, społecznik, oddany Cerkwi – Bazyli Piwnik, mieszkający w Warszawie. Stowarzyszenie, choć zrzesza przede wszystkim ludzi świeckich, pozostaje w bezpośrednim kontakcie z hierarchami i duchownymi naszej Cerkwi. Ma ogólnopolski zasięg. Metropolita naszej Cerkwi Sawa, od momentu jego powołania w końcu lat lat 80., interesuje się jego rozwojem i wspiera działania. Stowarzyszenie z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem daje pewność stabilnego rozwoju. Jego zasadniczym celem jest edukowanie prawosławnych, zwłaszcza organizowanie i prowadzenie placówek oświatowych. I tak, oprócz naszej szkoły, Bractwo prowadzi przedszkola w Bielsku Podlaskim, Hajnówce, Siemiatyczach, Lublinie. W planie jest otwieranie kolejnych placówek w całej Polsce, gdzie obok wysokiego poziomu edukacji kultywowane będą nasze tradycje.

– Czy to jest odpowiedni czas, by zapisywać dzieci do pierwszej klasy?

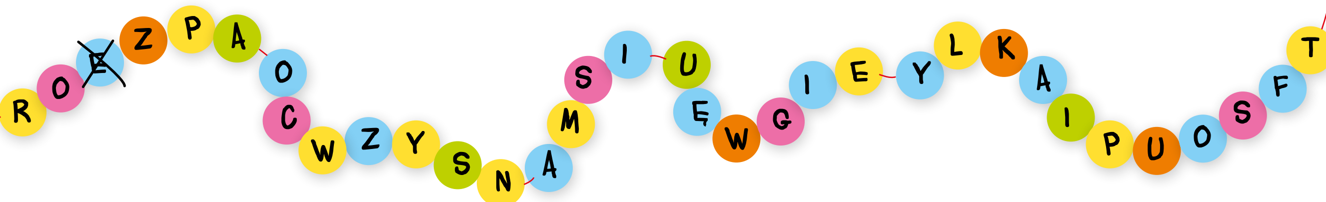
– W dowolnym momencie można skontaktować się ze szkolnym sekretariatem i uzyskać informacje. Zimowe miesiące to czas, kiedy rodzice wybierają szkołę swoim pociechom. Im wcześniej będziemy znać liczbę uczniów przyszłej klasy pierwszej, tym łatwiej i sprawniej będzie można organizować pracę szkoły. Ale przyjmujemy uczniów nie tylko do klasy pierwszej. Mamy również miejsca w klasach starszych. Jesteśmy otwarci i staramy się przyjmować wszystkich chętnych, na każdym etapie. Zapraszamy także do odwiedzenia strony internetowej oraz profilu na Facebooku. Można tam śledzić życie szkoły, chociaż w ostatnim czasie stacjonarnie uczą się jedynie klasy najmłodsze. Nie oznacza to jednak, że dzieje się mało. Szkoła żyje. I rozwija się.

– Dziękuję za rozmowę.

fot. **Anna Radziukiewicz**

Wykreśl co trzecią literę wpisaną w kolorowe korale. Pozostałe litery utworzą ważną wiadomość:

15 MARCA ....

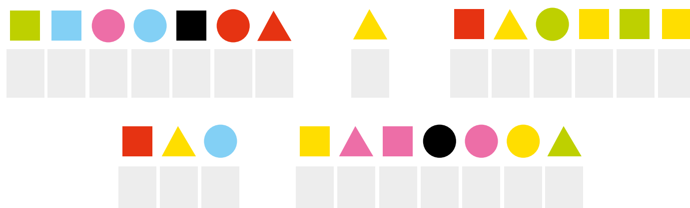


Spróbujcie nauczyć się MODLITWY, którą bardzo często możemy usłyszeć w cerkwi podczas Wielkiego Postu. Ułożył ją święty EFREM SYRYJCZYK. Każdy z nas powinien starać się odmawiać ją również w domu. Składa się ona z trzech części i po każdej z nich robimy pokłon klękając i dotykając czołem ziemi. Prosimy w niej o to, co potrzebne jest nam w czasie postu, aby stać się lepszymi, m.in. by Bóg chronił nas od wypowiadania niepotrzebnych słów, które mogą przecież sprawiać przykrość innym ludziom. Prosimy też o cierpliwość, o miłość.

Jeśli chcesz dowiedzieć się, o co prosimy Boga w trzeciej, ostatniej części modlitwy, rozwiąż szyfr i dokończ zdanie:

	zielony	niebieski	żółty	czerwony	czarny	różowy
○	K	E	A	H	D	Z
□	G	R	O	N	C	Ą
△	Ć	L	I	Y	W	S

W TRZECIEJ CZĘŚCI MODLITWY PROSIMY O TO, ABY WIDZIEĆ TYLKO SWOJE...



WIELKOPOSTNA MODLITWA ŚW. EFREMA SYRYJCZYKA



1) **H**o**s**po**d**i i **W**ła**d**yk**o**
ży**w**ot**a** **m**o**j**eh**o**!
Duch pr**a**zdn**o**st**i**,
unyn**i**ja, lubonacz**a**l**i**ja
i prazdnos**ł**o**w**ija nie dażd'
mi (pokłon).

2) Duch, że cełom**u**drija,
smirennom**u**drija,
tierpi**e**nija i lubw**i**e,
daruj mi rab**u** Twojem**u**
(pokłon).

3) Jej, Hospodi Car**i**u,
daruj mi zr**i**et**i** moj**a**
priehr**e**szenija i nie
osuż**d**ati bra**t**a moj**e**h**o**,
jako Błahosłowien jes**i**
wo wie**k**i wie**k**o**w**. Amiń.
(pokłon).



W NIEDZIELĘ PRZEBACZENIA WIN (*Proszczonnoje Woskresienije*), które wypada w tym roku 14 marca wszyscy powinniśmy pamiętać o wybaczeniu i przeproszeniu bliskich, znajomych, kolegów i koleżanek. To bardzo ważna i piękna tradycja, która mówi o tym, że nikt z nas nie może rozpocząć Wielkiego Postu, jeśli nie chce wybaczać i prosić o wybaczenie.

Redakcja merytoryczna: Maria Ptaszyńska, opracowanie graficzne: Anna Miszczuk

Prawosławne wychowanie w cyfrowej przestrzeni

Tym tematem zajął się prawosławny duchowny służący w Berlinie, ALEKSIEJ WIESIEŁOW, przewodniczący centrum do spraw pracy z prawosławną młodzieżą w Niemczech, umieszczając swój artykuł na stronie organizacji Orthodoxe Jugend in Deutschland / Prawosławna Młodzież w Niemczech (4 XII 2020). Przedstawiam w skrócie problemy tam zarysowane.

Pierwszy smartfon pojawił się w 2007 roku, czyli najstarsze dziecko, które wyrosło w świecie smartfonów, ma dziś 14 lat. O efektach wyrastania w takim otoczeniu trudno więc jeszcze mówić. Niemniej pewne obserwacje już istnieją.

Socjolodzy dzielą współczesnych ludzi na „cyfrowych aborygenów" i „cyfrowych emigrantów". Pierwsi wyrastali wraz z internetem, nawykli otrzymywać informację poprzez kanały cyfrowe. „Emigranci" dojrzewali przed cyfrową rewolucją. Już trzyletni „aborygen" umie, na intuicyjnym poziomie, posługiwać się telefonem komórkowym.

I o ile istnieje kultura picia alkoholu – nie pijemy z rana, codziennie, samotnie, a jeśli tak czynimy, oznacza to alkoholizm, o tyle kultury posługiwania się elektronicznymi gadżetami nikt jeszcze nie wypracował, tym bardziej nie przekazał kolejnemu pokoleniu. Niemniej w Niemczech ograniczenia dotyczą nie tylko filmów, ale także aplikacji na smartfony i gier. I tak YouTube, Facebook, Instagram, TikTok dopuszcza się od dwunastu lat, Fortnite też od dwunastu, Call of Duty od osiemnastu.

Do duchownego, autora tego artykułu, zwróciła się mama piętnastolatka z pytaniem, na ile czasu „ekranowego" dziennie może mu pozwolić. Znając jej konserwatywne poglądy i realia nastolatków, duchowny odpowiedział: – Godzinę. – A co on będzie całą godzinę siedzieć przy tym ekranie? – odpowiedziała wzburzona mama.

Tak więc rodzice czy dziadkowie różnie pojmują ograniczenia czasu korzystania ze smartfonów czy siedzenia przed wszelkimi ekranami.

Co na to specjaliści? Większość z nich rekomenduje: do trzech lat – 0 minut przed smartfonem dziennie, 3-6 lat 30 minut, 7-10 lat godzina, potem z każdym rokiem można jeszcze dodawać po godzinie tygodniowo. Wszystkie medyczne organizacje jednogłośnie mówią, że czas w nadmiarze spędzony przy monitorze szkodzi zdrowiu i rozwojowi.

Monitor może działać jak narkotyk – im więcej przy nim spędzasz czasu, tym bardziej od niego się uzależniasz.

Uzależnienie od gier komputerowych, informacji, społecznych sieci, internetowych zakupów, pornografii, zostało w ogólnoświatowej medycynie uznane za chorobę, objawiającą się rozstrojem psychicznym, nawet depresjami oraz syndromem deficytu uwagi i zerwaniem społecznych kontaktów. Średnio co dziesiąty młody człowiek w wieku od 14 do 25 lat jest uważany za uzależnionego, a jeszcze więcej osób znajduje się na granicy uzależnienia.

Znajoma autora artykułu, która odbywała praktykę na dziecięco-młodzieżowym oddziale psychiatrii, podzieliła się wrażeniami: – To było straszne. Nastolatkom na oddziale nie pozwolono korzystać ze smartfonów. Zachowywali się nieobliczalnie, wiercili się na krzesłach, gryźli paznokcie, krzyczeli i mogli nawet rzucić się na ciebie. I kiedy na pół godziny oddawano im telefony, stawali się normalnymi ludźmi, uśmiechali się, żartowali i rozmawiali z tobą przyjaźnie.

Niemal wszyscy rodzice żyjący blisko Cerkwi negatywnie odnoszą się do gier komputerowych. To w pełni zrozumiałe. Może to bowiem nieść za sobą uzależnienie od gier, zaniedbanie nauki, społeczną izolację, ucieczkę od rzeczywistości, nawet rozwój syndromu deficytu uwagi i hiperaktywność (ADHD).

Problem polega na tym, że nasze dziecko żyje w innym świecie niż dorośli, którzy wyrobili już sobie krąg zainteresowań i kontaktów. Dziecko dopiero je wyrabia. A znacząca część życia jego rówieśników przeniosła się do przestrzeni wirtualnej. Jeśli zabronimy dziecku korzystania z niej, skażemy je na izolację. Dlatego batiuszka podpowiada – wpuszczajmy, ale w sposób ograniczony i kontrolowany, swoje dzieci do cyfrowej przestrzeni. Kontrola jest niezbędna. Autorowi znane są przypadki z Niemiec, kiedy chłopcy-*prisłużniki* po skończonej Liturgii wymieniali się w *ponomarce* filmikami pornograficznymi i kiedy jedenastoletnie dzieci z cerkiewnych rodzin, od dzieciństwa co niedzielę chodzące do cerkwi, zaczynały przyjmować narkotyki, nie wspominając o cielesnej czystości nastolatków.

Autor przestrzega przed takimi serwisami jak YouTube, niosące w sobie niebezpieczne treści. Czasem wystarczą dwa kliknięcia, by po niewinnym filmiku dla dzieci o Annie i Elzie, pokazała się instrukcja makijażu i piosenkarka robiąca striptiz. Przed dziecięcymi oczami!

Wystarczy otworzyć niewinny filmik, by potem nacisnąć na „bardziej interesujące" i otrzymać cały brud tego świata, czyli to, czego absolutnie nie chcielibyśmy pokazać naszym



dzieciom, na przykład „Jak opowiedziałam mamie, że jestem lesbijką” albo „Przygotowania do Halloween”. Wystarczy kilka minut użytkowania TikTok-u, by program zaproponował nam tego typu filmiki. By je otworzyć wystarczy jedynie prowadzić palcem po monitorze z dołu do góry i oglądać nagrania jeden po drugim. Mama piętnastolatki poskarżyła się batiuszce, że ta przestała chodzić do cerkwi, kiedy pojawiła się nowa „pasja” – oglądania filmików na TikTok-u. – TikTok dyktuje córce modę, światopogląd i nawet jakie książki ma czytać – zauważyła mama.

Pozwalając dziecku na taki program – komentuje autor artykułu – wpuszczamy w jego życie absolutnie obcych ludzi, którzy je wychowują zamiast nas samych. Ten program uważam za toksyczny, negatywny i podszyty seksem. Są nastolatkowie tak od niego uzależnieni, że potrafią w szkole otwierać filmik za filmikiem i nawet nie zauważyć, jak minęło pięć godzin. Są jak zaczarowani. Tymczasem TikTok jest modnym programem i dzieci chcą go mieć.

Zdaniem batiuszki jest on wredny nie tylko dla 12-latka, ale i dorosłego. „Kiedy oglądasz jego treści przez pięć minut, będziesz miał z czego się wyspowiadać” – komentuje.

Autor wskazuje na programy, które nie niosą takiego spustoszenia jak YouTube czy TikTok i uważa, że na ich kontrolowane użytkowanie można pozwolić (Snapchat, WhatsApp, Instagram).

Ale też mówi o dużej ilości programów, które pozwalają kontrolować dzieci i młodzież, nie dopuszczając do nich szkodliwych moralnie treści (Google Family Link, iOS Parental Controls, Microsoft Family Safety). Chętnie korzystają z nich niemieccy rodzice. Programy pozwalają na ograniczenia czasowe i treściowe.

I trzeba mieć na uwadze, że dziecko w określonym wieku można kontrolować, ale kiedy wyrośnie, otrzyma nieograniczony dostęp do całej treści światowej sieci. Dlatego nie wystarcza kontrola i ograniczenia. Należy wychować dziecko tak, by wypracowało własny immunitet obrony przed treściami niepożądanymi.

Przeczytamy też w artykule o przyczynach uchodzenia w wirtualność. Niegdyś człowiek w odosobnieniu mógł „umierać” z nudy i tęsknoty. Teraz nie musi wychodzić z domu, by znaleźć sobie zajęcie czy rozrywkę, korzystając elektronicznych gadżetów – oglądać filmy, kontaktować się z przyjaciółmi, słuchać muzyki, robić zakupy. Przy czym dla większości dzieci, idących drogą najmniejszego oporu, łatwiej spędzać czas przy gadżecie, niż wychodzić poza dom w surowy i nieznajomy świat.

Trzeba więc wychowywać dzieci.

Dziś są rodzice, którzy spędzają z dziećmi czas, rozmawiając z nimi, wspólnie rozwijając zainteresowania, dają dobry przykład, są dla nich jednocześnie przyjaciółmi. Ale są i tacy, którzy tego nie czynią – bo nie mają czasu, sił, woli, może pedagogicznych nawyków czy intuicji, bo ich tego nikt nie nauczył. Albo nie mają swoich zainteresowań i niczym z dziećmi nie mogą się podzielić. A może sami przebywają bardziej w cyfrowej niż w rzeczywistej przestrzeni.

Należy zajmować się własnym samorozwojem – podpowiada autor. Pisze o mamie architektce, która każdej soboty jedzie z synem pociągiem do dowolnej miejscowości i tam analizują razem różnorodne style architektoniczne. Ojciec wielodzietnej rodziny przygotowuje na wakacje dokładny plan podróży ze zwiedzaniem, siada za kierownicę i wiezie całą rodzinę tysiące kilometrów. Wszystkim się to podoba. Są razem. Inny ojciec jest przekonany o pożytku uprawy ziemi. Założył ogród, który uprawia z żoną i dziećmi. Przy tym uważa, że celem jest nie sam efekt a proces – kopać się w ziemi ręka w rękę z dziećmi. Bo przywiązanie jedynie do osiągnięcia celu to błąd wielu.

Duchowny zwraca jeszcze uwagę na częste zjawisko, ostatecznie szkodliwe, kiedy rodzice dają dzieciom wszystko – naukę w najlepszych szkołach, korepetycje, koła zainteresowań, najlepsze ubrania. Wożą je z zajęcia na zajęcie, oczekując na nie w samochodach na parkingach. Potem cieszą się z wyników nauczania, albo na przykład z błyśnięcia w towarzystwie grą na jakimś instrumencie.

To dobre i szczere oczekiwania – komentuje duchowny, ale niestety dzieci wychowane w takich warunkach wyrastają na niewdzięcznych egoistów. Mama 21-latki żaliła się: „Zrobiliśmy dla niej wszystko możliwe i niemożliwe. Otrzymała wykształcenie, chodziła w najlepszych ubraniach, nie cierpiała żadnego niedostatku A teraz oddaliła się od nas. I kiedy jej przypomniałam, ile dla niej uczyniliśmy, powiedziała, że być może wszyscy rodzice tak robią”. Takie historie słyszę regularnie.

Dziecku w pierwszej kolejności nie powinniśmy wszystkiego dawać, a wychować go na dobrego, wierzącego i wdzięcznego człowieka. Najważniejsze, nawet ważniejsze od wykształcenia, to nauczyć miłości do pracy na rzecz innych, ofiarności.

Anna Radziukiewicz
fot. **www.roj-deutschland.de**

IWAN CZAROTA

Gdzie szedłem na spotkanie z Bogiem

Zawiązana z inicjatywy naszej redakcji, pod opieką prof. Aleksandra Naumowa, grupa prawosławnej inteligencji, stawiająca sobie za cel, poprzez wykłady, samodoskonalenie się, rozpoczęła działania od serii spotkań z naukowcami, duchownymi, ludźmi twórczymi, opowiadającymi o swojej własnej drodze życiowej. Ponieważ takie spotkania, ze względu na pandemię, są w tej chwili niemożliwe, poprosiliśmy naszych potencjalnych gości, by wprost na papier przelali to, co chcieliby powiedzieć słuchaczom. Poniżej wypowiedź Iwana Czaroty, slawisty, specjalizującego się w literaturze serbskiej, profesora państwowego uniwersytetu w Mińsku, kierownika sekcji przekładów Związku Literatów Białoruskich, pracownika komisji biblijnej do spraw przekładu Pisma Świętego na język białoruski, działającej przy egzarchacie Cerkwi na Białorusi, aktywnego członka Bractwa Trzech Wileńskich Męczenników.

„Duchowa ojczyzna – to te miejsca, gdzie spotykaliśmy się z Bogiem" – powiedział kiedyś metropolita **Filaret** (**Wachromiejew**), który niedawno odszedł do Pana. Idąc śladem tej wypowiedzi, moja mała ojczyzna przyciąga mnie coraz bardziej.

Każdy z nas ma swoje wyobrażenie o świątyni i drodze do niej. Tak i ja, jakbym się nie starał, nie potrafię rozmawiać na temat wiary, nie wspominając o wiejskiej cerkwi, w której odbywały się chrzty, śluby i pogrzeby kilku pokoleń mego rodu z obydwu linii.

Pochodzę ze wsi Łyszczyki w rejonie kobryńskim, w *obłasti* brzeskiej. Cerkiew stała we wsi Wieżki, pięć kilometrów od domu. Zanim o niej opowiem, wspomnienie.

Pamiętam, jak ze czterdzieści lat temu przy wejściu do cerkwi serbskiego monasteru Manasija przeczytałem: „Boże, błogosław tego, kto wchodzi do tego domu, zbaw i zachowaj tego, kto z niego wychodzi, daj pokój temu, kto w nim zostaje". Jak później się wyjaśniło, słowa te należą do mądrego w Bogu **Mikołaja** (**Velimirovicia**), serbskiego świętego XX wieku – biskupa, teologa i niezwykle utalentowanego pisarza. Cytowaną maksymę miałem okazję czytać jeszcze niejeden raz, odwiedzając ten monaster. Drogę do starożytnej serbskiej świątyni odnalazłem nie sam, lecz zostałem przywieziony przez kolegów Serbów. Serbowie, zapoznając ze swoim krajem zagranicznych pisarzy i uczonych slawistów – akurat w składzie takich grup najczęściej zdarzało mi się tam bywać – zawsze pokazywali monastery i cerkwie. Mimo oficjalnego ateizmu byli przekonani, a przez to co pokazywali przekonywali i nas, że nie ma i nie może być bardziej niezawodnych świadectw świadomości narodu, znaczenia jego historii, istoty duchowych tradycji. Przy czym w ciągu jednego dnia, chociaż takie podróże z zasady nie były jednodniowe, odwiedzaliśmy kilka monastycznych wspólnot, przez co mogliśmy sobie uświadomić, jak bardzo ważne, kształtujące los Serbów, jest prawosławie. Takie grupy składały się oczywiście z przedstawicieli różnych narodów i wyznań, tak więc reakcje na to co zobaczyliśmy nie były jednakowe. Zdecydowaną większość wycieczkowiczów stanowili zwykle Amerykanie i Europejczycy z Zachodu. Zachodząc razem z nimi do cerkwi żegnałem się jedynie ukradkiem. I oto pewnego razu w naszej grupie znalazł się młody człowiek z Rosji, syn znanego filologa, który nie tylko przeżegnał się przy wejściu, ale wchodząc do środka pobożnie pokłonił się i przyłożył do ikony. Zawstydziło mnie to, ale i pouczyło. Odtąd już obawa, że mogę wprawić w zakłopotanie towarzyszącego mi cudzoziemca innowiercę, nigdy nie powstrzymywała mego zachowania.

Początkowo chciałem powiedzieć o czymś innym – o tym, że podczas wspomnianych podróży uczucie dumy z bratniego narodu łączyło się także z goryczą, nie można było bowiem w żaden sposób porównywać tego z tym, co działo się w ZSRR. Zagranicznym gościom, zgodnie z zakorzenioną tradycją, pokazywano wtedy u nas jakąś gigantyczną fabrykę, potężną elektrownię, priorytetową budowę albo wzorcowe gospodarstwo hodowlane. Wszystko po to, żeby pochwalić się „świetlanymi" perspektywami zaspokojenia materialnych potrzeb. Troska o „duchowość" była ilustrowana niczym innym jak budową nowych klubów, sal widowiskowych czy stadionów, które powinny ilustrować hasło „W zdrowym ciele, zdrowy duch", co jak wiadomo, wypacza sens wcale niegłupiego powiedzenia. W taki sposób prezentowaliśmy się światu w czasie, kiedy nasze cerkwie i monastery były albo zniszczone do fundamentów, albo zamienione w magazyny czy inne „pożyteczne" obiekty. Zresztą wypaczony obraz opisywanych wycieczek w Serbii widziałem nieco wcześniej, na początku 1970 roku, podczas zwiedzania



Kijowsko-Pieczerskiej Ławry. Jako student, dorabiający jako przewodnik wycieczek z Jugosławii, przywiozłem tam grupę turystów. Przed wejściem do Pieczar i po wyjściu z nich odwiedzającym zaśmiecano dusze nadawanymi przez głośniki wulgarnymi ateistycznymi wykładami.

Wówczas ja, małowierny, nie mogłem przewidzieć – a nawet jeśli ktoś przepowiedziałby mi, nie uwierzyłbym – że nadejdzie czas, kiedy na mojej rodzimej ziemi zniszczone świątynie będą odbudowywane, a nawet budowane nowe. A właśnie tak się zdarzyło. I dla naszego pokolenia było to prawdziwym cudem, a jednocześnie przekonywującym potwierdzeniem słów Ewangelii: *U ludzi to niemożliwe, lecz u Boga wszystko jest możliwe* (Mt 19,26). Tak więc i mnie uczynił Pan godnym, bym na własne oczy zobaczył, jak moi rodacy ponownie uświadamiają sobie świętość, ponownie odczuwają potrzebę czucia nieoderwania od wiary i nieoddzielenia od Cerkwi. Obserwuję to już trzydzieści lat w soborze św. św. Piotra i Pawła w Mińsku, którego jestem parafianinem, a także poza stolicą, w różnych zakątkach Białorusi. Szczególnie ciepło mi na sercu, gdy widzę co dzieje się na mojej rodzimej ziemi brzeskiej. Do tej pory nie zatarły się w mojej pamięci dni 16-19 września 1996 roku, kiedy z ogromną radością mogłem uczestniczyć w uroczystościach liturgicznego wspomnienia św. męczennika **Atanazego**, ihumena brzeskiego, opiekuna mojej małej ojczyzny. Wydarzenie to miało dla mnie, urodzonego nieopodal Brześcia, a na dodatek obchodzącego w tym dniu urodziny, szczególne znaczenie. Wtedy udało mi się uczestniczyć w nabożeństwach we wszystkich świątyniach Brześcia i w czasowni św. Atanazego, a także odwiedzić kilka podmiejskich i wiejskich parafii – Gierszony, Dubrowkę, Płoskę, Czernie, Ostromeczewo. A w ostatnich latach jako uczestnik ekspedycji „Droga do świętości' przy Niegasnącej Łampadzie z *Błagodatnym Ogniem* z Grobu Pańskiego, miałem szczęście być w wielu cerkwiach miast i wsi obłasti – w Białooziersku, Berezie, Żabince, Iwacewiczach, Kosowie, Hoszczewie, Telechanach, Pińsku, Janowie, Łyszczach, Dostojewie… Niełatwo jest teraz uporządkować wrażenia doznane podczas takich ekspedycji, ani przekazać słowami to co przeżyłem. Próbując przedstawić najważniejsze, zatrzymam się ot na czym – cały czas nie opuszczało mnie szczególne wzruszenie, uczucie radości przez łzy, dane mi było odczuć stan ducha marnotrawnego syna, który wrócił do Ojca, wokół którego tak wielu drogich ludzi, w pełnym znaczeniu tego słowa „bliźnich".

Są wśród nich ludzie nie tylko starsi czy rówieśnicy, ale i w wieku moich dzieci, a być może także wnuków. I, co istotne, zauważam, że dla nich wszystkich stopniowo stają się ważne pojęcia duchowość, świętość, Boża łaska. Nadzwyczaj radowało to, że wszędzie, z parafiami najbardziej zapadłej głubinki włącznie, Niegasnącą Łampadę witało wielu ludzi. Najbardziej wzruszający był oczywiście widok obowiązkowo obecnych babulek. To przecież one, najogólniej mówiąc, zachowały nam wiarę, ponieważ nie pozwoliły sobie na zapomnienie drogi do świątyni, a co jeszcze ważniejsze, na przekór wszystkim zakazom nosiły chrzcić i *priczaszczat'* swych następców. I nie sposób było powstrzymać łez na widok spracowanych rąk, podnoszących wnuków, żeby ci mogli zapalić od Łampady świeczuszki i przynieść *Błagodatny Ogień* do domów.

Jak wyraziście zapalały się wtedy iskierki niewymownej radości z powodu zaspokojenia duchowego pragnienia w oczach zarówno starych, jak i małych! Kto teraz może mnie przekonać, że naród mój utracił wiarę?! No, ażeby jeszcze raz wytłumaczyć się ze wstępnej dygresji, dodam – teraz nie mam już powodu odczuwać zakłopotania przed braćmi Serbami, mam już bowiem co opowiadać o tym, jak moi rodacy odnoszą się do wiary, jak czczą świętości.

Ludność ziemi brzeskiej zawsze wydawała się silna w wierze – zarówno wtedy, gdy trzeba było stawić czoła uniatyzmowi jako politycznemu zjawisku, jak i w XX wieku, w latach ateistycznego reżimu. Wystarczy wspomnieć imiona świętych, których podwig w różnym czasie oświecał brzeską ziemię. Wśród nich przede wszystkim wspominani są męczennicy Afanasij Brzeski, św. **Leontij** (**Karpowicz**), św. **Serafin** (**Szachmut'**). Z drugiej strony liczby mówią same za siebie – do 1990 roku na ziemi brzeskiej zachowały się 102 parafie z 97 duchownymi (praktycznie połowa tego co pozostało w Białoruskiej Republice), a w 2020 roku tylko brzeska diecezja (jest jeszcze pińska) liczyła 202 parafie, 239 duchownych, cztery monastery…

Niejednoznacznie odnosząc się do usprawiedliwiających jakoby poglądów w kwestii obowiązującego totalnego zakazu wiary, sam jestem zdania, że zakazać wiary, z definicji, nikt nie jest w stanie. Oczywiście, że władze ateistyczne bardzo starały się to zrobić. Ale mimo wszystko nie udało im się „pokazać w telewizji ostatniego popa". Na przekór wojującemu ateizmowi pozostawało u nas niemało oddanych duchownych, jak i szczerych wierzących. O ile pamiętam siebie, swoją rodzinę i miejscową ludność, ludzie trzymali się wiary. Nie przestawali obchodzić cerkiewnych świąt, w przeciwieństwie zresztą do świąt radzieckich. W naszej

wsi nie było osób nieochrzczonych, wszystkie starsze małżeństwa miały ślub cerkiewny i bez cerkiewnego pogrzebu nie pochowano ani jednego człowieka. W całym naszym okręgu, z nielicznymi wyjątkami, cerkwie pozostawały otwarte i nabożeństwa odbywały się we wszystkie niedziele i dni świąteczne. Co prawda nauczyciele nie pozwalali, żeby chodzili tam uczniowie, stałymi parafianami były głównie kobiety, mężczyzn było niewielu.

Pośród nich był, dzięki Bogu, mój dziadek Paweł, od którego najprawdopodobniej przejąłem – już oczywiście słabszą niż u niego – wiarę. Dla lepszego zrozumienia powinienem wyjaśnić – gdy pojawiłem się na świecie, zastałem tylko dziadka po linii matki i babcię po linii ojca. Babcia, rodem z Wieżek, gdzie znajduje się nasza świątynia, drogi do niej też nie zapominała i regularnie modliła się w domu. Podobnie zresztą moja matka. Jednak wpływ dziadka na mnie, najstarszego wnuka, był bezspornie większy. Od krewnych (a dziadek miał ośmioro rodzeństwa), a także sąsiadów zdarzało się słyszeć, że już od najwcześniejszych lat był bardzo religijny. Nie przypadkiem wzywano go do czytania Psałterza przy zmarłych, zresztą nie tylko w jego wsi, ale i w sąsiednich. Trwało to w pewnym stopniu także później. Jeszcze w czasach radzieckich proszono go o przeczytanie modlitw na pominkach mieszkańców wsi. Z wyróżnieniem ukończył szkołę parafialną (otrzymywane w nagrodę książki przechowywał całe życie), dość dobrze znał Pismo Święte, a także kalendarz cerkiewny. Pamiętam, jak do dziadka przychodzili często mieszkańcy wioski, żeby dowiedzieć się, na jaki miesiąc i dzień „wypada” w danym roku Pascha, kiedy będzie to czy inne „ruchome” święto. I on bez kalendarza wszystkie daty wyznaczał, korzystając z tzw. „ręcznych paschalii”, których istotę wyjaśniał i mnie, studentowi, ale nie potrafiłem tego przyswoić. Kiedy wyrosłem, zacząłem zapisywać od dziadka modlitwy. A w dzieciństwie modliłem się swoimi słowami. Kiedy to dzisiaj wspominam, uśmiecham się i odczuwam zakłopotanie wtedy bowiem prosiłem Boga, żeby pozwolił mnie i wszystkim moim bliskim przeżyć 72 lata… Z jakiegoś powodu właśnie ta liczba lat wydawała mi się, małemu chłopcu, możliwie najdłuższym albo najbardziej odpowiednim wiekiem dla ziemskiego życia. I nie przyszło mi nawet do głowy, że w tym czasie mój dziadek miał mniej więcej tyle lat, ile mu życzyłem.

Dzięki Bogu, **Paweł Buseń** odszedł do lepszego świata w wieku 89 lat. I babcia, **Charitina Czarota**, także przekroczyła ten, w moim dziecięcym pojęciu, najstarszy optymalny wiek.

Potem przyszło mi uczyć się w czterech szkołach i piątej, muzycznej, już w rejonowym mieście Kobryniu. Wtedy zacząłem samodzielnie czytać „Biblię dla niewierzących” (inna była niedostępna) i w jakiś sposób, po swojemu, a byłem wtedy podrostkiem, rozmyślać o Bogu, mówić kolegom i nawet nauczycielom, że prawdziwe wykształcenie można otrzymać tylko w seminarium duchownym. Co więcej, starałem się przyjaciołom wytłumaczyć, co w filozoficznym znaczeniu (w moim pojęciu, rzecz jasna) oznaczają hipostazy Świętej Trójcy. Chociaż jak wszyscy wokół byłem pionierem, komsomolcem, do partii Pan na szczęście mnie nie skierował. I chwała Mu za to, jak i za to, że nie pozwolił błądzić w herezjach mego własnego filozofowania. Ku normom stale nawracało mnie życie rodziny, rodu. Także Cerkwi, nie bacząc na to, że mimo wszystko oddaliłem się od niej. Była to zasługa bliskich, a dziadka w pierwszej kolejności.

Ze wspomnień dziadka o naszej cerkwi zachowałem w pamięci tylko strzępy. Zapamiętałem głównie to, że obecna cerkiew nie jest taka jak poprzednia. Że tamta była bardzo ładna, duża, o trzech kopułach, że jej kopuły widać było w pogodne dni z naszej, położonej ze trzy wiorsty dalej, wsi, że na święto parafialne (u nas mówiono na zakład) zbierała się tam cała okolica. Do nieszczęścia doszło w 1943 roku. Cerkiew spłonęła.

Pobożni parafianie, mimo zniszczeń, biedy i głodu, ofiarowywali co mogli na jej odbudowę. Za zebrane ofiary kupili jakiś administracyjno-gospodarczy budynek od leśnictwa i w latach 1946-1947, w miarę swoich skromnych możliwości, zbudowali świątynię. Wtedy ludzie ci nie o zewnętrzne piękno się troszczyli.

Po wojnie, kiedy władza radziecka się umocniła, problem być albo nie być parafii i cerkwi stawał na ostrzu noża. Mimo wszystkich przeciwności i trudności, parafia przetrwała. Co prawda często zaczęli zmieniać się duchowni. Dopóki nie pojawił się o. **Anatolij Sokołowski**, który poświęcił wieżeckiej parafii około trzydziestu lat życia, pozostał tutaj do śmierci i po śmierci także.

Z czasem liczba mieszkańców wsi zmniejszyła się trzy-czterokrotnie, wydawało się wtedy, że życie cerkiewne już gaśnie. Ale, jak wiadomo, na wszystko wola Boża. Nowe życie w parafię tchnął przysłany do niej młody duchowny, **Michaił Koncewicz**. Z błogosławieństwa biskupa, władyki **Konstantina** (**Chomicza**), zaczął budować nową cerkiew, nie burząc starej, a wokół niej. Zresztą w starej cerkwi, w trakcie budowy nowej, *otpiewano* mego ojca, który w miarę swoich sił także brał udział w pracach budowlanych. Prawie wszyscy miejscowi, chociaż żyło się wówczas nielekko, wspierali świętą sprawę jak mogli – jeśli nie pieniędzmi, to pracą. Jakie trudności przyszło pokonać duchownemu – budowniczemu, to już oddzielny temat. Ale plany, z Bożą pomocą, zostały zrealizowane. Gwoli prawdy należy zauważyć, że kierownicy miejscowych kołchozów, a także wielu państwowych przedsiębiorstw dwóch rejonów – żabinkowskiego i kobryńskiego – także nie stali z boku. Uczynki i ofiary na chwałę Boga nie zostaną zapomniane. Dzięki nim nowo wybudowana świątynia wzniosła się nad okolicą. Zaczęła przyciągać spojrzenia z daleka, przypominając o tym wszystkim, co jest związane z wiarą, służeniem Bogu i ludowi Bożemu.

Moja osobista historia drogi do świątyni w związku z tym wzbogaciła

Iwan Czarota przy grobie patriarchy serbskiego Pawła



się o jeszcze jedną kartę drogich duszy wspomnień. W dzień liturgicznego wspomnienia wielkiego męczennika Dymitra Sołuńskiego, 8 listopada 1997 roku, metropolita Filaret poświęcił prestoł nowej wieżeckiej *Wozniesienskiej* cerkwi. Tylu ludzi chyba nigdy się tu nie zebrało – ze wszystkich okolicznych wsi i z szeregu najbliższych miast. Przy czym dla większości obecnych było to nie tylko cerkiewne święto, ale i bardzo ważny powód, by zastanowić się nad przeszłością i przyszłością w ogóle, a nad swoją małą ojczyzną w szczególności.

Nastrój przypominał ten z paschalnego wersetu: „Oto dzień, który uczynił Pan, radujmy się w nim i weselmy".

To nie przypadek, że poświęcenie prestołu naszej świątyni odbyło się, jak to się u nas mówi, *na Dmytra*. W tym dniu Cerkiew wspomina wszystkich prawosławnych chrześcijan, którzy spoczęli w Bogu, czyli w wierze i nadziei na życie wieczne.

A więc radość obecnych na uroczystościach dzielili także nasi zmarli przodkowie. A my spełniamy, jak możemy i potrafimy, swój dług wobec nich – zachować wiarę, odbudować świątynie, nie dopuszczać, żeby zapomniane zostały ich tradycje i testament. Życie mego pokolenia okazało się nieporównywalnie łatwiejsze od tego, które im przypadło. Chociaż nam także były posyłane pewne trudności, dla *wrazumlenija*, a także pokusy dla próby. Jednak przy poświęceniu nowej świątyni bardzo chciałoby się wierzyć, że wspólna nam wszystkim radość nie jest przypadkowa. Niepokoi co prawda problem, czy młodsze pokolenie jest w stanie docenić to, co zostaje mu, z Bożej łaski, przekazane.

To opisywane wydarzenie odbyło się niemal ćwierć wieku temu. W wieżkowskiej parafii jest teraz nowy młody duchowny – o. **Władimir Kondraszczuk**. A cerkiew stoi, jak należy, czekając na wiernych. Dlatego zawsze, przynajmniej kilka razy do roku, chciałoby się ją odwiedzić. Nieopodal na cmentarzu czekają także rodzice i przodkowie z obydwu linii.

Bez Boga nie do poroha.

Kiedy zacząłem pracować na uniwersytecie – nie ukrywając, że regularnie chodzę do cerkwi i jako specjalista chętnie współpracuję z cerkiewnymi strukturami – spotykałem się z różnymi reakcjami. Ich wachlarz był bardzo szeroki – pełna obojętność wobec moich starań, żeby *wocerkowlatsa*, zwyczajna początkowa ciekawość co do kwestii wiary, pewna czujność czy raczej zaniepokojenie, demonstracyjny (jakoby z pozycji „nauki") sceptycyzm, ale także jawny szacunek. Zresztą wielu kolegów potem zaczęło zbliżać się do Cerkwi, a niektórzy do Kościoła. Inaczej zachowywała się administracja, która z uporem nie chciała zmieniać swego ateistycznego stanowiska. A więc wywoływałem jej irytację dość długo. Już w 1990 roku, kiedy w sprawozdaniu z dokonanych publikacji wpisałem wydane tłumaczenie Ewangelii na współczesny język białoruski, dziekan poinformowała mnie, że ono, podobnie jak i artykuły o tłumaczeniach, nie są brane pod uwagę. Bo przecież państwo u nas jest oddzielone od Cerkwi. I wtedy musiałem ironicznie zaproponować, żeby w takim wypadku wyłączyć z należącej do państwa spuścizny Biblię Skoryny. Ja, oczywiście, nie porównuję siebie z **Gieorgijem- Franciszkiem Skoryną**, ale mimo wszystko doznałem zaszczytu tłumaczenia – podobnie jak i on, wynoszony za to, a nie tylko za zrealizowane wydawnictwo.

A to wspomniane dzieło było dla mnie bardzo ważne, nie przypadkiem poświęciłem mu ponad ćwierć wieku. Mam na uwadze Białoruską Komisję Biblijną, której przewodniczący, metropolita Filaret, błogosławił mnie, bym był jej sekretarzem. Jestem wdzięczny drogiemu władyce za to, że miałem możliwość przez 25 lat czytania i tłumaczenia Pisma Świętego z obowiązkowym zastanawianiem się nie tylko nad ogólnym sensem, ale i nad konkretnym znaczeniem każdego słowa, każdego znaku przestankowego. A przy tym także – zbadania wszystkich wcześniej dokonanych przekładów Ewangelii zarówno na język białoruski, jak i inne języki słowiańskie. Także nie przypadkiem w trakcie pracy translacyjnej przygotowałem książkę „Język białoruski i Cerkiew".

tłum. **Ałła Matreńczyk**
fot. **Anna Radziukiewicz**
archiwum Iwana Czaroty

Kapłan Sokólszczyzny

W czasie wielkopostnych modlitw za zmarłych, za *roditielej*, wspominajmy też duchownych. Jednym z kapłanów, którzy odeszli w ostatnich miesiącach, był o. mitrat Anatol Konach senior, który zmarł w nocy z 20 na 21 grudnia ubiegłego roku.



Batiuszka urodził się przed wojną, w 1934 roku, w Czyżach i miał w sobie przedwojenny sznyt. Wraz z matuszką **Ludmiłą**, towarzyszką życia i służby kapłańskiej, zdecydowaną większość życia, bo prawie pięćdziesiąt lat, spędzili na parafiach Sokólszczyzny, blisko radości i trosk swoich parafian.

Po ukończeniu seminarium duchownego w Warszawie, w sierpniu 1954 roku, otrzymał z rąk metropolity warszawskiego i całej Polski **Makarego** święcenia diakońskie, a w grudniu tego samego roku kapłańskie. Wraz ze święceniami przyszła nominacja na pierwszą parafię. Przez cztery lata był wikariuszem w Narwi, a następne przez trzy lata proboszczem parafii świętych Piotra i Pawła w Maleszach.

Rok 1961 przywiódł rodzinę Konachów na Sokolszczyznę. Najpierw, na osiem lat do Jurowlan, potem na dwa do Samogrodu. Od 1971 roku mastępnych czternaście lat spędzili w Jacznie. Potem, na dwadzieścia trzy lata, osiedli w Kuźnicy.

Konachowie poznali jeszcze ludną Sokólszczyznę. Kiedy byli na parafii w Jacznie, ówczesny ordynariusz diecezji, obecny metropolita **Sawa**, podjął decyzję o powołaniu zupełnie nowej wspólnoty – do innych kilkuwiekowych parafii Sokólszczyzny dołączyła nowa wspólnota w Dąbrowie Białostockiej.

Były to też czasy większych możliwości awansu społecznego, co nieraz wiązało się z wyjazdem, osłabieniem więzi z rodziną, religią.

Dwie parafie – w Kuźnicy i w Jurowalanach – były przyklejone do nowej granicy państwowej, wciąż jeszcze żyli ludzie, dla których centrum administracyjnym, komunikacyjnym, nie tyle był Białystok, co Grodno.

Batiuszka i matuszka życie dla Cerkwi zaszczepili też w swoich synach – **Anatol** jest kapłanem, proboszczem białostockiej parafii Hagia Sophia, **Wsiewołod** to naukowiec, teolog, pod którego okiem nauki pobierało wielu studentów Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Zmarły przed kilkoma laty **Mikołaj** był obdarzony pięknym głosem, śpiewał w chórach i podczas nabożeństw, i podczas koncertów.

Kapłana nagradzały władze cerkiewne i świeckie. Miał między innymi prawo noszenia mitry, otrzymał srebrną odznakę „Zasłużony dla Białostocczyzny".

W 2008 roku ojciec **Anatol** przeszedł w stan spoczynku. Został rezydentem parafii Hagia Sophia w Białymstoku. Zamieszkali wraz z matuszką na tutejszej plebanii. Do cerkwi było tuż, tuż. Dopóki starczało sił, regularnie w niej bywali. Potem z chorobami i wiekiem przyszło się mierzyć jeszcze mocniej.

Kapłana pochowano na cmentarzu Wszystkich Świętych w Białymstoku. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył arcybiskup białostocki i gdański **Jakub**, który dziękując batiuszce za jego posługę prosił o modlitwę za jego duszę.

I właśnie to możemy i musimy zrobić. W podziękowaniu za modlitwy, nauczanie, humor, za pokazywanie tej cząstki świata, której młodsze pokolenia nie poznały.

*(...) pośród ludzi upiększyłeś go duchową godnością i do anielskiej chwały przyjmij go bez osądzenia. Sam na ziemi życie jego wysławiłeś, sam też i po odejściu z tego życia umieść go w wejściu świętych Twoich sprawiedliwych, policz jego ducha ze wszystkimi tymi, którzy od wieku spodobali się Tobie (*fragment modlitwy z obrzędu pogrzebu kapłana).

Natalia Klimuk
fot. **Wiaczesław Perek**

Z arcybiskupem Jakubem stoją Anna Radziukiewicz (z lewej) i matuszka Joanna Nieścierowicz

W styczniu przyznaliśmy doroczne Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego. Na ręce przewodniczącego kapituły, redaktora naczelnego Przeglądu Prawosławnego, Eugeniusza Czykwina wpłynęły podziękowania.

Szanowny Panie Czykwin,

najserdeczniej dziękuję za Waszą decyzję przyznania tegorocznej Nagrody Księcia Konstantego Ostrogskiego Serbskiej Prawosławnej Cerkwi w Czarnogórze. Jest dla mnie wielkim honorem móc w imieniu diecezji Serbskiej Cerkwi Prawosławnej w Czarnogórze i wiernego narodu przyjąć tę prestiżową nagrodę, przyznawaną za wkład w rozwój prawosławnej myśli, kultury oraz duchowości i która to już czwartą dekadę naświetla owoce łaski Bożej w dawaniu świadectwa prawosławnej wiary w świecie. Nagrodę odbieramy jako wyraz uznania światowego prawosławia dla świadectwa wiary ojców naszych, które staramy się dawać w tych trudnych i niepewnych czasach.

W naszym odczuciu przyznanie nagrody stanowi kontynuację pomocy i wsparcia, które Pan osobiście, jak również nasza siostrzana Cerkiew w Polsce, bezinteresownie, ofiarnie i trwale dajecie serbskiej Cerkwi i naszemu narodowi przez ostatnie trzy dekady. Wasze obiektywne informowanie i humanitarna pomoc w czasach cierpienia naszej Cerkwi i narodu w wojnach domowych lat dziewięćdziesiątych na terenach byłej Jugosławii, w atmosferze powszechnej demonizacji Serbów, wasza bezinteresowna pomoc i wsparcie w czasach wielkiej próby naszej umęczonej Cerkwi i cierpiącego narodu w Kosowie i Metochii, jak również Pana głos w polskim Sejmie w obronie naszych świątyń w zeszłym roku będą zapamiętane na zawsze jako świetlany przykład braterskiej pomocy i miłości.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski z Bożej woli nosi to samo imię jak najbardziej czczony święty w Czarnogórze i nie jest to jedyne podobieństwo. W smutnych czasach unii brzeskiej książę Konstanty Ostrogski, tak jak święty Bazyli z Ostroga w Czarnogórze, stał się tamą dla agresywnej religijnej i etnicznej próby asymilacji prawosławnego narodu. To dzięki ludziom takim jak książę i jego naśladowcy, prawosławna Cerkiew w Polsce przetrwała trudne czasy. Pole bitwy księcia było inne niż te, na których stawali jego ojcowie z rodu Ostrogskich, sławnej gałęzi rodu Rurykowiczów. Walka z unią, założenie Ostrogskiej Akademii czy druk Biblii Ostrogskiej to były bitwy księcia, które i dzisiaj stanowią dla nas wzór. Nagroda, która nosi jego imię, przyznana prawosławnemu narodowi w Czarnogórze za obronę swojej wiary i swoich świątyń, wyrażoną w dostojnych procesjach, stanowi nie tylko wyróżnienie, ale również wielkie moralne wsparcie dla naszego narodu. Jest też potwierdzeniem wielowiekowych braterskich więzi między naszymi Cerkwiami i bratnimi narodami.

Z Bożym błogosławieństwem
i wdzięcznością **biskup Joanikije**

* * *

Szanowny Panie Przewodniczący,

z radością przyjąłem informację o przyznaniu mi Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego. To dla mnie zaszczyt i honor. Cieszę się, że w ten sposób doceniono mój skromny wkład w budowanie mostów między prawosławiem i katolicyzmem na polu działalności naukowej i popularyzatorskiej.

Łączę wyrazy szacunku
biskup Michał Janocha

Uhonorowane orderem Świętych Braci Cyryla i Metodego

„W dowód głębokiego uznania za pracę na rzecz diecezji białostocko-gdańskiej" orderem św. św. Braci Cyryla i Metodego arcybiskup **Jakub** uhonorował **Annę Radziukiewicz**, prezes Fundacji Księcia Konstantego Ostrogskiego, i matuszkę **Joannę Nieścierowicz**. Uroczystość odbyła się po Liturgii podczas święta Spotkania Pańskiego w katedrze św. Mikołaja w Białymstoku. W ubiegłym roku zostali uhonorowani tym orderem prof. **Aleksander Naumow**, slawista, i **Aleksandra Szawełło-Nowacka**, poetka.

fot. **Jarosław Charkiewicz**





15 lat z ustawą

Książka „Tożsamość – kultura – równość" ukazała się w związku z 15-leciem ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym. Zawiera refleksje osób reprezentujących różne środowiska – mniejszościowe, eksperckie i akademickie, parlamentarne i administrację rządową. Choć wszystkie teksty – napisał we wstępie prof. **Cezary Obracht-Prondzyński** – powstały z okazji jubileuszu ustawy, nie były pisane tylko ku czci i chwale: ich autorzy często prezentują radykalnie odmienne poglądy.

Lektura – w książce znalazły się teksty trzydziestu autorów – skłania do refleksji nad znaczeniem i skutkami ustawy, a także nad realizowaną wobec mniejszości polityką państwa. Przez cztery lata, w kadencji 2001 -2005, jako członek podkomisji, a następnie poseł sprawozdawca, pracowałem nad projektem tej ustawy. Sejmowe debaty ujawniły w znaczącej części polskich elit pokłady nieufności do współobywateli innej niż oni narodowości. Choć ustawa dotyczyła niewielkiej części ogółu obywateli – według spisu ludności z 2011 roku jedynie 1,46 proc. zadeklarowało wyłącznie niepolską przynależność narodową lub etniczną – to prace nad jej uchwaleniem trwały kilkanaście lat. Dziś, po piętnastu latach, warto zacytować fragmenty z wydanej z okazji jubileuszu publikacji.

TROCHĘ HISTORII

W dniu 6 stycznia 2005 roku – pisze prof. **Grzegorz Janusz** – po rozpatrzeniu poprawek Senatu, uchwalona została na 95 posiedzeniu Sejmu, po prawie jedenastu latach prac, Ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym… Była to jedna z najdłużej procedowanych ustaw po 1989 roku. Jednocześnie stanowiła rzadki w owym czasie przypadek inicjatywy ustawodawczej komisji sejmowej. … W dniu 2 sierpnia 1989 roku w tzw. Sejmie kontraktowym powołana została Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych… Była to pierwsza w historii powojennego parlamentu komisja stała, do zadań której należały „sprawy związane z utrzymaniem dziedzictwa kulturowego mniejszości narodowych, etnicznych i językowych oraz ochrony ich praw". Inicjatorem utworzenia KMNE oraz przyjęcia ustawy regulującej prawa mniejszości narodowych był **Jacek Kuroń**... W październiku 1993 roku na ósmym spotkaniu liderów mniejszości przedyskutowana została koncepcja przyszłej ustawy. Wśród propozycji rozwiązań prawnych pojawiły się następujące postulaty: 1. zapobiegania dyskryminacji i gwarancji praw osób należących do mniejszości, 2. finansowania działalności kulturalnej mniejszości, 3. nauczania w językach ojczystych, 4. używania języka ojczystego w stosunkach urzędowych oraz nazewnictwa na terenach tradycyjnego osiedlenia mniejszości, 5. reprezentacji politycznej mniejszości w parlamencie. Powyższe propozycje stały się podstawą opracowania w lutym 1994 roku przez zespół Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka – w składzie **Zbigniew Hołda**, **Grzegorz Janusz**, **Marek Nowicki**, **Andrzej Rzepliński** – wstępnego projektu ustawy…

POZYTYWNIE O USTAWIE

Ustawa – stwierdza w swoim tekście reprezentujący mniejszość niemiecką poseł **Ryszard Gala** – z mojego punktu widzenia stanowi kamień milowy na drodze do właściwego usytuowania tych grup w polskim porządku prawnym… Ustawa zakotwiczyła w polskim porządku prawnym kwestie, o które przedstawiciele środowisk mniejszości narodowych i etnicznych zabiegali od roku 1989. W konsekwencji określona została definicja mniejszości narodowej i etnicznej oraz wskazano, kto konkretnie do nich należy. Uchwalenie ustawy mniejszościowej poprzedzały długie lata ciężkiej pracy. Nie był to łatwy czas... Szczęśliwe zakończenie prac nad nią było możliwe przede wszystkim dzięki determinacji i zaangażowaniu wielu oddanych tej sprawie osób. To dzięki nim powstał dokument, który na trwałe wpisał się do polskiego porządku prawnego. Niebagatelną rolę odegrała przy tym sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych, która od początku służyła pomocą przy opracowywaniu poszczególnych rozwiązań. Nieocenioną rolę odegrał tutaj przede wszystkim jej przewodniczący, śp. Jacek Kuroń, a także **Eugeniusz Czykwin**, **Jerzy Szteliga** oraz poseł mniejszości niemieckiej **Henryk Kroll**.

Podczas IV kadencji Sejmu – czytamy w tekście **Beaty Machul-Telus** – zdecydowanymi przeciwnikami ustawy o ochronie praw mniejszości narodowych i etnicznych – postulującymi jej odrzucenie w całości – byli posłowie klubów parlamentarnych Prawa i Sprawiedliwości (PiS), Ligi Polskich Rodzin (LPR), Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) oraz Ruchu Katolicko-Narodowego (RKN). Argumenty polityków optujących za odrzuceniem w całości projektu ustawy o mniejszościach jako aktu prawnie i społecznie zbędnego, były m.in. następujące: „Rzeczpospolita zawsze była państwem tolerancyjnym, odrzucającym różnice narodowe jako płaszczyznę konfliktów i walk" (**Marek Kuchciński**, PiS). „Polska zawsze była krajem tolerancyjnym, szanującym tych, którzy mieszkają w Polsce i respektują prawa i obyczaje Rzeczypospolitej" (**Marek Kotlinowski**, LPR). „Polska zawsze była, jest i będzie dla Europy przykładem tolerancji i nie potrzebujemy do tego specjalnych ustaw i pustego prawa, papierowych zapisów. Taka jest po prostu natura i kultura Polaków". „Poziom ochrony interesów mniejszości narodowych w Polsce jest obecnie bardzo wysoki, wręcz wzorcowy. Uczyć się od nas mogą nie tylko kraje leżące na wschód i południe od nas, ale także, a może przede wszystkim, kraje tzw. europejskich demokracji za-



Prezydent Aleksander Kwaśniewski przekazuje posłowi Eugeniuszowi Czykwinowi pióro, którym podpisał ustawę o mniejszościach narodowych i etnicznych

U dołu dwujęzyczna tablica przy wjeździe do Orli, rok 2011

chodnich" (**Jerzy Czerwiński**, RKN). „Nie ulega wątpliwości, że przyjęcie tej ustawy oznacza dla nas wszystkich wejście na pole minowe. Na początek to pole minowe będzie miało wymiar lokalny, później regionalny, a na końcu krajowy. Ofiary będą i po jednej, i po drugiej stronie" (**Eugeniusz Kłopotek**, PSL). „Czy w tej ustawie gdziekolwiek można wyczytać o lojalności mniejszości narodowych wobec państwa polskiego? Jak będzie ta ustawa działała w takich obszarach jak na przykład w Puńsku, gdzie jest 20% Polaków, 80% Litwinów; w Hajnówce, gdzie jest 35% Polaków, 65% deklarujących się Białorusinów? Kto tam jest mniejszością i kto zadba o los Polaków" (**Andrzej Fedorowicz**, LPR).

Śmiem twierdzić – stwierdza w podsumowaniu autorka – że obawy, lęki i wątpliwości polityków zostały zweryfikowane przez czas. Przez 15 lat funkcjonowania ustawy o mniejszościach zrobiono wiele dla ochrony kultur mniejszościowych. Ten ciężko i długo wypracowywany akt prawny okazał się wyjątkowo dobrym rozwiązaniem, na co wskazują również dawni polityczni przeciwnicy.

TAKŻE KRYTYCZNIE

Od kilku lat – napisał przewodniczący Związku Ukraińców w Polsce **Piotr Tyma** – zauważalne jest też deprecjonowanie roli i znaczenia KMNiE ze strony urzędników państwa polskiego (których prace komisja ta, zgodnie z założeniami polskiego porządku konstytucyjnego, miałaby oceniać). Ignorowanie posiedzeń przez ministrów, nieodpowiadanie na wystąpienia i interpelacje poselskie w sprawach dotyczących sytuacji mniejszości (w tym garstki aktywnych jeszcze parlamentarzystów KMNiE), źle pojmowana dyscyplina partyjna w trakcie obrad (w jej efekcie m.in. „obrona" urzędników, ministrów, często wbrew oczywistym faktom) negatywnie wpływają na możliwości sprawcze komisji.

Z problemem mowy nienawiści w Polsce – stwierdził rzecznik praw obywatelskich **Adam Bodnar** – nierozerwalnie związana jest kwestia trudnych rozliczeń z przeszłością. Wystawianie przez rządzących ciągłego rachunku krzywd w stosunku do sąsiadujących państw, wybielanie historii Rzeczypospolitej, podkreślanie martyrologii narodu polskiego, a także wykorzystywanie różnych zdarzeń z przeszłości do bieżącej narracji politycznej – to wszystko przyczynia się do kształtowania ksenofobicznych postaw. W latach 2015-2020 wielokrotnie kwestie rozliczeń z przeszłością budziły zainteresowanie opinii publicznej, a jednocześnie stawały się cierniem w relacjach z mniejszościami narodowymi i etnicznymi. Pierwszy problem dotyczył podejścia władz polskich do upamiętnienia Żołnierzy Wyklętych. Niektórzy z nich zapisali się negatywnie w historii mniejszości. Szczególnie istotny we współczesnej Polsce jest konflikt na tle oceny działań **Romualda Rajsa** „Burego" oraz **Zygmunta Szendzielarza** „Łupaszki" na Podlasiu.

24 stycznia 2005 roku prezydent **Aleksander Kwaśniewski** w uroczysty sposób, w obecności marszałków Sejmu i Senatu, podpisał ustawę. Dla mnie był to radosny moment, gdyż kończył długi okres sporów i polemik z przeciwkami jej uchwalenia. Radości tej nie mącił fakt obecności w tym gronie osób z naszego, prawosławno-białoruskiego, środowiska – gdy tylko pojawiła się możliwość przegłosowania ustawy, redaktor naczelny białoruskiego pisma „Czasopis", **Jerzy Chmielewski**, na jego łamach stwierdził: „Ustawa jest nam niepotrzebna".

Tę myśl, poprzez eksponowanie wypowiedzi „przedstawicieli białoruskich gmin", zaczęły upowszechniać lokalne media. – Po co nam ten język w urzędach? Po co napisy cyrylicą? Niech wszystko będzie jak było – to stwierdzenia większości rozmówców dziennikarzy, pytających o stosunek „ludu" do toczących się w Sejmie debat. I choć minęło piętnaście lat, to zawsze wjeżdżając do mojej Orli z radością czytam, pisaną cyrylicą, jej nazwę.



Eugeniusz Czykwin
fot. **archiwum autora**
archiwum tygodnika „Niva"

CYPR

Pierwszy ale nierówny? To nie do przyjęcia

Decyzja o uznaniu *raskolników* na Ukrainie lekceważy prawa religijne trzynastu milionów wiernych Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi, którzy nie chcą zrywać więzów z ruską Cerkwią, powiedział w wywiadzie dla greckiego wydania Romfea, hierarcha cypryjskiej Cerkwi, metropolita Tamassos i Oreini **Izajasz**.

Władyka podkreślił duży wpływ interesów geopolitycznych na obecną sytuację w prawosławnym świecie, a łączenie w ukraińskiej kwestii „historii i teologii prawosławnej Cerkwi z zewnętrzną polityką państw" nazwał błędem. Arcypasterz ostrzegł: – *Obecna sytuacja może doprowadzić do tragicznych konsekwencji dla prawosławnej jedności*.

Władyka zapewnił o swoim przekonaniu, że podział Cerkwi nie jest celem patriarchy, nie wykluczył przy tym, że **Bartłomiej I** jest powiązany z ludźmi, którzy mają inne interesy.

– *Pierwszeństwo Konstantynopola to pierwszeństwo służenia, ale nie władzy* – podkreślił hierarcha – *zaś ten kto jest pierwszy, nie kieruje innymi Cerkwiami, ale służy im, pełniąc koordynacyjną i bez wątpienia przyznaną mu przez prawosławie rolę historyczną i teologiczną. To co słyszymy o „pierwszym bez równych" niepokoi nas i chciałbym, żeby to były jedynie błędnie objaśnione z teologicznego punktu widzenia akademickie rozważania, a nie przekonanie władz*.

Mówienie prawdy tak jak ją odczuwam, nie jest krokiem przeciwko patriarchatowi ekumenicznemu. Jeżeli kogoś miłujecie, mówicie mu to, w co wierzycie – podkreślił.

Metropolita Tamassos i Oreini zapewnił, że patriarchat konstantynopolitański pozostaje dla niego kolebką bizantyńskiej cywilizacji, jedną z najświętszych instytucji prawosławia, „arką teologii jak i bizantyńskiej kultury". – *Dlatego nigdy nie podejmiemy kroków, które mu zaszkodzą, ale nie będziemy milczeć, jeśli coś jest nie tak* – zapewnił. – *Sytuacja, która powstała w światowym prawosławiu z powodu „ukraińskiej kwestii" jest próbą, możliwością duchowej odbudowy, zarówno instytucyjnej jak i osobistej. Bóg pomoże nam, jeśli najpierw sobie pomożemy* – podkreślił hierarcha.

IRLANDIA

Brytyjski pisarz przyjął chrzest w prawosławnym monasterze

Paul Kingsnorth, jeden z najsłynniejszych współczesnych angielskich pisarzy, przyjął chrzest w rumuńskim monasterze w Shannonbridge w Irlandii.

– *Przede mną, mieszkańcem Zachodu, który dopiero co przyszedł do prawosławia, jeszcze długa droga nauki, ale już teraz czuję, że jestem w domu* – powiedział.

Pisarz dodał, że po raz pierwszy zetknął się z prawosławiem cztery lata temu, kiedy odwiedził niewielką cerkiew w Bukareszcie. – *To było silne przeżycie, pozostało w mym sercu na zawsze, ale nawet nie przypuszczałem, że doprowadzi ono mnie do podróży, zmusi, bym został wiernym rumuńskiej Cerkwi* – przyznał.

Paul Kingsnorth dodał, że po chrzcie poczuł, że „w końcu znalazł się w miejscu, w którym powinien być".

O. **Tudor Ghita**, proboszcz rumuńskiej parafii w hrabstwie Galway, podkreślił, że nie starał się specjalnie nawrócić pisarza na prawosławie, chrzest poprzedzały spotkania i długie rozmowy w monasterze w Shannonbridge. Poradził mu, by nie oczekiwał, że „od razu zobaczy latające po cerkwi anioły, lecz nastawił się na stałą pracę nad sobą".

– *Nie wiem dokąd prowadzi stąd droga, ale teraz przynajmniej wiem, jak po niej iść* – podsumował swoją decyzję Paul Kingsnorth.

Czterdziestodziewięcioletni Paul Kingsnorth mieszka w zachodniej części Irlandii. Jest znanym brytyjskim pisarzem i myślicielem, byłym zastępcą redaktora pisma Ecologist, współzałożycielem projektu „Ciemna góra". W swoich pracach porusza problemy m.in. ochrony środowiska i globalizacji.

KOSOWO

Isposnica okradziona

W Kosowie i Metochii trwa grabież serbskiej historycznej spuścizny. 4 lutego kosowska policja schwytała czterech kosowskich Albańczyków, którzy ukradli archeologiczne artefakty w tzw. *isposnicy* (odosobniony skit) św. Piotra z Koriszy pod Prizrenem. Jeden z zatrzymanych sprawców w drodze zdołał uciec.

W związku z zaistniałą sytuacją ihumen monasteru Vysoki Dečani, archimandryta **Sawa**, po raz kolejny zaapelował o bezzwłoczną ochronę spuścizny serbskiej Cerkwi w Kosowie i Metochii. „Obiekty naszej Cerkwi, które znajdują się tam, gdzie Serbowie nie stanowią większości bądź wręcz są nieobecni, od wielu lat padają ofiarą wandalizmu i grabieży. *Isposnica* św. Piotra także wcześniej bywała łupem wandali. A jest ona największą średniowieczną *isposnicą*, gdzie mimo zbezczeszczenia cały czas można obejrzeć zachowane freski" – napisał.

Isposnice zachowały się w różnych miejscach Kosowa i Metochii. Zwykle są to miejsca *podwigów* starożytnych mnichów i *podwiżników*, samotne skity. Czasami przy nich ocalały też świątynie. One także, podobnie jak i inne zabytki, są przedmiotem bezczeszczenia ze strony miejscowych Albańczyków.

ROSJA

Za duszę o. Ioanna Krestiankina

Zaupokojną litiję za duszę starca o. **Ioanna Krestiankina** odprawiono w *Uspienskim* Pskowsko-Pieczerskim Monasterze w piętnastą rocznicę jego śmierci.

O. Ioann jest znany w całym prawosławnym świecie jako asceta, wyznawca, *prozorliwy* mnich, natchniony kaznodzieja. Podążali do niego w poszukiwaniu prawdy, po słowa pocieszenia i wsparcia ludzie z całego świata. Już za życia czcili jak świętego za duchową mądrość i miłość.

– *Miłował każdego z nas* – podkreślił metropolita pskowski **Tichon**. – *Nie*



„szary tłum", a każdego konkretnego człowieka. Nawet tych, którzy nie tylko go niepokoili, lecz duchowo i fizycznie męczyli. Za co nas miłował? Był człowiekiem prozorliwym i w przeciwieństwie do nas widział wszystkie grzechy i występki każdego człowieka. Ale widział też, że każdy człowiek jest umiłowanym stworzeniem Bożym. Nawet jeśli zbłądził, nawet jeśli dokonał strasznych rzeczy, pozostaje umiłowanym synem czy córką.

Metropolita podkreślił, że proroctwa starca stają się zrozumiałe po dziesięcioleciach. Jedno z nich zostało opublikowane w 2000 roku w książce „Boży inok".

– W 2000 roku ujrzał coś strasznego – mówił władyka. – *Usłyszał głos: „Stój i patrz, do czego dopuściłem dla waszego pouczenia (wrazumlenija), ludzi, którzy nie odchodzą nagłą śmiercią. Winnych nie szukajcie. Módlcie się. Bądźcie w życiu zawsze i we wszystkim ostrożni*".

– Czy nie przypomina nam to obecnej sytuacji w całym świecie, kiedy wiele osób odchodzi nie nagłą śmiercią po to, żeby mieli czas zastanowić się nad całym życiem? – zwrócił uwagę metropolita Tichon. – *O. Ioann powiedział: winnych nie szukajcie. To znaczy, że wszyscy jesteśmy winni. Wszyscy bez wyjątku. W tym także i ludzie Cerkwi, dlatego że sąd Boży rozpoczyna się od domu Bożego. Jeśli znajdziemy w sobie winę za pomnożenie zła w tym świecie, to jest to właściwa reakcja* – podkreślił.

O. Ioann w dzieciństwie był *prisłużnikiem* arcybiskupa **Serafina** (**Ostroumowa**), wcześniej ihumena monasteru w Jabłecznej, rozstrzelanego pod Katyniem, nowomęczennika. W 1950 roku, po ukończeniu zaocznie Moskiewskiej Duchownej Akademii, został zesłany na siedem lat do łagrów. Siedział na Łubiance, w więzieniu na Butyrkach, pracował przy wyrębie lasów. Po odbyciu pięciu lat kary został skierowany do pskowskiej diecezji, a w 1957 roku przeniesiony do riazańskiej, gdzie służył prawie jedenaście lat. W 1967 roku wstąpił do pskowskopieczerskiej *obitieli*, spędził w niej niemal czterdzieści lat. Pozostawił po sobie książki: „Opyt postrojenija ispowiedi", „Nastolnaja kniga dla monaszestwujuszczych i mirian", „Propowiedi", „Pisma o. Ioanna".

Metropolita Tichon wezwał do zbierania świadectw niezbędnych do kanonizacji archimandryty o. Ioanna. – A dalej będzie, jak Bóg da – powiedział.

800-lecie urodzin świętego Aleksandra Newskiego

„Aleksander Newski w historycznym, państwowym i duchownym kontekście: związek czasów i pokoleń" – pod takim tytułem odbyło się 18 lutego w Petersburgu pierwsze z przedsięwzięć, organizowanych z okazji 800-lecia urodzin świętego. Konferencję, której przewodniczył namiestnik Aleksandro-Newskiej Ławry, biskup kronsztadzki **Nazarij**, rozpoczęto molebnem i prezentacją multimedialnej wystawy „Kniaź Aleksander Newski – polityk, dowódca, święty".

O. **Konstantin Kostromin**, prorektor do spraw naukowych i teologicznych Petersburskiej Duchownej Akademii, zwrócił uwagę, że pierwszy żywot **Aleksandra Newskiego** został napisany już dwadzieścia lat po jego śmierci. W tej pierwszej redakcji kniaź nie jest jeszcze nazywany świętym, ale koncepcyjnie jest to żywot świętego z wyraźnie podkreślanymi cechami, jak odwaga i pobożność. W następnej redakcji, powstałej w czasach bitwy na Kulikowym Polu, chociaż kniaź wciąż nie jest nazywany świętym, świętym nazywane jest jego ciało, które chcą dotknąć mieszkańcy Włodzimierza. Historyczna rola Aleksandra Newskiego, nie tak oczywista dla współczesnych, stała się jasna sto-sto pięćdziesiąt lat po jego śmierci, to co zwykliśmy słyszeć o jego stosunkach ze Wschodem i Zachodem zostało sformułowane w czasach panowania **Iwana III**. Wielki kniaź Aleksander Newski ostatecznie zaczął być postrzegany jako człowiek, który wybawił kraj od zgubnego zachodniego wpływu.

W 1547 roku jego imię znalazło się wśród świętych, wymienionych przez metropolitę **Makarego** podczas lokalnego soboru ruskiej Cerkwi. Sobór ogłaszał „spis nowych ruskich cudotwórców", o których do tej pory nie było *cerkownogo pienija*, tzn. sobór nie stwierdzał świętości Aleksandra Newskiego, ona była już oczywista. Wkrótce została napisana służba, ikony i od tej pory rozpoczyna się powszechne wysławianie kniazia, które trwa do naszych dni.

– Na początku XX wieku w mieście i obłasti było wiele świątyń pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego – zwrócił uwagę główny archiwista Centralnego Archiwum Petersburga **Michaił Szkarowski**. – Takie świątynie, wznoszone głównie według projektów petersburskich architektów, pojawiły się też w innych miastach Europy. Związki tych świątyń z Petersburgiem trwały nawet w czasach komunistycznych. W 1964 roku w pracach restauracyjnych soboru św. Aleksandra Newskiego w Sofii uczestniczyli także leningradzcy specjaliści. Wiele było odniesień do świętego w przedrewolucyjnej toponimice miasta, jego imię nosiło szereg instytucji i organizacji, w tym, m.in. słynne Bractwo. Pisarze i artyści poświęcali kniaziowi swoje utwory. Reżyser **Siergiej Eisenstein** w dzieciństwie mieszkał obok ławry, podchodził do jego *grobnicy*, co być może wpłynęło na powstanie filmu o świętym Alek-

sandrze Newskim. Ciekawe, że kult świętego kniazia w ławrze trwał nawet po jej zamknięciu i wywiezieniu, początkowo do Moskwy, *moszczi*. W soborze Świętej Trójcy podczas drugiej wojny światowej urządzono jakby mauzoleum kniazia Aleksandra Newskiego – wejście do soboru było otwarte, urządzono tam poświęconą świętemu wystawę, a nad miejscem, gdzie wcześniej spoczywały jego relikwie, zrekonstruowano jakby sklepienie (baldachim). Obecnie w Petersburgu i *obłasti* stoi pięć pomników poświęconych świętemu kniaziowi, w tym roku planuje się odsłonić kolejne dwa. Trzykrotnie – w 1725, 1942 i 2010 roku – ustanawiano order świętego.

Epidemia w statystyce

Stu czterdziestu siedmiu duchownych i mnichów ruskiej Cerkwi zmarło z powodu epidemii koronawirusa do 17 lutego 2021 roku, poinformowała grupa robocza przy patriarsze **Kiryle**. W ciągu ostatniego tygodnia, od 10 do 17 lutego, odeszło dwóch duchownych. W sumie na koronawirusa zachorowało 4246 duchownych, mnichów i mniszek ruskiej Cerkwi.

SERBIA

Stanął pomnik Stefana Nemanii

Pomnik założyciela średniowiecznego serbskiego państwa **Stefana Nemanii** autorstwa rzeźbiarza **Aleksandra Rukawisznikowowa** odsłonięto 25 stycznia w Belgradzie. W uroczystości wziął udział prezydent Serbii **Aleksandar Vučić**, przewodniczący prezydium Republiki Serbskiej Bośni i Hercegowiny **Milorad Dodik**, ambasador Rosji w Serbii, ministrowie, politycy i działacze społeczni.

Uroczystość odbyła się na odrestaurowanym placu w centrum Belgradu w dzień św. Sawy, który jest dniem narodowego święta.

Prezydent Serbii podkreślił, że dużą rolę w postawieniu pomnika odegrał zmarły serbski patriarcha **Ireneusz**. – *Naprzeciwko nas znajduje się cerkiew, poświęcona synowi Stefana Nemanii, św. Sawie. Udało się nam ukończyć tę cerkiew, upiększyć cudowną mozaiką, uczynić najpiękniejszą na świecie. A dzisiaj odsłaniamy pomnik założyciela naszego państwa, który mieczem tworzył i bronił Serbii. W monasterze Chilandar, gdzie Nemania był początkowo pochowany, z jego grobu wyrasta winorośl, która przypomina nam, jak ważne są korzenie. Ten pomnik w pierwszej kolejności mówi o nas, o tym kim byliśmy i kim chcielibyśmy stać się dzisiaj, a to co budujemy dzisiaj powinno stać się spuścizną dla przyszłych pokoleń* – powiedział.

Prezydent szczególnie podziękował autorowi pomnika Aleksandrowi Rukawisznikowowi.

Po poświęceniu pomnika we wszystkich belgradzkich cerkwiach, także w soborze św. Sawy, zabiły dzwony.

W 2017 roku, gdy Serbia obchodziła 800-lecie ogłoszenia serbskiego królestwa, zapadła decyzja postawienia pomnika założycielowi serbskiej dynastii Nemaniczów, Stefanowi Nemanii. Rozpisano konkurs, zwycięzcą okazał się projekt rosyjskiego rzeźbiarza Aleksandra Rukawisznikowa.

Dwudziestotrzymetrowy monument stał się najwyższym pomnikiem w Belgradzie, usytuowanym na zrekonstruowanym placu św. Sawy, przed starym budynkiem kolejowego dworca, w którym mieści się Muzeum Historyczne Serbii. Części monumentu zostały przywiezione z Moskwy do Belgradu latem 2020 roku, ich montaż trwał sześć miesięcy. Pomnik stoi na podstawie w kształcie bizantyńskiego hełmu, co symbolizuje więź serbskiej kultury z Bizancjum. W prawej ręce Stefan Nemania trzyma miecz, w lewej chilandarską *gramotę*, którą serbscy historycy nazywają „Deklaracją niepodległości średniowiecznej Serbii".

Dynastia Nemaniczów rządziła Serbią dwieście lat – od 1170 do 1371 roku. Jej protoplastą był wielki żupan Stefan Nemania (św. Symeon Mirotoczywyj, 1114-1199), który zjednoczył serbskie ziemie, zbudował fundamenty serbskiej państwowości i założył najbardziej znaczące serbskie monastery. Jego synowie – św. **Sawa Serbski** (1169-1236), pierwszy arcybiskup serbskiej autokefalicznej prawosławnej Cerkwi i pierwszy serbski koronowany władca **Stefan Pierwszy** (1196-1227) – wnieśli ogromny wkład do serbskiej historii i kultury.

UKRAINA

Zajmują cerkwie

Z nowym rokiem rozpoczęła się nowa fala odbierania świątyń Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi. – *W ciągu kilku dni zwolennicy niekanonicznej Prawosławnej Cerkwi Ukrainy wyłamali zamki i przejęli świątynie w trzech wspólnotach – we wsiach Gałuzinca, Łysogóra i Stanica* – powiedział **Jarosław Pasiecznik**, prawnik chmielnickiej diecezji.

W Łysogórze odebranie cerkwi nastąpiło w wigilię *Kreszczenija*, 18 stycznia, w czasie gdy proboszcz, o. **Andrej Czorny**, odprawiał nabożeństwo w lokalu zastępczym.

Po głosowaniu całej gminy w kwestii przynależności świątyni i bezprawnym przerejestrowaniu jej do jurysdykcji *raskolniczeskiej* Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, cerkwi św. św. Kosmy i Damiana groziło przejęcie już od lutego 2019 roku. Wtedy wejście do świątyni zostało opieczętowane, a parafianie najczęściej modlili się przy jej schodach, ale wraz z nadejściem chłodów zaczęli zbierać się w pomieszczeniu na terenie prywatnym. W tym czasie *raskolnicy* opanowali cerkiew.

– *Tymczasem sprawę rozpatruje Chmielnicki Sąd Apelacyjny. Zwolennicy Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, którzy są w mniejszości, nie czekali na werdykt* – powiedział Jarosław Pasiecznik. Jak zauważył prawnik, duchowni i parafianie odebranych cerkwi postępują zgodnie z prawem. Począwszy od 2019 roku około dziesięciu wspólnot chmielnickiej diecezji Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi zostało przemocą przerejestrowanych i przyłączonych do *raskolniczeskiej* Prawosławnej Cerkwi Ukrainy.

na podst. spzh.news, pravoslavie.ru, church.by
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **pravoslavie.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /148/ marzec 2021



O człowieku z księżyca

Jeszcze miesiąc temu nie wiedziałam nic o wybitnym rosyjskim antropologu i podróżniku Nikołaju Mikłucho-Makłaju (1846-1888). Nie było mnie na świecie, gdy w 1952 roku ukazały się po polsku jego słynne dzienniki, milczały o nim szkolne podręczniki, nie dotarł do Polski znany radziecki serial *Biereg jego żyzni*, nie wiedziałam, że z okazji 150 rocznicy jego urodzin rok 1996 UNESCO ogłosiło rokiem Mikłuchy-Makłaja. Dopiero podczas pracy nad tekstem o misjonarskiej działalności laureata tegorocznej Nagrody Ostrogskiego, o. Kiryła Szkarbula, poznałam bliżej Nową Gwineę i odkrywcę jej północno-wschodniej części, człowieka z księżyca, jak go nazwali Papuasi, których kulturę opisywał, badał i których bronił.

Ów człowiek z księżyca urodził się 175 lat temu, w lipcu 1846 roku, we wsi Rożdiestwienskoje, w rodzinie szlacheckiej. Po posiadłości nie ma dziś śladu, ale okoliczni pamiętają o swym wielkim krajanie – w sąsiedniej miejscowości Okułowka stoi pomnik antropologa, tam też w dniu jego urodzin organizowane są etnograficzno-krajoznawcze „Makłajowskie czytania".

Rodzina wkrótce przyjechała do Petersburga, ojciec, inżynier z zawodu, budował kolej petersbursko-moskiewską, potem został naczelnikiem Nikołajewskiego, dziś Moskiewskiego Dworca w Petersburgu. Wcześnie zmarł, ale mamie **Jekatierinie**, o polskich korzeniach, udało się zapewnić wykształcenie pięciorgu swoich dzieci. **Nikołaj** uczył się najpierw w II Petersburskim gimnazjum i choć od dzieciństwa pięknie rysował (ilustracje z wypraw przyniosą mu światową sławę w nie mniejszym stopniu niż dzienniki) nie podjął studiów w Akademii Sztuk Pięknych, lecz na Uniwersytecie.

Za udział w organizacji studenckiej nie tylko spędził trzy dni w Twierdzy Pietropawłowskiej, ale został też z wilczym biletem usunięty z uczelni. Studia – z zakresu medycyny i zoologii – odbył

Prof. Ernst Haeckel z asystentem Nikołajem Mikłucho-Makłajem, Wyspy Kanaryjskie 1866
Tuj, pierwszy Papuas, którego spotkał Miklucho-Makłaj, rysunek podróżnika





w Niemczech, w Heidelbergu, Lipsku i Jenie, tam uczęszczał na wykłady prof. **Ernsta Haeckela**. To z profesorem Haeckelem wyruszył w swoją pierwszą podróż, na Wyspy Kanaryjskie. Tam odkrył nowy rodzaj morskich gąbek, napisał na ten temat pracę, a podpisał ją **Mikłucho-Makłaj**.

Skąd się wziął drugi człon, Makłaj? To interesująca rodzinna historia, sięgająca 1648 roku, bitwy pod Żółtymi Wodami. Po polskiej stronie walczył wówczas szkocki baron Michael Maclay, który dostał się do niewoli zaporoskiego kozaka Gryćki Mikłuchy z oddziałów Bogdana Chmielnickiego. Ów szkocki baron ożenił się potem z siostrą Mikłuchy, pozostawiając podwójne nazwisko (ciekawe, że syn zruszczonego Makłaja, Stefan, podczas wojny rosyjsko-tureckiej, po której Krym przeszedł do Rosji, jako pierwszy wtargnął do tureckiej twierdzy Oczaków z płonącą pochodnią w ręku, za co Katarzyna Wielka nadała mu szlachecki tytuł). I chociaż następne pokolenia używały tylko jego pierwszej części – Mikłucho, młody student postanowił wrócić do jego pełnej wersji.

Tak więc już jako Nikołaj Mikłucho-Makłaj nie przestaje marzyć o kolejnych podróżach. Po wyprawie na Sycylię i wybrzeża Morza Czerwonego wraca do Rosji, zabiega o finansowe wsparcie kolejnej – na Nową Gwineę. Ale Rosyjskie Stowarzyszenie Geograficzne, do którego kieruje ów projekt, nie jest tym zainteresowane. Ma przecież, zgodnie ze statutem, zajmować się badaniami Rosji i krajów ościennych. A Nowa Gwinea z Rosją nie graniczy.

W końcu 24-letni Nikołaj uzyskuje niewielkie subsydium, a wielki książę **Konstanty Nikołajewicz** nakazuje przyjąć go na korwetę „Witaź". Przed nim 316 dni podróży (ciekawe, że tak wielki podróżnik nie potrafił pływać i cierpiał na chorobę morską).

„Na szczytach gór leżały gęste chmury, w innych miejscach na brzegu snuł się dym, świadczący o obecności człowieka" – odnotowuje, gdy 20 września 1871 roku dociera do celu, staje w północno-wschodniej części Nowej Gwinei, na wybrzeżu nazwanym później od jego nazwiska wybrzeżem Makłaja.

Będzie przyjeżdżał tu trzykrotnie, w sumie spędzi tutaj trzydzieści miesięcy.

Marynarze z „Witezi" pomagają mu zbudować chatę, taki szałas na palach, przewożą niezbędne rzeczy, zapasy żywności, papier. I odpływają, inna załoga, co obiecał mu książę Konstanty, ma tu dotrzeć za rok, odebrać przynajmniej dzienniki i notatki, bo w to że podróżnik przeżyje, mało kto wierzy.

Nikołaj Mikłucho-Makłaj ma co prawda broń, ale od początku wie, że jego siła powinna wynikać „ze spokoju i cierpliwości".

Już pierwszego dnia pobytu spotyka pierwszego Papuasa, **Tuja**.

„Usłyszałem szelest – pisze w dziennikach. – Nagle przede mną jakby spod ziemi wyrósł człowiek, który spojrzał w moją stronę i rzucił się w zarośla. Niemal biegiem ruszyłem za nim, wymachując czerwoną szmatką... Obejrzał się i widząc że jestem sam, bez broni, i gestami daję znać, żeby podszedł, stanął. Powoli zbliżyłem się do niego i powoli podałem mu szmatkę. Przyjął ją z widocznym zadowoleniem, zawiązał na głowie. Mój pierwszy znajomy miał dość sympatyczny wyraz twarzy".

Przyjaźni z Tujem, najważniejszym mężczyzną we wsi Gorendu, podróżnik poświęca sporo miejsca w swoich dziennikach, ciekawe że zachowali ją w pamięci potomkowie Tuja, a to już piąte pokolenie (!). Tuj nazwie go **Karam-Tamo**, człowiekiem z księżyca, bo jest pierwszym białym, którego widzi.

Gdzieś tak po tygodniu Mikłucho-

Strona z dzienników podróżnika, Nikołaj Miklucho-Makłaj z pomocnikiem, niżej rysunek wioski na wybrzeżu Makłaja







-Makłaj po raz pierwszy postanawia wejść do wioski. Zastaje grupę mężczyzn z wymierzonymi w niego włóczniami, wypuszczają w jego stronę kilka strzał i… czekają na jego reakcję. A Nikołaj ma zaskakujący plan – wyszukuje zacienione miejsce, rozkłada matę i… zasypia. A więc się ich nie boi, Papuasi od razu czują szacunek.

„Wiele razy zauważałem, że tubylcom podobał się mój sposób postępowania. Widzieli, że postępuję z nimi otwarcie i nie chcę widzieć tego, czego nie chcą mi pokazać” – notuje w swoich dziennikach. Na początku chowają przed nim kobiety, tak więc, żeby ich nie straszyć, gwiżdże przed wejściem do wsi (ciekawe, że według przekazów Papuasów podróżnik gwizdał, żeby dać im znać, że jest głodny).

Po trzech miesiącach już porozumiewał się w ich języku. To ułatwiało kontakty. Ale przełom miał dopiero nastąpić. Gdy padające drzewo rani Tuja w głowę, Nikołaj codziennie opatruje jego ranę. Odtąd jego relacje z Papuasami stają się bliskie. I mężczyźni już nie tylko nie chowają przed nim kobiet, a nawet młodą piękną dziewczynę wybierają mu na żonę. Odmawia, tłumacząc że wszyscy są dla niego braćmi, uspokajają się, gdy zapewnia, że nie ożeni się z żadną Papuaską.

A kiedy w naczyniu podpala wodę ze spirytusem, wierzą, że może podpalić morze.

Wieści o „człowieku z księżyca” szybko rozchodzą się po okolicy, a podróżnik dzięki Tujowi, swemu przewodnikowi po świecie z ery kamienia, może swobodnie obserwować, badać, porównywać, notować i rysować (na Nowej Gwinei wykonał 700 rysunków), gromadzić eksponaty.

I ponad wątpliwość udowodnia, że na głowie Papuasów włosy wcale nie rosną kępkami, jak twierdzili niektórzy badacze, co miałoby świadczyć, że są przejściowym gatunkiem, lecz pojedynczo, jak u białego człowieka. Jako pierwszy bada ich antropologiczny typ, materialną kulturę, życie społeczne, opisuje obyczaje i pokazuje światu bogactwo papuaskiej kultury.

Gdy statek „Izumrud” 19 grudnia 1872 roku (a więc później niż planowano) przybywa na umówione miejsce, jego załoga dostrzega rosyjską flagę i zmizerniałego po-

Chaty Papuasów na wybrzeżu Makłaja, papuaskie dzieci na tradycyjnych papuaskich łodziach – dłubankach

dróżnika, któremu skończyły się już i zapasy żywności, i papieru, ale który swobodnie rozmawiał z zaprzyjaźnionymi tubylcami.

Nie, Nikołaj Mikłucho-Makłaj nie wraca do Rosji. Prowadzi badania na Filipinach i Indonezji, po czym ponownie kieruje się na Nową Gwineę, tym razem na wybrzeże Kiwai (południowo-zachodnią część wyspy). Jego mieszkańcy już zaznali i grabieży, i przemocy, i handlu niewolnikami. Pod nieobecność podróżnika uzbrojeni tubylcy napadają na jego chatę, zabijając i raniąc kilku pomocników. Nikołaj odszukuje sprawcę i oddaje pod sąd. I wyrusza w kolejne wyprawy – tym razem po Półwyspie Malajskim, wyspach Oceanii. Bada, notuje, rysuje, a w 1876 roku wraca na swoje wybrzeże.

„Króluje tutaj tak uwielbiana przeze mnie cisza, nie słychać niemal ludzkiej mowy, sporu, odgłosów walki. Tylko morze, wiatr i czasami jakiś ptak narusza spokój" – w dziennikach nie ukrywa, jak bardzo lubi to miejsce.

Papuasi wcale nie są zaskoczeni jego powrotem, Karam-Tamo obiecał przecież, że wróci, więc wrócił, bo nigdy nie kłamie. A podróżnik, chociaż dopada go malaria, penetruje nowe miejsca wyspy, usiłując zapobiec, tak częstym wśród Papuasów wojnom międzyplemiennym. Straszy ich, że jeśli nie przestaną walczyć, spadnie na nich kara, trzęsienie ziemi. W listopadzie 1877 roku wyjeżdża do Sydney. Tam „baron Maclay", jak tytułuje go prasa, nie tylko zakłada pierwszą stację biologiczną, ale i spotka miłość swego życia. 25-letnia wdowa **Margaret Robertson** chętnie przyjęłaby jego oświadczyny, ale jej rodzina zdecydowanie się temu sprzeciwia. Po pierwsze Margaret jest protestantką, on prawosławny. Po drugie jako córka wicegubernatora jednej z australijskich prowincji opływa w dostatki, on nie ma grosza przy duszy. Ponadto w przypadku powtórnego małżeństwa Margot utraciłaby prawo do pensjonatu, pozbawiając w ten sposób rodzinę dochodów. Ale obydwoje nie tracą nadziei. Kolejna, dwuletnia, podróż po wyspach Oceanii utwierdza podróżnika w przekonaniu, że praca w terenie daje dużo więcej niż lektura książek.



Proponuje utworzenie Związku Papuasów na Nowej Gwinei, co ma zapobiec ekspansji europejskich kolonizatorów. Rozmawia o tym z carem **Aleksandrem III**, dzięki czemu powstrzymuje najazdy Anglików na „swoje" wybrzeże.



„Będę w Kronsztadzie w końcu lipca" (1882 roku) – zapowiada w końcu po dwunastoletniej rozłące swój powrót do Rosji młodszemu bratu **Michaiłowi**. Wraca z ogromnym bagażem doświadczeń i kolekcji. I odrzuca propozycję Królewskiego Towarzystwa Geograficznego (Anglia), które chce opublikować jego dzienniki i przeznaczyć środki na kolejną ekspedycję. – Służę nie tylko nauce, ale i swojej ojczyźnie – odpowiada.

Wkrótce sam odwiedza je po raz ostatni. Przyjeżdża nie z pustymi rękoma, przywozi w prezencie byka, którego Papuasi widzą po raz pierwszy i który im ucieka, oraz kozy.

W 1884 roku poślubia Margaret, na świat przychodzą dwaj synowie, życie osobiste zaczyna się stabilizować. Ale gdy z powodu antyrosyjskich nastrojów musi opuścić stację biologiczną pod Sydney, pojawiają się plany powrotu do

Rosji. Najpierw wyrusza tam sam, z ogromną wiedzą i nie mniejszymi planami na przyszłość (chce wydać książkę o swoich podróżach).

„Jako pierwszy bez wątpienia





Nikołaj Mikłucho-Makłaj młodszy, powitanie praprawnuka podróżnika na wybrzeżu Makłaja

udowodniliście, że człowiek wszędzie jest człowiekiem, tzn. dobrą, towarzyską istotą, z którym można i trzeba nawiązywać kontakty tylko po dobroci i w prawdzie, a nie poprzez działa i wódkę" – pisze mu **Lew Tołstoj**.

W 1887 toku podróżnik sprowadza do Petersburga żonę i dzieci. Mieszkają przy ulicy Galernej, w kamienicy, w której mieszkał kiedyś **Puszkin**, a dziś mieści się klimatyczny hotelik. Niestety, Nikołaj Mikłucho-Makłaj czuje się coraz gorzej i wkrótce staje się pacjentem słynnego lekarza **Siergieja Botkina**, który będzie starać się uratować życie podróżnika, ale przegrywają tę walkę. Nikołaj Mikłucho-Makłaj umiera w 1888 roku w wieku 42 lat. Zostaje pochowany na Wołkowskim Cmentarzu, po czym jego prochy zostają przeniesione i złożone tuż obok mogiły ojca na cmentarzu na Literackich Mostkach. Żona z chłopcami wracają do Australii (do 1917 roku będą otrzymywać rentę wypłacaną z osobistych środków Aleksandra III, a potem Mikołaja II).

Mijają lata.

W 1971 roku wypływa na Nową Gwineę duży statek badawczy „Dmitrij Mendelejew". Data ani cel ekspedycji nie są przypadkowe – właśnie mija setna rocznica pierwszej wyprawy Mikłucho-Makłaja. Wyprawą kieruje **Daniił Tumarkin**, radziecki uczony, specjalista z zakresu etnografii i historii Oceanii. Po miesiącu podróży (człowiekowi z księżyca, przypomnijmy, zajęła ona dziesięć miesięcy) naukowcy są u celu. Na brzegu już zgromadził się zdziwiony, ale i zaniepokojony tłum – tubylcy nigdy wcześniej nie widzieli tak dużego statku. A tu w ich stronę zbliża się szalupa z siedmioosobową załogą.

– O ludzie, dzień dobry, jesteśmy braćmi – krzyczy w ich stronę w języku bongu, którego nauczył się z dzienników podróżnika, Daniił Tumarkin.

Nastroje tubylców zmieniają się diametralnie, a gdy dodatkowo dowiadują się, że goście przybywają z „wioski Mikłucho-Makłaja", z ochotą opowiadają o swoich zwyczajach i obrzędach.

Po siedmiu latach, gdy Gwinea uzyskuje niepodległość, radziecka naukowa ekspedycja odbywa się ponownie. Relacje z wyprawy ukazują się w formie książkowej, a nawet płyty „Rytm i muzyka Oceanii".

W Związku Radzieckim o wielkim podróżniku uczono w szkole, powstawały filmy dla dzieci i dorosłych, dokumentalne i fabularne.

Nikołaj Mikłucho-Makłaj młodszy, potomek podróżnika, dokładniej praprawnuk jego starszego brata **Siergieja**, słyszy o nim także w rodzinnym domu. I od najmłodszych lat pragnie zobaczyć Nową Gwineę (może dlatego, że urodził się 20 września, równo 102 lata po tym, jak na brzegu wyspy stanął Mikłucho-Makłaj starszy?). To marzenie nie opuszcza go nigdy, choć ma za sobą studia techniczne i lata pracy w biznesie.

W końcu w 2017 roku wyrusza na Nową Gwineę, nie sam, w grupie specjalistów. Jest z nim **Igor Czuninow**, pracownik naukowy Instytutu Etnologii i antropologii im. Mikłucho-Makłaja Rosyjskiej Akademii Nauk oraz **Arina Lebiediewa**, pracownik muzeum Antropologii i Etnografii im. Piotra Wielkiego

Chcą porównać współczesne życie Papuasów z zapiskami w dziennikach, przywrócić pamięć o podróżniku i miejscach dobrze znanych starszemu pokoleniu Rosjan z książek. Także przyczynić się do zacieśnienia więzi między obydwoma narodami.

Gdy docierają na miejsce, czeka ich niemała niespodzianka. Na brzegu zebrało się około trzech tysięcy Papuasów w tradycyjnych


Pomnik Mikłucho-Makłaja w Nowej Gwinei

strojach, nie tylko ze wsi Gerendu czy Bungu, także innych wiosek, bo zobaczyć potomka „człowieka z księżyca" chcą wszyscy. Jest i **Asel**, praprawnuk Tuja, wieloletni nauczyciel, najstarszy w dużej pięćdziesięcioosobowej rodzinie.

Gospodarze przygotowują gościom spektakl – pantomimę, scenę pierwszego spotkania Tuja z Miklucho-Makłajem starszym. Jest więc zaskoczony Tuj, który pierwszy raz widzi białego człowieka, są nadbiegający Papuasi, których Tuj zatrzymuje, jest i Mikłucho-Makłaj, grany przez swego praprawnuka, który wyciąga w stronę tubylców rękę z solą (według dzienników była to tkanina).

Papuasi do dziś używają kilku rosyjskich słów – kukuruza, arbuz, topor (było to najprawdopodobniej pierwsze narzędzie z żelaza w tej części wyspy). Swoich synów, zdarza się, nazywają Makłajami czy Nikołajami.

W tej części wyspy brak jest dróg, przemysłu, nawet elektryczności. Papuasi mieszkają w chatach budowanych na palach o wyplatanych z mat ścianach i dość płaskich dachach, które mają chronić przed silnymi wiatrami. W zasadzie tylko w nich śpią, zabezpieczając łóżka siatkami od komarów, bo malaria wciąż jest tu bardzo niebezpieczną chorobą. Gotują na zewnątrz, na ognisku, podrzucając do ognia skorupy kokosa. Nie tylko skorupy kokosa zagospodarowują, także liście, miąższ, sok i drewno z pnia.

Uprawiają bataty, pochrzyn, tapo, inne proste warzywa. Bananów nie muszą, drzewa bananowe rosną tu na dziko. Hodują kury, najbogatsi – także świnie, wszyscy bardzo lubią wieprzowinę. (Kiedy w latach chyba siedemdziesiątych delegacja Papuasów odwiedziła Moskwę, na pytanie co im się najbardziej podobało, a widzieli i Kreml, i inne wielkie atrakcje stolicy, szczerze odparli, ze świnie, które kątem oka wypatrzyli, odwiedzając wystawę osiągnięć gospodarki narodowej ZSRR).

I jest mała wieś, nazwana Makłaj, właśnie tam mieszka Asel, najstarszy w rodzinie Tuja.

Dba o pamiątkowy obelisk ku czci podróżnika (wzniesiony przez pierwszą radziecką ekspedycję), zbudował małą szkołę, która nosi imię wielkiego antropologa. W szkole nie ma ławek ani krzeseł. Jest tylko tablica, a uczniowie zamiast zeszytów mają gliniane tabliczki, na których piszą kredą.

Uczą się języka angielskiego oraz miejscowego dialektu (na Nowej Gwinei, drugiej po Grenlandii pod względem wielkości wyspie na świecie, występuje ponad osiemset języków), kultury i matematyki.

A członków ekspedycji czekała także Australia. Tu wielki podróżnik założył pierwszą stację biologiczną. Budynek przetrwał do dziś, choć wykorzystywany jest w innych celach.

Przetrwał do dziś też dom, w którym mieszkał Mikłucho-Makłaj z rodziną. W latach 80. ubiegłego wieku były plany jego wyburzenia. Obecni właściciele pisali listy i do Gorbaczowa, i do MSZ Australii i do MSZ ZSRR – w końcu osiągnęli cel. Dom dziś znajduje się pod ochroną państwa, a pobliski nieduży skwer nosi imię Maclaya.

W bibliotece w Sydney praprawnuk Mikłucho-Makłaja odkrył dokument, nadający „jego wybrzeżu" nazwę wybrzeża Maclaya, co pozwoli przywrócić tę historyczną nazwę (dziś wybrzeże to nosi nazwę Rai).

Oglądam stronę internetową Fundacji Mikłucho-Makłaja. Wyprawy nie są jedynymi formami jej działalności, nie wyczerpują ich także dokumentalne filmy. Fundacja założyła dwa ośrodki kultury rosyjskiej w Papui-Nowej Gwinei, zaprosiła z wizytą kilkuosobową grupę wykładowców politologii i socjologii z uniwersytetu w Port Moresby, urządza wystawy, konferencje, spotkania.

Rodzina Mikłucho-Makłaja nie jest jedyną rodziną wielkich podróżników rosyjskich, których następcy starają się chronić pamięć o swych wielkich przodkach. Dbają o to m.in. potomkowie **Piotra Siemionowa Tienszańskiego**, wielkiego geografa, **Aleksander Siemionow Tienszański** i **Iwana Kruzensterna** (1770-1846), rosyjskiego admirała i podróżnika, **Aleksander Kruzenstern**. Ciekawe, czy współcześnie żyjący Aleksander Kruzenstern wie, że w północno-wschodniej Polsce, w Białymstoku, znajduje się pałac zbudowany przez syna Iwana Krusensterna, Aleksandra, że dobrze w pamięci białostoczan zapisał się jego prawnuk, pochowany na prawosławnym cmentarzu na Woli w Warszawie, **Mikołaj Kawelin**? Ale to już oddzielna historia.

Alła Matreńczyk

Na podstawie filmów „Człowiek s łuny", „Acel-Tuj. Potomok Tuja", „Putieszestwie Papuasow w Rossiju", innych materiałów ze strony internetowej fundacji Nikołaja Mikłucho-Makłaja.

Zdjęcia udostępnione zostały przez Fundację Mikłucho-Makłaja **www.mikluho-maclay.ru**



Пэтро Шэпэтюк з жуонкою Анастасією в строёві свахі і мастаком з Крывэі Анатолем Кравчуком, Студзіводы, 5 мая 2012 р.

Моім нашчадком

12 лютого, в дэнь Трох Святітелей, одышов до Господа Пэтро Шэпэтюк, одін з найбуольш таленовітых люді белоруского Полесся. Патрыёт вёскі Леліково на Кобрыншчыні, аніматор культуры, оратор і поэт, пішучы на так гожым, полескім языкові свого сэла, нэподобным на іншы.

Пэтро Шэпэтюк пару разув одведав Пудляшшэ в 2012 рокові, подчас «маёвуй росы». Його вершы, промовы і усмешку добрэ запомэталі жытелі Студзівуод, Гусакуов, Храболуов, Орэхвіч, Рыболув, Ольхувкі, Масева, Наровкі і іншых месць. В госцінным домі Пэтра і **Анастасіі** Шэпэтюкув бывалі мы нэ раз – на экспэдыцыях, з «Жэмэрвою» чы семейно. Тэйі ласкі, якую нас окружалі господарые, тяжко забыті.

Родівсе Пэтро Шэпэтюк 28 серпня 1945 року в сем'е **Стэпана Александровіча** і **Катерыны Петровны Шэпэтюкув**. Охрышчоны быв в лелікувскуй цэркві св. Дымітра Солунского чэрэз о. **Андрэя Кірылюка**, а хрышчоною його стала матушка **Параскева Кірылюк**. В 1965 рокові Пэтро Шэпэтюк выехав в сібірску тайгу, дэ робів яко мернічы. Але тягнуло його додому. В 1969 рокові вэрнувсе до Лелікова, ожэнівсе з тутэйшою девчыною Насцёю і став кіровніком сельского клуба.

Разом з жуонкою, досконалою спевачкою, запісував фольклёр свого сэла. Посля почав пісаті вершы, в чым проявів свуой вэлікі талент.

Найвыдатнейшым твором Пэтра Шэпэтюка е поэма "Е про свое" (Я про свое), напісана на мові сэла Лелікова, якую мовознавцы залічают до рэліктовых тороканскіх говуорок заходнёполеского языка. Автор росказуе тут про свое дітіньство і молодосць, час колектывізацыі. Одклікуецце до сельськіх росказув і традыцыі. Свою поэму Пэтро Шэпэтюк чытав нэповторно. Нэкоторы йійі фрагменты співав, а голос мев выдатны.

Ціела поэма Пэтра Шэпэтюка "Е про свое" была надрукована в 2012 рокові в 45 нумэрові зборніка "Бельскі Гостінэць". А тут чытачам пропонуемо одін з його вершув "Моім нашчадком", таксамо напісаны на мові вёскі Леліково в 2012 рокові. Тэпэр сёй верш е особліво актуальны.

Дорофей Фіонік
фото **автора**

МОІМ НАШЧАДКОМ

Чі то думэ мої бастолковэ,
Народжонэ розума мукамэ,
Запэсанэ рідною моваю –
Будуть прочэтанэ внукамэ?
Чі останацця ў Сьвітэ мій слід,
Ек мій прах закопають ў Планету?
Якэй він цікаві, сьтой Сьвіт!
І ек мні ў ім хочіцця жэтэ...
Сьтой Сьвіт так цікаво збудованы,
І ўсё так розумно ў Ему!
Но е постоянно здываваны –
Люда з Сьвіту зробэлэ тюрму.
Роздылэлэ Планету кордонамэ,
Заковалэ ў койданэ – законэ.
Эй! Нашчадкэ мої, нызнакома!
Тілько дасять законуў е ў Сьвітэ,
Шчо Господь заповіў чоловіковэ:
Будьта ек дітя, друг друга любіта...
І храніта ў сарцэ Ліліково.
Чес пруйда і тут всё параміныцця.
Ек звалэ сьта місца – забудуть...
Но душе мое з цітым ны змірiцця
І тудэ, да ўродэўся, пріблудыть.
Пролатэть над хатамэ – руінамэ
І заплача жураўчіным голосом,
Зашумэть коло царквэ хвоіною,
За Ліліково Богу помолыцця.
За лілікуўцюў грішных, баспутных,
Шчо закон заповітны порушілэ –
Батькуўшчэну забулэ, манкуртэ.
За сьта покараюцця душэ іх.
Чоловік Богом створоны вольным,
Шчоб по Сьвітэ ходэў баз кордонуў,
Но шчоб заўждэ він помніў – да родёны,
І ўміратэ ворочаўсь додому!

7.02.2012

Niewysłuchana krzywda

Część II

Pamięci Marii Kozłowskiej z domu Adamowicz, Marii Zołotar z domu Gierasimiuk,
Kseni Popko z domu Kołodko i jej córek Walentyny i Iraidy z domu Popko,
Zinaidy Borsuk z domu Prokopowicz i Nadziei Motowickiej z domu Borsuk,
bestialsko zamordowanych w latach 1945-1946
przez członków polskiego podziemia WiN i NZW w gminie Choroszcz

Nastał czas wielkiej trwogi dla tych, którzy byli z Niemcami i liczyli na ich moc. Niemcy aresztowali wielu ludzi dzięki donosom, przyszli Sowieci – robią to samo – pisał o. **Garustowicz**. Tuż po wyzwoleniu trzej mieszkańcy Łysek, członkowie NZW, złożyli donos na sołtysa **Jana Borsuka**, oskarżając go o współpracę z Niemcami, polegającą na wysyłaniu mieszkańców wsi na roboty do Niemiec. Obowiązkiem każdego sołtysa było przygotowanie list osób nadających się do wyjazdu na roboty wg niemieckich kryteriów. Funkcja ta podczas okupacji niemieckiej była niezwykle trudna. Sołtys musiał nieustannie lawirować między wykonywaniem poleceń Niemców, co oznacza działanie na szkodę społeczności, a okłamywaniem okupanta dla dobra mieszkańców, co groziło nawet utratą życia. Niemcy, przyjeżdżając do Łysek, pierwsze kroki kierowali do sołtysa. Jan ich ugaszczał i upijał, aby nie węszyli po wiosce – mieszkańcy odbierali to różnie. Jan Borsuk, aresztowany przez NKWD i skazany na 15 lat, trafił do obozu w Ostaszkowie.

Sprawiedliwości szukały rodziny wydanych i zamordowanych komunistów z Rogowa i Ruszczan. Córka wydanego gestapo **Andrzeja Kozłowskiego**, **Lucyna**, przekazała urzędowi bezpieczeństwa pamiętnik ojca, w którym notował ważniejsze wydarzenia we wsi i okolicy. Lucyna napisała o okolicznościach aresztowania i rozstrzelania ojca i prześladowaniach rodziny po jego śmierci. **Eugenia Kozłowska**, żona jednego z komunistów, również napisała podanie, w którym wyjaśniła, jak doszło do wydania gestapo jej męża w Ruszczanach. Obie ujawniły rolę **Stanisława Bobrowskiego**, **Aleksandra Zagórskiego** i **Piotra Grzybki**.

28 września 1944 roku Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa aresztował Piotra Grzybkę. Zarzucono mu *...współpracę z tajną policją niemiecką, branie udziału podczas aresztów, składowanie broni, łączność z Al. Zagórskim i St. Bobrowskim*. Przesłuchiwany do niczego się nie przyznał. 25 stycznia 1945 roku służba więzienna wysłała go pod opieką konwojenta do lasu po materiał na miotły... i tyle go widzieli.

Podobne zarzuty otrzymał, aresztowany 30 września 1944 roku, Aleksander Zagórski. Wielokrotnie przesłuchiwany przez śledczych, oskarżył Stanisława Bobrowskiego o wydanie rogowskich komunistów. Również Zagórskiemu udało się uciec z więzienia w maju 1945 roku. Tylko Stanisław Bobrowski zaliczył dwa procesy sądowe. W oskarżeniu napisano: *Idąc na rękę władzy państwa niemieckiego w 1941 roku w Choroszczy wskazał na kilkanaście osób jako na osoby pracujące w latach 1939-1941 we władzach radzieckich, na skutek czego aresztowano je i rozstrzelano.*

Śledztwo nie potwierdziło zarzutów – pisze **Henryk Zdanowicz**. *– Świadkowie wskazywali przede wszystkim na Stefana Zinówko jako tego, który obciążył swoimi zeznaniami osoby rozstrzelane. Sprawę umorzono*. Tylko czy to **Stefan Zinówko** dostarczył Niemcom listę komunistów i czy to on zorganizował „spotkanie z gestapo” pod pretekstem remontu mostu? Trafnie skomentował zachowanie wuja po procesie jego bratanek, **Adam Bobrowski**: *...w 1945 roku Stach stąd wyjechał. Czuł, że tu jest spalony*. A wyjechał do Gdańska, gdzie objął posadę w Stoczni Gdańskiej. Tu, do dyrektora Bobrowskiego, przybywali uciekający żołnierze podziemia, którym pomagał „zniknąć”. W 1947 roku Stanisław Bobrowski przyjechał do Choroszczy i *...został aresztowany na tej samej podstawie prawnej. Puścili go dlatego, bo dużo podpisów zebrali, szczególnie ksiądz, że on był w AK, to go wypuścili. Nawet prawosławni z Choroszczy dali oświadczenia, że przyszedł do okna, zastukał i powiedział, żeby uciekać, bo gestapo aresztuje – to jego wyratowało* – wyjaśnił bratanek, Adam Bobrowski.

Czy na powyższych wydarzeniach skończyłyby się antagonizmy polsko-białoruskie, a życie powoli wróciło na właściwe tory? Być może, gdyby 9 września 1944 roku nie podpisano porozumienia, które doprowadziło do wielkiej traumy prawosławnych Białorusinów. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) z Radą Komisarzy Ludowych Białoruskiej SRR uwikłali tutejszych prawosławnych Białorusinów w wymianę narodowościową. Strona polska oczekiwała, że Białorusini wyjadą do ZSRR, a ich gospodarstwa

przejmą repatrianci polscy. Strona białoruska liczyła na to, że polscy Białorusini zasiedlą chociaż część z 627 zamordowanych i spalonych przez Niemców wsi, a także, opustoszałych po eksterminacji Żydów, miast na Białorusi. Oczywiście, jak zaznaczyły strony porozumienia, będzie to możliwe, *jeśli Białorusini wyrażą chęć ewakuowania się, przymusu nie należy stosować ani bezpośrednio, ani pośrednio*. Obu stronom zależało na szybkiej realizacji przedsięwzięcia. Strona sowiecka uruchomiła ogromny aparat propagandowy, agitatorzy dotarli do każdego domu i przekonywali prawosławnych do wyjazdu. Większość nie miała zamiaru wyjeżdżać, pozostawiać dorobku przodków, rozstać się z krewnymi, kuzynami, porzucać grobów i ojczyzny, tym bardziej że „po cichu" była powstrzymywana przez kwaterujących tu oficerów sowieckich. Do domu Michalskich w Ruszczanach *…przychodził oficer sowiecki, Gruzin. W cywilu mógł być duchownym, bo pod mundurem nosił krzyż, znał modlitwy. Przekonywał rodziców, aby nie opuszczali gospodarstwa i nie wierzyli agitatorom*.

Późną jesienią 1944 roku było już wiadomo, że realizację „ewakuacji" Białorusinów należy rozciągnąć w czasie. Wkrótce do akcji włączy się zbrojne podziemie. Jak pisze **Marcin Zaremba** w „Wielkiej trwodze" *...motywację ideologiczną stanowiło przedwojenne, endeckie hasło „Polska dla Polaków", którego spełnienie wydawało się nakazem chwili dla ultrapatriotycznych żołnierzy podziemia. Ludność białoruska będzie więc straszona, bita, rabowana …* i zabijana, i zmuszana do wyjazdu.

W styczniu 1945 roku, gdy rozwiązano Armię Krajową, komendant białostockiego okręgu **Władysław Liniarski** rozkazu nie podpisał. Na strukturach AK utworzono tzw. Armię Krajową Obywatelską, a 9 września 1945 roku powołano Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość" (WiN). Część miejscowych członków AK przeszła do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW) – głównie do 3 Brygady Wileńskiej, dowodzonej przez „Burego", jeszcze inni znaleźli się w oddziałach tej samej organizacji, dowodzonych przez **Henryka Sikorskiego** „Gryfa" i **Stanisława Babińskiego** „Ognia", operujących przede wszystkim w powiecie wysokomazowieckim. W gminie Choroszcz (wówczas Barszczewo) powstała IV kompania NZW, jej oddziałem likwidacyjnym kierował, m.in. **Władysław Sochor**, ps. „Groch". Miejscowi członkowie NZW już wczesną wiosną rozpoczęli, tzw. akcję ulotkową: *... nakazując prawosławnym wyjazd do ZSRR. Wieszano na płotach plakaty z ręką pokazującą na wschód: „Gdzie brat twój tam i ty". Zarządzenie. Białorusini na Wschód! – do Rosji do dnia ... opuścić ziemie polskie*. *Niewykonanie zarządzenia – skutki jak wiecie*. Akcję ulotkową prowadzano konsekwentnie do końca 1946 roku. Najpierw z gminy Barszczewo wyjechało kilka rodzin, większość ignorowała „zarządzenia", toteż podziemie rozpoczęło terror – rabunki, kontrybucje, poniżanie, bicie, a w końcu zabójstwa. Szczególnie uciążliwe były kontrybucje, które nakładano na wsie lub pobierano bezpośrednio od gospodarzy: *...no, a jak mieliśmy broń to poszliśmy do Ruszczan, do prawosławnych, bo potrzebowaliśmy pieniędzy; ...potem, jak zrobiliśmy tych sołtysów, to poszliśmy do Ruszczan, sołtys zrobił nam listę, to braliśmy po 200 zł od każdego hektara* – wspominał Adam Bobrowski. **Andrzej Drozdowski** z NZW opowiedział, że w kwietniu 1946 roku patrol NZW: *...pod dowództwem Józefa Gogola we wsi Czaplino zabrał od Grzyba 10 tys. złotych, a od sołtysa Zaczerlan 5 tys. złotych*. Majętnych gospodarzy okradano wielokrotnie. *A jak ktoś z naszych sprzedał świniaka, krowę czy konia, to już na drugi dzień przyszli i zabrali pieniądze* – wspominał mieszkaniec Zawad **Mikołaj Siergiejew**. Mężczyźni, aby uniknąć bicia lub rozstrzelania, chowali się na noc w zmyślnie urządzonych kryjówkach – spali w wydrążonych pod zabudowaniami ziemiankach lub u katolickich krewnych. Latem było łatwiej, zasypiano w zbożu, w ziemniakach, w głębszych bruzdach. W Porosłach niemal każdy dom prawosławny posiadał zawieszoną na strychu łuskę po pocisku, w którą uderzano metalowym prętem, gdy pojawiali się podziemni. *Ojciec nakazał mi biec na strych i walić w łuskę, gdy bandyci przyszli po mój rower* – opowiadziała pani **Irena** z Porosłów, wówczas 12-letnia dziewczynka.

Wsie prawosławne były także źródłem zaopatrzenia podziemia w żywność, przecież *...cały czas żyliśmy na łaskawym chlebie* – żalił się **Antoni Iwaszczuk** ps. „Zając" (WiN) – *a te kilka świniaków, które zresztą braliśmy od tych, co za władzą ludową gardłowali, to porozdzielaliśmy po naszych punktach, żeby było co zjeść*.

„Podziemni" apelowali: Do Panów Milicjantów z Choroszczy. *W związku z waszym postępowaniem i zachowaniem się w terenie do ludności polskiej zarządzam co następuje: Polecam: 1. Zaprzestać wszelkiej rekwizyty jak świń itp. u ludności polskiej 2. Nie wgłębiać się i nie interesować się terenem w sprawach politycznych. 3. Być lojalnym wobec ludności polskiej. Niezastosowanie się do wyżej wymienionego polecenia będę karał śmiercią tam gdzie napotkam i w miejscu pobytu. Czas zemsty i klęski czerwonego tyrana nadchodzi. Precz z okupacją czerwoną. Jutrzenka wolności już bliska. K.W.P. /-/ V 16 B.B.*

Część urzędników administracji państwowej, funkcjonariuszy MO i UB, współpracowała z podziemiem, na bieżąco informując o planowanych działaniach. *Jako że w powiatówce mieliśmy wtyczkę, to wiedzieliśmy kto pisał donosy,*

kto był u nas konfidentem i jaki miał numer – ujawnił **Antoni Iwaszczuk** ps. „Zając". *To tylko w naszej wsi (Kruszewo) w 1946 roku zlikwidowaliśmy pięciu takich chętnych do współpracy. W Topilcu czterech współpracowników UB, a z Zaczerlan to nie przypominam.* O współpracy z administracją i z MO opowiedział też **Władysław Sochor**, ps. „Groch", dowódca oddziału likwidacyjnego NZW. Jak: *...zbieraliśmy podatki, to w gminie w Barszczewie akta wszystkie spaliliśmy. Sekretarzem jej był Kazieka i dla nas dawał znać. Byliśmy umówione, kiedy forsa będzie i poszliśmy i popaliliśmy te akta.* W urzędzie gminy: *...w Barszczewie mieliśmy takiego jednego z AK i współpraca z milicją w Choroszczy była. Przyszedł do mnie szwagier tego milicjanta i przyniósł wszystkie akta i w ten sposób w nasze ręce dostały się spisy wszystkich ormowców i konfidentów*.

Podziemie terroryzowało osoby przychylne nowej władzy; krewnych i kolegów, którzy dużo wiedzieli o podziemiu, a nie chcieli wstąpić do organizacji, nie chcieli zabijać i kraść. Kara śmierci czekała na tych, którzy pisali skargi, błagali o zaprowadzenie spokoju, niejednokrotnie ujawniali osoby i kryjówki: *...to już UB wie, już przyjeżdżają. Trzeba było walić w łeb i koniec* – wspomniał Adam Bobrowski, ps „Karaś" z NZW. Podziemni obawiali się najbardziej rodzin urzędników i pracowników sowieckich, których wydano gestapo w 1941/1942 roku. I tak:

• 17 kwietnia 1945 roku zamordowano we wsi Rogowo rodziców **Andrzeja**, **Zofii** i **Mikołaja**, wydanych gestapo w 1941 roku, małżeństwo **Kozłowskich**, **Jana** s. **Andrzeja** i **Marię** c. **Teodora** z domu **Adamowicz**.

• 24 czerwca 1945 roku podziemni zastrzelili w zbożu, powracającego do domu w Ruszczanach, 27-letniego prawosławnego kawalera **Eugeniusza Kozłowskiego**, ur. w 1918 roku s. **Wincentego** i **Adeli** z d. **Grynasz** – powiązanego rodzinnie z członkami podziemia.

• 26 czerwca 1945 roku uprowadzili z domu w Barszczewie **Teodora Bacharewicza**, ur. w 1900 roku, s. **Konstantego** i **Paraskiewy** z d. **Wierbickiej**, ojca czwórki nastoletnich dzieci. Teodor nie krył niechęci do podziemia, krytykował rabunki, kontrybucje, odgrażał się. Zamordowano go w bestialski sposób, wykłuto mu oczy, wycięto język. Sprawcy pozostali nieznani. Żona z dziećmi wyjechała do ZSRR.

• 15 sierpnia 1945 roku z domu w Kościukach uprowadzili 41-letnią **Marię Zołotar**, ur. w 1904 roku w Porosłach, z d. Gierasimiuk, c. **Piotra** i **Anny** z d. **Dziakowskiej**. Mąż **Mikołaj** i syn **Włodzimierz**, na skutek donosu, zostali aresztowani i rozstrzelani przez Niemców. Drugi syn, **Eugeniusz**, zginął walcząc na froncie. Gospodarstwo zostało doszczętnie zrabowane – zabrano wóz, konia, uprząż, wieprza i wszelką garderobę. W napadzie uczestniczył oddział dywersyjny pod dowództwem Piotra Grzybki ps. „Młot" i nieznana liczba członków NZW z Rzędzian pod dowództwem **Piotra Rzędziana**. Jak zeznał **Michał Turowski**, Marię zamordowano w nieludzki sposób. Była to okrutna zemsta za jej udział i zeznania jesienią 1944 roku przeciwko Aleksandrowi Zagórskiemu ps. „Kabel", który napisał donos do gestapo na jej męża i syna. To właśnie Zagórski, jak zeznali koledzy, dobił z pistoletu skatowaną Marię.

W napadzie uczestniczyli Piotr Grzybko – dowódca, Michał Turowski „Gołąb", **Mieczysław Turowski** „Plichta", **Andrzej Grynasz** „Kubek", **Andrzej Łuszyński** „Pocisk", **Jan Bołtruczyk** „Kruk", **Franciszek Sakowicz** „Żbik", **Eugeniusz Reduta** „Żużel", **Kazimierz Popko** „Dębina", **Franciszek Trypuz** „Słowik", Antoni Iwaszczuk „Zając" i Aleksander Zagórski „Kabel". (Kazimierz Popko na przesłuchaniu podał jako dowodzącego akcją **Antoniego Lebiedzińskiego**, ps. „Tom", nie wymienił Piotra Grzybki).

• 25 sierpnia 1945 roku 20-osobowy oddział w mundurach Wojska Polskiego pod dowództwem Piotra Grzybki ps. „Młot", z udziałem patrolu NZW dowodzonego przez Lenczewskiego (Stefana) ps. „Trzask" i Piotra Rzędziana z Rzędzian podzielił się i okrążył jednocześnie dwa gospodarstwa znajdujące się na kol. Kościuki w odległości stu metrów od siebie.

W gospodarstwie Zagórskich zamordowano jego właścicieli, małżeństwo **Józefa** i **Marię** z Łotowskich Zagórskich, a także przebywających z wizytą krewnych, siostrę Marii – **Martę** z Łotowskich **Rymarską** i **Mieczysława Łotowskiego**, dziewiętnastoletniego studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dom i gospodarstwo Zagórskich zostało doszczętnie zrabowane. Zabrano wóz i konia z uprzężą oraz wszelką garderobę, a budynki podpalono.

W gospodarstwie **Michała** i **Kseni Popko** „żołnierze" mieli zamordować Michała, ale ten zdążył ukryć się pod stodołą, w wydrążonej kryjówce. Gdy poszukiwania gospodarza nie dały rezultatu, gospodarstwo zostało zrabowane, m.in. zabrano konia, uprząż i wóz, a także narzędzia. Do domu Popków weszli Piotr Grzybko, Franciszek Sakowicz, Andrzej Grynasz, Andrzej Łuszyński i ktoś z NZW. Nakazali rozebrać się żonie Michała, Kseni i dwóm córkom, 20-letniej **Walentynie** i 18-letniej **Iraidzie**. Najmłodszej, 10-letniej **Ludmile**, polecili wyjść z domu. Po jakimś czasie oprawcy zastrzelili kobiety. Do stodoły wrzucili granat i, jak zeznali niektórzy z nich, podpalili dom. Oczekiwali, że Michał wyjdzie z płonących zabudowań. Ale ten wytrwał do ostatniej chwili, aż stodoła zaczęła się zapadać. Gdy wyszedł, „żołnierzy" już nie było. W pogorzelisku domu Michał odnalazł zwęglone ciała żony i dwóch córek. W obawie o własne życie ludzie zaczęli zapisywać

się na wyjazd na Białoruś. Michał Popko wyjechał z córką Ludmiłą prawie natychmiast. Wkrótce dołączyła do ojca i siostry najstarsza z córek, **Halina**, która powróciła z przymusowych robót w Niemczech. Powodem zabicia obu rodzin, według Mieczysława Turowskiego ps. „Plichta", uczestnika zbrodni: *to z rozkazu Piotra Grzybko terroryzowaliśmy przeważnie podejrzanych o sympatie do obecnego rządu i ludność białoruską, zmuszając ją do wyjazdu do ZSRR, jak np. ze wsi Ferma (Topilec), z kol. Kościuki i wsi Kościuki i innych*. „Młot" i „Trzask" mówili, że *Popkowie byli wrogo ustosunkowani do naszych organizacji podziemnych*.

• 18 września 1945 roku w Ruszczanach oddział **Henryka Sikorskiego** „Gryfa" zamordował **Aleksandra Lesiuka** s. Stefana, ur. w 1904 roku. Prawdopodobnie należał do PPR. Często wykorzystywano podziemnych z innych terenów w zamian za podobną przysługę.

• 14 października 1945 roku zabito **Terencjusza Leszczuka**, psalmistę cerkwi w Topilcu, który zamieszkiwał z żoną **Anastazją** i córkami, **Ziną** i **Marią** w Zaczerlanach w domu Arkadiusza Reduty. Syn Reduty, Michał, z dwoma krewniakami – **Aleksandrem** i **Janem Abramowiczami** – przechowywali broń. Podziemni z NZW i i kilku członków WiN postanowili ją odebrać. **Andrzej Drozdowski** ps. „Czmura", „Grad" z Rogówka, który otrzymał rozkaz zaprowadzenia oddziału **Stanisława Babińskiego** ps. „Ogień" o 22:00 do Zaczerlan wspominał: *...„Ogień" kazał otoczyć jakiś dom i potem krzyknął, żeby oddali broń. To oni zamiast wydać broń, zaczęli bez okno strzelać do nas. Stałem na szosie i słyszałem jak „Ogień" powiedział: Takie wy mądre? To macie 10 minut czasu. Kobiety i dzieci niech uciekają. Tylko kobiety i dzieci*. Z domu wybiegły Anastazja z córką Marią. *A te dalej strzelajo. No to „Ogień" powiedział: Dajcie granaty i wrzucili je do kuchni bez okno* (wówczas runęła jedna ze ścian). *Dom zaczął się palić i wtedy prawdopodobnie zaczęli uciekać przez dym z bronio. To podobno dwóch mieli tam być zabite. Tak opisane było. Ja to tych ludzi nie widział i nie widział kto do nich strzelał, bo jak zaczęło się palić to ja już odeszed i wtedy usłyszałem cekaemy z Choroszczy, gdzie Sowiety stali. Zaczęli strzelać, jak zobaczyli łunę płonącego domu. To ja już prędzej, aby do domu. A może rychtyk Sowiety zaryzykujo po nocy – pomyślałem sobie*. Zabito wówczas Terencjusza Leszczuka, a jego córkę ciężko raniono. Zmarła po dwóch latach cierpień.

• W październiku 1945 roku oddział dywersyjny WiN udał się furmanką do Zaczerlan i napadł na dom **Jana Koniucha**. „Żołnierze" *...zrabowali parę kożuchów, jednego wieprza i parę skór* – zeznała większość uczestników napadu – *wszystkie te rzeczy załadowaliśmy na furmankę, zabierając tegoż gospodarza. Po przyjeździe do lasu koło kolonii Rogowo, wspomniany, którego obrabowaliśmy, został rozstrzelany przez Piotra Grzybko, „Kruka" i jeszcze jednego członka bandy. Po egzekucji przysypaliśmy go żwirem i udaliśmy się do Turowskich, gdzie podzieliliśmy się zrabowanymi rzeczami, a wieprz był dostarczony do Łuszyńskiego i tam członkowie naszej bandy go jedli. Poza tym brałem jeszcze udział w jednym napadzie terrorystycznym w zimie 1946 roku na kolonię Śliwno i wieś Kruszewo. Podczas tych napadów, których ogólnie w tym dniu było 6 na poszczególnych gospodarzy, których nazwisk nie znam, wymierzono im chłostę, natomiast rabunku żadnego nie przeprowadzano*.

• Jeszcze w tym samym miesiącu 1945 roku oddział WiN pod dowództwem Piotra Grzybko udał się na kol. Kościuki i napadł na dom **Władysława Popki**, gdzie *...zrabowaliśmy 3 owce i zapowiedzieliśmy im wyjazd do ZSRR, przy tym została dotkliwie pobita matka Władysława Popki, za to, że nie chciała powiedzieć, gdzie jest Popko. Po tym napadzie Popko Władysław wyjechał, ponieważ był narodowości białoruskiej* – zeznał jeden z uczestników napadu, **Kazimierz Popko** ps. „Dębina" z Kościuk. Podał też uczestników napadu: Grzybko Piotr – dowodzący, Turowski Michał, Łuszyński Andrzej, Grynasz Andrzej, Bołtruczyk Jan, Sakowicz Franciszek, Reduta Eugeniusz i Kazimierz Popko.

Jesienią 1945 roku wsie Czaplino i Barszczewo opuścili już prawie wszyscy prawosławni. Do 1 listopada 1945 roku według danych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (dalej PUR), w gminie Barszczewo przejęto 44 gospodarstwa. W listopadzie 1945 roku – 35 gospodarstw pobiałoruskich, w grudniu 1945 roku 4 gospodarstwa, a w styczniu 1946 roku tylko 2 gospodarstwa. *Największą bolączką był wzmożony dopływ repatriantów ze Wschodu i brak gospodarstw pobiałoruskich nadających się do osiedlenia* – pisano w styczniu w 1946 roku sprawozdaniu PUR.

• W styczniu 1946 roku wyklęci napadli na Fermę-Topilec, gdzie zabrali *...wieprza ze 150 kg, miód, wino, kożuchy, wełnę i inne drobne rzeczy jak ubrania i płótno* – zeznawała większość uczestników. – *Na wieś Fermę, jakieś dwa tygodnie później, dokonaliśmy zbrojnego napadu po raz drugi, gdzie zrabowaliśmy wieprza i ubrania. Udział w tym napadzie brali ci sami, co w pierwszym napadzie. Braliśmy udział w wielu innych napadach na wieś Barszczewo i Kościuki, gdzie terroryzowaliśmy ludzi podejrzanych o sympatie do obecnego rządu. Z rozkazu Piotra Grzybko ps. Młot terroryzowaliśmy przeważnie ludność białoruską, zmuszając do wyjazdu do ZSSR*.

• 6 lutego 1946 roku na zabawie weselnej w Barszczewie żołnierz NZW postrzelił śmiertelnie mieszkańca kol. Barszczewo, 23-letniego **Piotra Sienkiewicza**. A było tak.

Na posesję weszli dwaj podziemni. Kapela nie grała, więc część weselników była za zewnątrz. Piotr rozmawiał z koleżanką ze wsi, jedną z panien Bacharewiczówien. Pierwszy, uzbrojony w karabin, ruszył do przodu, drugi podszedł do Piotra i przyciszonym, ostrzegawczym tonem powiedział: *Uciekaj, bo chcą ciebie zastrzelić!* Piotr, niewiele myśląc, rzucił się do ucieczki, a ten pierwszy, uzbrojony, tylko na to czekał, puścił za nim serię z automatu. Piotr umierał kilka dni. Został podstępnie zabity, ponieważ odmówił wstąpienia do „organizacji" – nie chciał zabijać i okradać ludzi, a wiedział dużo o działalności podziemia z powodu pokrewieństwa i koleżeństwa z niektórymi jej członkami.

• 13 lutego 1946 roku wieczorem, wieś Topilec otoczył oddział „Młota", wspomagany przez sześcioosobowy patrol NZW z Gajownik. Żołnierze zrabowali 7 wieprzy i zamordowali trzech mieszkańców wsi: **Stefana Abramowicza** (s. Józefa, ur. w 1894 r.), **Mikołaja Wasilewskiego** (s. Stefana, ur. w 1885 r.) i **Mikołaja Leszczuka** (s. Aleksandra, ur. w 1928 r.) zamiast brata **Leona**. Mikołaj Wasilewski został wyprowadzony na ulicę, potem dołączono Stefana Abramowicza i Mikołaja Leszczuka. *Egzekucje odbywały się pojedynczo, na ulicy. Noc była mroźna i widna, a we wsi wybili szyby w oknach. Te trzy morderstwa sprawiły następnie, że większość mieszkańców wyjechała w najbliższym czasie. Mieszkańcy usłyszeli wyraźny komunikat, że w ciągu 2 tygodni ma ich tu już nie być* – pisze Henryk Zdanowicz.

Był też inny sposób, aby uniknąć wyjazdu na Białoruś. Swoją krucjatę prowadził tutejszy proboszcz. Jak wyraził się Antoni Iwaszczuk ps. „Zając": *...bo kto na wiarę katolicką przeszedł, to mógł zostać.* Należało zatem pójść do ks. **Franciszka Pieściuka** i zadeklarować przyjęcie katolicyzmu. Niemało rodzin prawosławnych tak uczyniło. W latach pięćdziesiątych część z nich powróciła do prawosławia, inni pozostali przy katolicyzmie.

W styczniu 1946 roku szefem wywiadu IV kompanii NZW mianowano **Józefa Konopkę** ps. „Bąk" z Rogówka. Pierwszy meldunek, który sporządził, dotyczył syna i synowej Jana Borsuka z Łysek (wówczas, przypomnijmy, więźnia Ostaszkowa). Andrzej Drozdowski ps. „Grad" z NZW w swoich wspomnieniach wyjaśnił: *...Jak wynika z dowodu rzeczowego – kartki pisanej przez Konopkę, [którym był] meldunek o konieczności zlikwidowania Borsuków podpisał Józef Wróbel ps. „Leśny" z Łysek.* Najprawdopodobniej Konopko i Wróbel otrzymali polecenie stworzenia takiego meldunku.

• Późnym wieczorem 26 lutego 1946 roku do domu Jana i Zinaidy Borsuków w Łyskach weszła grupa mężczyzn z I kompanii NZW, dowodzona przez **Józefa Staronowicza** ps. „Piast" z Pogorzałek. Akcję wspomagał patrol miejscowej IV kompanii NZW – łącznie około trzydziestu osób. W domu, oprócz Jana i Zinaidy Borsuków i trójki ich dzieci, była siostra Jana, **Nadzieja Motowicka** z córką, które zamieszkały w Łyskach latem 1939 roku po zmobilizowaniu jej męża, **Pawła Motowickiego**, do Wojska Polskiego. Od sześciu lat jego los nie był znany. W domu była też babcia Jana i Nadziei, **Zofia Borsuk** z d. Wasilewska i parobek. Zinaida po głosie rozpoznała Józefa Wróbla z Łysek i przekonana, że to kolejny rabunek, powiedziała: *...Józek, my już nic nie mamy. Wszystko nam zabraliście!* Wówczas jeden z wyklętych chwycił za włosy trzyletnią **Raisę** z rąk ojca i rzucił nią o kaflowy piec, a drugi strzelił Janowi w głowę. Dzieci przeraźliwie płakały, a babcia podkładała Janowi poduszki pod głowę, z której nieustannie płynęła krew. Zinie i Nadziei polecono wyjść z domu, zaprząc konie i załadować sianem dwie fury. Część „żołnierzy" okradała w tym czasie dom. Kobiety odnaleziono następnego dnia w stodole, były martwe i przykryte sianem. Zinaida była w zaawansowanej ciąży, Nadzieję zgwałcono. Zmarły od wielu strzałów w piersi.

W kwietniu 1946 roku z Łysek wyjechało siedem prawosławnych rodzin.

Wiele lat po wojnie do Łysek wybrał się ojciec Eugeniusza Wasilewskiego z Sienkiewicz w odwiedziny do chorego krewnego i przyjaciela. Krewny, przeczuwając kres życia, powierzył mu tajemnicę, którą nosił w sercu.

– Muszę ci coś wyznać. To przeze mnie zginęli młodzi Borsukowie.

– Jak to przez ciebie?

– Tak! Zaraz po Nowym Roku w 46 poszedłem do Pieściuka, aby przyjął moją rodzinę do Kościoła, (rzymskokatolickiego), gdyż znowu wetknęli nam kartki. Ks. Pieściuk zapytał, ile rodzin prawosławnych jest w Łyskach, a gdy powiedziałem, że dziesięć, polecił napisać prośbę o przyjęcie wyznania rzymskokatolickiego i zebrać podpisy od wszystkich rodzin prawosławnych. „Proszę księdza – powiedziałem - Borsukowie jej nie podpiszą, a jak oni nie podpiszą, to nikt nie podpisze!". I zaraz ich zabili.

– I ty myślisz, że to twoja wina?!

– Tak. Gdybym ....

– Nie! To nie twoja wina. Nie ty kazałeś ich zabić i nie ty do nich strzelałeś!

To tylko cząstka niewysłuchanych krzywd, których doświadczali tutaj wszyscy, którzy marzyli o spokoju, zmęczeni latami okupacji, tęskniący za normalnością bez lęku i trwogi. (**cdn)**

Halina Surynowicz

W publikacji korzystano z zasobów Archiwum Diecezji Białostocko-Gdańskiej, Archiwum Państwowego i Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, Ośrodka Karta-Archiwum Wschodnie, ze „Wspomnień z czasów wojny" o. Wł. Garustowicza, z publikacji zamieszczonych na stronie internetowej Stowarzyszenia Pamięć i Tożsamość „Skała", literatury przedmiotu i relacji.



Огульны выгляд могілок в Павлінові
Могіла Лідыі Шульц (1884-1896) – пэршэ поховане на павлінозскіх могілках

Могілкі в Павлінові

Одны з наймэншых могілок на всходнім Пудляшу находяцце в Павлінові. Вёска ліжыт на подукруглуй выспі, сэрэд шырокуй доліны Нурца, впісануй в обшар Натура 2000. Павлінозскі могілкі е однымі з цікавейшых на тэрэні Орленскуй гміны. Тому жытелі вёскі, в якуой нэ буольш за 20 домуов, гоноракцце імі.

До другуй половіны XIX в. вёска мела назву Круглэ і належала до маёнтку Завадскіх. Од іх закупів тут зэмлю колежскі асэсор **Эдуард Георг Альбэрт Шульц**, которы быв в той час Бельскім леснічым. Седзіба обшырного лесніцтва находіласе в Голодах, а Круглэ сталося для Шульца месцём летнёго одпочынку. Тут збудовав нэвэлікі двуор і заложыв парк.

Эдуард Шульц быв сыном лютэранского пастора з Мітавы на Лотві. Ёго жуонка **Катерына з Шэнэбэргув**, дочка хірурга з Лесніцтва Гайновка, была православною. В новым дворові в Круглым-Павлінові сем'я Шульцув почала жыті в 1896 рокові.



Тогды жэ умэрла 13-летня іх дочка **Лідыя**. Поховалі еі, яко пэршу, на новозаложоных могілках. Інформуе нас про сіетэ мэтрыка цэркві в Вульці Выгоновскуй.

Два ліета пузней умэр сам леснік Эдуард Шульц. Поховалі ёго пры дочціе, коло муровануй часовні, котору фундовав. Быв вуон лютэраніном, тому інформацыі про поховане нэ знайдэмо в цэрковных мэтрыках. Е там за тое запіс з 3 мая 1901 року про смэрть ёго жуонкі Катерыны Шульц. Мела 60 ліет і была похована коло мужа. В мэтрыці однотовалі, што была „дворянкой именья Кругле", але як месце дэ жыла, запісанэ Павліново.

До I вуйны, в цэрковных мэтрыках, вёску целы час запісувалі Круглым. Вжэ в половіні XIX в. звычаёво называлі еі Павліновом, а то од імені **Пауліны Завадскуй**. Але нэ з ею трэба звэзуваті тэпэрышню назву вёскі, а з **Пауліною Шульц**, котора была мамою леснічого Эдуарда, а таксамо з іменем ёго сына **Павла Шульца**, которы умэр міевшы 10 ліет. Брат Павла **Пётр Шульц** в 1925 рокові выстаравсе, коб сэло называлосе офіцыйно Павліновом. А Круглым осталася далей тэпэрышня вёска з такою жэ назвою, дэ раней находілісе тры маёнткі.

На могілках в Павлінові нашлі вечны спочын і іншы прэдставнікі роду Шульцув, як православны, так і лютэраны. Над надгробнымі іх помнікамі з кунця XIX і XX веку домінуе мурована часовня. В сэрэдіні знайдэмо камэнну таблїцю в память Пауліны Шульц, матэры леснічого. Найновшы могілы того роду належат до **Кірыла Петровіча Шульца** – учоного-электроніка з Вроцлава, которого поховалі тут в 1988 рокові і ёго брата **Георгія Петровіча Шульца**, професора др мэдыцыны з Варшавы, которы умэр в 1996 рокові. Георгій Шульц нэ туолькі лечыв;



Выгляд часовні на могілках в Павлінові

вынайшов таксамо луожко для пацыентув, которы вымагают довгого лежачого лечэння. На могілках в Павлінові е таксамо могіла інжынера электрыка **Александра Кірыловіча Шульца**, которы умэр в 2007 рокові.

Могілкі в Павлінові належат до прыхода в Вульці Выгоновскуй. Могілы святят тут два разы в рокові: в Нэделю Жон Міроносіц і в остатню нэделю вэрэсня. Найбуольш тут похованых люді со старых павліновскіх родув – **Піцэлюкув**, **Охрымюкув**, **Лушчыньскіх**, а особліво Гольцув, для которых Павліново было родовым гніздом. Панны Гольчанкі, крыглыя на тварові, гожы блондінкі з сінімі очыма, напэвно звэрнулі увагу нэ одного каваліера з околіці. За тое павліновскі кавалеры нэ охуотно гліделі на чужых і староліся брати дівчат в своюй вёсці. Тому на могілках знайдэмо туолько штыры фаміліі нэ павліновскі.

В 1846 рокові в Круглым-Павлінові прожывалі сем'і **Міколая Піцэлюка**, **Якона Огрынюка**, **Павла Лушчыньского**, а таксамо **Андрэя** і **Карпа Гольцув**. Такіе фаміліі як: Толочко, Ігнатюк, Романюк і Хмур, появілісе тут пузней.

Фамілія Толочко прыбыла тут з суседнюй вёскі Чохі, а Ігнатюк хіба з Дідюль. Назвіско Романюк прывэндровало з Полічнуй в парафіі Вэрсток, разом з **Гарасімом Кірыловічом Романюком**, которы 11 лютого 1907 рокові ожэнівсе з **Зіновёю Семёновной Голец**. Фамілія Хмур прышла тут з нэдалекіх Молочкув, посля шлюбу 9 мая 1904 р. **Карпа Андрэевіча Хмура** з **Пелагіёю Ігнатьевной Головчук**.

На павліновскіх могілках особлівуй увагі заслуговуе могіла **Ніны Піцэлюк**. Такеі смэрті, якая еі споткала, ніхто нэ прэдбачыв навэт в найчорнейшых снах. Ніна мела 31 ліет, колі 30 вересня 1969 року копала з семёю картофлі на полю. Аж тут нэсподевано, над самою зэмлёю, пролетев вертолёт. Все кінуліся на зэмлю, а Ніна стояла як камэнь. Была забіта крыламі вертолёта. Сіротамі осталосе двое еі діті.

В Павлінові е шчэ тры крыжы, которы стоят по-за могілкамі. Пэршы з іх мурованы, прошчальны, на кунцёві вёскі, од стороны могілок. Другі – дэрэвяны, стоіт на крыжуовці старэі дорогі з фольварку Круглэ і дорогі Чохі-Павліново. Трэті, мурованы крыж, е в доліні Нурця, в урочыску Вахново (Ваганово?). В сюм месцю 25 чэрвеня 1953 року трагічно згінув 23-летні хлопэць **Васіль Бондарук** з Чохуов Орленскіх. Разом з батькамі прыехав сюды на сінокосы і хотіев выкупатісе в Нурцёві. Со здрадлівуй, вірлівуй воды нэ удалосе ёму вжэ выйті.

Шануймо прыдорожны крыжые і старые помнікі на могілках. Павліновскіе могілкі, разом з часовнёю, былі в 1999 рокові впісаны в рэестр помнікув культуры.

Іван Мінкевіч
фото **Івана Троца**
і **з архіва Богумілы Олех**

Ach, uszli ż mojie lieta…

Tuolko szto proczytała na facebookowi, że **Jerzy Kalina** wydaw płytu „Pieśni pogrzebowe wsi Koszele”. 16 piseń, kotory śpiwajut kobiety z Koszeluow (a wsio ż choczećcia skazati: baby, bo czerez lieta tak howoryłoś na wiości i nyczoho ne było obraźliwoho w siuom słowi). Po komentarzach pud postom widno, że płyta zaintieresowała ludi. Znaczyt dobre, szto takaja dumka pryszła dla wydawcy. I cel szlachetny – dochody z prodaży puojdut na remont orleńskieji cerkwy.

Ja szcze sieteji płyty ne czuła, ale pryweła wona wospominanija z dawnich liet. Poszperała po chati i wytiahła trochi zabytu kasetu magnetofonowu z nahranymi nabuożnymi piśniami, kotory śpiwali baby z Wuolki. Koli to było… Połowina liet simisiatych, może treti ruok studiuw, pewno za odłożany hroszy z stypendium kupiła kasetowy magnetofon. Zrazu jak tuolko pryjiechała do domu, poprosiła woleński baby, kob zobraliś w naszuj maleńkuj chatci i pośpiwali ne kamraćki, a nabuożny piśnie. Treba skazati, szto takiji piśnie śpiwałoś tuolko na pochoronach. Ne znaju, jak w druhich siołach, ale u nas ne było zwyczaju śpiwati ich, nu skażem, siewszy w nedielu czy świato ot chotiaby na ławoczci. Czasami szcze w cerkwi śpiwali, bo na pielgrzymki, zdajećcia, tohdy jakoś ne za dużo chodili czy jiezdili.

Tak… Jak słuchaju teper, to prypominaju ich wsiech. Rozpoznaju, chto perszym hołosom tiuoh, chto wtorym. Nekotory szcze w trakcie śpiewania dochodili i tohdy pieśnia stanowiłaś takaja mohutna. Deś tam czuti, jak bjut staryji czasy, jakiji wiesiat na stinie naszeji woleńskieji chatki do sich puor, no wże ne czykajut i hodiny ne wybiwajut.



Dosietul baczu takuju scenu, jak pry śpiewi „Stradalna Mati pred krestom stojała", starutka baba Jawdosia zaliwajećcia slozami, bo pochowała mołodoho szcze syna. I chotia pieśnia pro stradanija Matiery Bożeji, kotora stoit pred krestom z rospiatym Iisusom Chrystom, to wona w tych słowach czuje swuoj buol. Dużo śpiwajuszczych uże ne żywe. Ne ma meji Mamy,a choroszym wtorym tiahła. I Nina, szto wysokim zwucznym perszym śpiwała, odyszła. I Ola… Mużczyny ne śpiwali. I tut ich ne było. Nu, byw żesz u chati muoj Tato, pomniu, ale sidiew ticheńko, nyczut' ne miszaw. Tak jak nahrania ja ne robiła na prawdziwych pochoronach, no skażem tak: na zamuwienie, to baby trochi wzdrohowaliś, kob zaśpiwati typowy pohrebalny piśnie. „Ne ma ż pokojnika" – kazali. Ale wsio – taki na moju prośbu zaśpiwali odnu takuju pieśniu, jakuju tohdy śpiwałoś na pochoronach, a kotora mene jakoś osobienno trohała:

Ach, uszli ż mojie lieta,
Jak wichor kruhom świeta.
Tolko jak wo snie zdałosia,
Szto j na swietie prożyłosia.(…)
Szto ż to mnie za doroha
Aż na toj świet do Boha.
Ja j na swietie nie nażyłsia,
Ani Bohu prysłużyłsia.
(słowa z kasety)

I treba szcze skazati pro ich zeszyty, w kotorych zapisowali wsie tyji piśnie. Bo żesz tohdy szcze ne było drukowanych wydań (a może de jakii i byli, no nedużo) i wsio sami pisali. Jasne, ne howorym tut pro oszybki, było ich a było. Ale ne toje ważne. Na merliny zawsze prynosiłi po para takich zeszytuow. Neraz pożowkły, z szcze jakby wsima palcima odbitymi na koniuszkach stronić. A kuolko luźnych kartok wypadało…

Śpiwali… Okazujećcia, szto w Koszelach je poka komu śpiwati, w Wuolci – wże nie. Jak to w wsio szcze ne wydanuoj poemi „Sorokoust" piszu:

czorny choruongwi w bramci
na pokuti tieło jak z lodu
prystrojane i w winkach
idut
ikonu w zimnych rukach na hrudiach
ciłujut
psałmy czytajut
piśnie nabuożny śpiwajut
idut…
no czy bude szcze komu
w sełowi de chaty
i oknami ne morhnut po zmerkani

Poruwnuju tytuły piseń z płyty, de teper śpiwajut koszeluowśki baby z tymi nahranymi w Wuolci koliś, koliś (jołki pałki, a to wże buolsz czym za sorok, pud pidisiat żene). Fakt, jak pisała, u mene tuolko odna typowo pohrebalna pieśnia, kotoreji uże (czy ne uże, może to tradycyja seła, chocz prychuod odin) nema na płyti. Dumaju, że na pochoronach ich dużo buolsz śpiewałoś; pomnićcia „Pora tiebie uż probuditsia". Nekotory piśnie pohrebalny upomianuty na płyti, ja tuolko jakiś czas tomu nazad poczuła, jak para raz śpiwała z bratczycami. Może pryszli jako efekt szyrokich teperysznich kontaktuw z susiednimi zahranicznymi cerkwami, czy z dobrodziejstwami Internetu.Wspulna je odna cerkowna pieśnia – „Samaranka", operta na sobytiji z Biblii, wstryeczy Chrysta z Samarankoju pry kołodeciowi. Znaczyt koliś jeji lubili i teper tože, raz wsio szcze śpiwajut. Wproczem, ja ne ekspert. To takiji luźny dygresji. Chocz może i wartowałoby szyerej pohrebalnym piśniam pryhlanutiś i zbadati.

Zoja Saczko
24.01.2021

Nagraniem i oprawą dźwięku płyty zajęli się **Jan Smyk** i **Marek Papaj**. Pieśni wykonały mieszkanki Koszel – **Tamara Martynowicz**, **Lucyna Chursa**, **Anna Diedula**, **Maria Diedula**, **Nadzieja Kalina**, **Elżbieta Lemiesz**, **Zofia Lemiesz** oraz **Halina Wołosowicz**.

Płyta jest dostępna w parafii prawosławnej św. Michała Archanioła w Orli (ul. Kleszczelowska 9, 17-106 Orla, tel. 85 739 25 16). Cerkiew w Orli gromadzi fundusze na remont świątyni. Konto parafii: **Bank Spółdzielczy w Hajnówce 93 8071 0006 0016 5246 2000 0010**.

Drugą częścią nakładu dysponują panie z Koszel, które dbają o wiejskie krzyże wotywne oraz cmentarz.

Беларуская асвета ў Беластоку

Найбольшым горадам па колькасці пражываючых беларусаў у Польшчы з’яўляецца сталіца Падляшскага ваяводства – Беласток. Некалькі дзесяткаў тысяч прыхаджан адзінаццаці праваслаўных цэркваў Беластока – у большасці карэнныя беларусы з Падляшша. Жыве тут таксама шмат каталікоў родам з Сакольшчыны, але яны сваіх беларускіх каранёў у большасці не свядомыя.

Да часу палітычных пераменаў беларусам Беластока не ўдавалася дабіцца навучання дзяцей роднай мове. І толькі напачатку 1990-ых гадоў ініцыятыва пачала разгортвацца. У 1995 г., па ініцыятыве бацькоў, пры Самаўрадавым прадшколлі нр 14 стварылася беларуская. Бацькі вельмі актыўна ўключыліся ў педагагічны працэс прадшколля, удзельнічаючы ў тэатральных пастаноўках і іншых формах працы. Дзякуючы бацькам і дасканалай кадры, запанаваў тут сапраўдны, беларускі дух. Адораныя музычна выхавацельніцы стварылі з дзяцей калектыў «Вясёлка», які ў 2010 г. запісаў падвойны альбом з песнямі. Самі настаўніцы стварылі таксама вакальны калектыў «Світанак». Установай кіруе Лукія Неміровіч, калісь актыўная дзеячка Брацтва праваслаўнай моладзі. Цяпер у прадшколлі пад сто дзяцей.

Два гады пасля заснавання беларускіх групаў Прадшколля нр 14, навучанне беларускай мове пачалося пры Пачатковай школе нр 4 у Беластоку. Гэта была таксама ініцыятыва бацькоў беларускіх дзяцей. Абавязкі настаўніка прыняла на сябе **Аліна Ваўранюк**, родам з Бельска Падляшскага, дзе праявілася як выдатны педагог з інавацыйнымі метадамі працы. Апрача праграмнага навучання, настаўніца развівала ў дзяцей тэатральныя, музычныя і рукадзельныя таленты. Пры школе пачала дзейнасць беларуская група «Гульня ў тэатр», музычныя калектывы, арганізаваліся летнікі-майстаркласы ды экскурсіі на Беларусь. Настаўніца рыхтуе дзецям арыгінальныя дапаможнікі, якімі, праз выданні, дзеліцца з іншымі настаўнікамі («Лемантар», «Кругагод», «Алфавіт» і інш.).

З часам навучанне беларускай мове ў Беластоку арганізавалася яшчэ ў некалькіх школах – Гімназіі нр 7, Ліцэі нр 3, а таксама праваслаўнай школе св. Кірыла і Мяфодзія, дзе праводзяцца з дзяцьмі цікавыя, пазаўрочныя формы беларускай адукацыі. Цяпер у Беластоку роднай мове навучаецца звыш 300 дзяцей і моладзі.

У 2006 г. бацькі заснавалі ў Беластоку Аб’яднанне на карысць дзяцей і моладзі, якія вывучаюць беларускую мову «АБ-БА». Яго сядзіба знаходзіцца пры П.Ш. нр 4 у адмысловым «Склепе з культурай». Арганізацыяй спачатку кіравала Барбара Пякарская, лекар родам з Бельска Падляшскага. Аб’яднанне, якога значэнне не выходзіць далёка за межы Беластока, праводзіць разнастайную дзейнасць. З найбольш вядомых ініцыятываў трэба адзначыць: тэатральны праект «Падляшскія хронікі», выданне кампакт-дыскаў з беларускай дзіцячай музыкай ды школьных дапаможнікаў, арганізацыя летнікаў «Я нарадзіўся тут», дзейнасць студыі беларускага фальклору.

З 2015 г. Аб’яднанне «АБ-БА» выдае паўгадавік «Беларускі настаўнік». Было таксама ініцыятаркай выдання фундаментальнай кнігі «Historia Białorusinów Podlasia» (2016).

Дарафей Фіонік



Towarzystwo Szkoły Białoruskiej

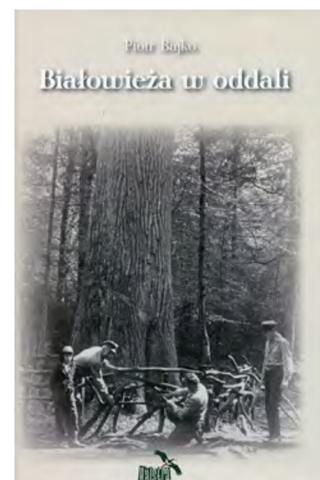
Dnia 5 lutego 1928 r.
w lokalu Klubu „Hellas“ Lipowa 6
odbędzie się
PRZEDSTAWIENIE-WIECZOREK
urządzany przez Białostocki Okręgowy Zarząd Towarzystwa Szkoły Białoruskiej.
Dochód przeznacza się na cele kulturalno-oświatowe.
Odegrano będzie:
I. BUTY
żart w 1 akcie Kudzielki w języku białoruskim.
Łapeć Mikity
Komedja 2 aktach Kudzielki
na zakończenie
TAŃCE
do godz. 4 rano
przy dźwiekach własndj orkiestry.
Bilety od 75 gr. do 2 zł. nabywać można w kasie klubu.
Początek o godz. 8 wiecz.
Zarządzający K. Sidorowicz

79. Druk. „Polonia“ Białystok, Kilińskiego 9, tel.

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl

Афіша спектаклю-вечарынкі, сарганізаванай 5 лютага 1928 г. у Беластоку Таварыствам беларускай школы



Bliżej Białowieży

Czy pamiętacie Państwo amerykański serial sprzed prawie trzydziestu lat, „Przystanek Alaska"? Zagubiona na pustkowiach osada, garstka mieszkańców, a każdy z nich, barmanka, pomocnik w sklepie, pielęgniarka, okazuje się niepospolitą osobowością, obdarzoną nieoczekiwanymi umiejętnościami, zainteresowaniami. Pustkowie też leży bliżej świata, niżby to wynikało z geografii i Wielka Historia pozostawia na nim znaki.

Piotr Bajko przywołuje ten serial we wstępie swojej najnowszej książki, zbioru opowieści „Białowieża z oddali". Nietrudno zrozumieć, dlaczego.

Powiada się, że są dwa sposoby osiągania mądrości. Pierwszy to ruszyć daleko od miejsca, gdzie się wyrosło, poznawać nowych ludzi, krainy, być świadkiem różnorodnych wydarzeń, dzielić przeżycia, doświadczać przygód. Drugi to pozostać w miejscu i głęboko zapuścić korzenie. To ze świata będą przychodzili ludzie, docierały wieści, a wszystko znajdzie odbicie w najbliższym otoczeniu. Trzeba tylko uważnie patrzeć i słuchać.

Piotr Bajko, białowieski leśnik, wybrał tę drugą drogę, a może raczej potrafił z niej skorzystać. Tam urodzony, tam wykształcony, tam całe życie pracujący, nie tylko dobrze poznał miejscową ludność, wysłuchał ich interesujących opowieści, ale i poszukiwał dodatkowych informacji w literaturze, archiwach, wszelkich zresztą dostępnych źródłach. Coraz więcej widział, coraz więcej rozumiał.

Pisze od czasów szkoły średniej, publikuje w prasie lokalnej, regionalnej, centralnej, łącznie w kilkudziesięciu tytułach (jest także naszym stałym współpracownikiem), wydaje kolejne książki. Ukazały się m.in. „Cerkiew i parafia prawosławna w Białowieży", „Białowieża. Zarys dziejów do 1950 roku", „Kalendarium białowieskiego żubra", „Białowieża. Parafia prawosławna św. Mikołaja", „Bibliografia Puszczy Białowieskiej 2001-2005", „Z dawnej Białowieży", „Echa starej Białowieży", „Kronika Białowieska".

Kilka lat temu pisarka-biografistka (autorka także biografii **Simony Kossak**) **Anna Kamińska** opublikowała w Wydawnictwie Literackim książkę „Białowieża szeptem. Opowieści z Puszczy Białowieskiej". Zapytana, czemu poszła po cudzych śladach, sięgając po już wykorzystane tematy, odpowiedziała lekko, że Piotr Bajko nie miałby szansy dotrzeć do tak szerokiego grona odbiorców jak ona, spychając go jakby do roli twórcy, którego teksty poza lokalne opłotki nie wyrastają. Niesprawiedliwie, bo i puszcza nie jest zabitą deskami prowincją, lecz otwartym szeroko światem samym w sobie, otwartym i jej piewca wiele potrafi zrobić, byśmy jej niezwykłość dostrzegli.

Tom opowieści podzielony został na części (wydarzenia, goście, miejsca, w kręgu gospodarki, obiekty, ludzie), ale nie wymaga – co zresztą autor zastrzega – lektury rozdział po rozdziale. Można otworzyć go w dowolnym miejscu, zawsze trafiając na coś interesującego a nieznanego. Na przykład jak, daleko odbiegając od stereotypowych wyobrażeń, wyglądało w puszczy powstanie listopadowe, kogo zabito w pociągu 816, jak doszło do zabicia żubra w rezerwacie ścisłym, jak handlowano w okresie międzywojennym, dowiedzieć się, kto odwiedzał Puszczę, poznać związanych z nią ludzi, na przykład pragnącą powszechnego dobra i pomyślności, zamordowaną przez hitlerowców, komunistkę **Olgę Gabiec**, która niedawno utraciła swoją ulicę, strażnika białowieskiej przyrody **Aleksego Kornijczuka**, fotografika **Lecha Wilczka**, pana na Dziedzince, kierowcę **Jana Ławrysza**.

Nie ma sensu opowiadać, co znaleźć można w książce. Warto ją przeczytać dla niej samej, nawet gdy nie ma się osobistych powiązań z regionem. I czekać na kolejne opowieści.

Dorota Wysocka

Piotr Bajko, *Białowieża w oddali,* wydawnictwo Hajstra Wojciech Sobociński, Białowieża 2020, ss. 278.



Na zdjęciu polowanie w 1939 roku. Od lewej Galeazzo Ciano, Bolesław Wieniawa Długoszewski i Józef Beck. Ze zbiorów Białowieskiego Parku Narodowego

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej”

Prenumerata e-wydania Przeglądu Prawosławnego

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie

---

Roczniki Przeglądu oprawiamy

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Zamówienia zbieramy przez cały rok – ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, e-mail: redakcja@przegladprawoslawny pl. Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Andrzej Charyło (sekretarz redakcji), Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
o. Konstanty Bondaruk, Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, Paweł Krysa
o. Marek Ławreszuk, Mira Łuksza, o. Włodzimierz Misijuk, Aleksander Naumow
Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):
Miesięczna: Polska **11,00 zł**; Europa **20,00 zł**, Australia, USA i Kanada **20,00 zł**.
Kwartalna: Polska **33,00 zł**, Europa **60,00 zł**, Australia, USA i Kanada **60,00 zł**.
Półroczna: Polska **66,00 zł**, Europa **120,00 zł**, Australia, USA i Kanada **120,00 zł**.
Roczna: Polska **132,00 zł**, Europa **240,00 zł**, Australia, USA i Kanada **240,00 zł**.
Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

1% wspólną sprawą

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO

Drodzy Czytelnicy!

1% pozostaje narzędziem w Waszych rękach, a nie komisji rządowych czy innych gremiów. Przekazując 1% swego podatku, głosujecie na te działania, które Waszym zdaniem są godne wsparcia. Wielu naszych Czytelników i Sympatyków uważa od 2007 roku, bo od tego czasu pozyskujemy 1%, że to właśnie wydawanie Przeglądu Prawosławnego jest naszą wspólną sprawą, a nie tylko jego wydawcy, Fundacji Ostrogskiego.

I za to zrozumienie jesteśmy niezmiernie wdzięczni. Przekazanie 1% jest bowiem nie tylko istotną pomocą finansową – w ubiegłym roku z tego źródła otrzymaliśmy 55 330 złotych – ale i inspiracją do naszej dalszej pracy, do pokazywania światowego prawosławia w jego pięknie, świętości, ale też w trudnych i dramatycznych sytuacjach, historycznych i współczesnych.

Bądźmy razem! Trwajmy! 1% ma siłę jednoczenia.

WSPOMÓŻ I WESPRZYJ
WIELKIE DZIEŁO RESTAURACJI
ZABYTKOWEJ KATEDRY
ŚW. ALEKSANDRA NEWSKIEGO w ŁODZI

PROSIMY O WPŁATY NA KONTO:
PKO 1 O/Łódź: 02 1020 3352 0000 1702 0089 9575
w tytule przelewu należy umieścić: RATUJMY KATEDRĘ

lodz-orthodox.pl lodzorthodox/

Zwracamy się z prośbą do wszystkich Ludzi Dobrej Woli o włączenie się do akcji i przekazywanie ofiar na konto parafii św. Aleksandra z dopiskiem: „Ratujmy katedrę". Numer konta 02 1020 3352 0000 1702 0089 9575. Adres: Narutowicza 46/1, Łódź 90-135. Za wszystkich Ofiarodawców będziemy wznosić gorące modlitwy, prosząc o łaskę Najwyższego, opiekę Matki Bożej i wstawiennictwo św. Aleksandra.

Katedra św. Aleksandra Newskiego to perła architektury Łodzi. Znajduje się w ścisłym centrum miasta, tuż przy Dworcu Głównym PKP Łódź-Fabryczna. Jest wizytówką tej wspaniałej, wielowyznaniowej aglomeracji. Powstała w 1884 roku dzięki sponsorom należącym do różnych wyznań i religii, wśród których znaleźli się między innymi Karl Wilhelm Scheibler, Juliusz Heinzel, Ludwik Grohman, Edward Herbst, Władysław Pieńkowski, Izrael Poznański, Herman Konstadt, Józef Paszkiewicz, Reinhold Finster, Karol Strenge, Walerian Makowiecki, Aleksander Chudziński i inni. Cerkiew była nieprzerwanie czynna.

Katedra zasługuje na szczególną uwagę. Trzeba teraz zadbać o jej stan techniczny. Pilnego remontu potrzebuje sama świątynia i dzwonnica. Trzeba dokonać renowacji elewacji i elementów dekoracyjnych, ale i konstrukcyjnych. Wewnątrz należy odnowić polichromie, zabytkowe witraże, ikonostas, zabytkowe wyposażenie. Wszystko wymaga natychmiastowych prac konserwatorskich.

Od trzech lat parafii nie udało się – mimo licznych prób – pozyskać potrzebnych środków z funduszy państwowych i/lub międzynarodowych.

Dlatego podjęliśmy decyzję o rozpoczęciu szeroko zakrojonej akcji społecznej, prowadzonej w Internecie i stacjonarnie, mającej na celu zebranie niezbędnych środków od Osób Dobrej Woli.

Cerkiew Opieki Matki Bożej w Puchłach

Fot. Anna Radziukiewicz

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO

PROSIMY O 1% KRS 0000106814

SERDECZNIE DZIĘKUJEMY ZA WPŁATĘ 1% PODATKU NA RZECZ DZIAŁALNOŚCI FUNDACJI W UBIEGŁYM ROKU

